

Nauzka dla nauki | Wyborcza bitwa na mity | Rzeszów: wojenna stolica
Plaga toksycznych szefów | Władza bierze sport | Dziwactwa króla Karola

ILUSTRACJA MIŁOSZ ZDUNEK

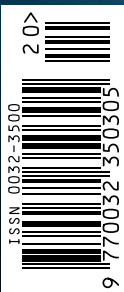
POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

Palikot, Petru, Kukiz, Hołownia...

Ci trzeci

Dlaczego
nowe partie
dobrze zaczynają,
a gorzej kończą



9 770032 350305

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

TYGODNIK, nr 20 (3413), 10.05-16.05.2023, cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów

CUBE

NAJNOWSZA KOLEKCJA ROWERÓW ODZIEŻY I AKCESORIÓW

KUP SWÓJ
WYMARZONY
ROWER CUBE
JUŻ DZIŚ!

 **Santander**
Consumer Bank

10 lub 20
RAT 0%

RRSO 0%. Bez dodatkowych kosztów



Leasing

- Błyskawiczna decyzja
- Minimum formalności
- Ubezpieczenie sprzętu wliczone w ratę

leaselink

- Dopasuj ofertę do siebie
- Błyskawiczna decyzja
- Pracujemy dla Ciebie 24h / 7 / 365.

NASZE SKLEPY STACJONARNE SĄ OTWARTE 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00**

| Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00**

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b | **POZNAŃ:** ul. Bułgarska 117a | **WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE - NOWA LOKALIZACJA ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



16 Czarnka nauczka dla uczonych



30 Domy niespokojnej starości



82 Lekcje z kolekcji

Tematy tygodnia

- 12 Mariusz Janicki **Trzecie siły bez siły**
 16 Joanna Podgórska
Jak PiS chce dyscyplinować naukę

Polityka

- 20 Wojciech Szacki
Pojedynek na partyjne mity
 22 ROZMOWA POLITYKI
 Prof. **Maciej Kisilowski**
 o tym, jak zmienić nasz ustrój,
 aby skończyć wojnę polsko-polską



Społeczeństwo

- 26 Jagienka Wilczak **NA WŁASNE OCZY Rzeszów – miasto przyfrontowe**
 30 Zbigniew Borek **Dramat w domach pomocy społecznej**
 34 Marcin Piątek
Czym Radosław Piesiewicz, nowy prezes PKOl, skaptował działaczy
 37 Jak sobie radzić z toksycznymi współpracownikami i szefami,
 radzi psycholożka społeczna
 prof. **Tessa West**
 40 Marcin Kołodziejczyk
Max Czornyj – pisarz zafascynowany złem

Rynek

- 42 Adam Grzeszak
Polska gorączka atomowa
 45 Joanna Solska **Przydałaby się normalna polityka rolna**



Świat

- 48 Łukasz Wójcik **TURCJA Kolejny po Erdoğanie**
 52 Adam Krzemiński **NIEMCY Literacki atak na koncert Springera**
 54 Paweł Kowal **UKRAINA Krym – klucz do pokoju**
 56 Paulina Wilk **INDIE Słonie i ludzie**



Nauka/projektpulsar.pl

- 58 Agnieszka Krzemińska
Okrutni wcześnie chrześcijanie
 62 Paweł Walewski
Ketamina – narkotyk na depresję?

Esej

- 65 Marcin Rotkiewicz
Kontrowersyjne poglądy króla Karola III



Historia

- 68 Tomasz Zalewski
Jak senator Joseph McCarthy polował na komunistów
 72 **NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI Tegorczone nominacje w kategoriach: Prace naukowe, Prace popularnonaukowe oraz Debiuty w tych kategoriach**
 76 Fragment wywiadu rzeki „Prezydent”, jakiego Aleksander Kwaśniewski udzielił Aleksandrowi Kaczorowskiemu

Kultura

- 82 Dominika Palka
Wystawa Vermeera w Amsterdamie od kulis
 86 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
 88 Rozmowa z operatorem **Piotrem Pawlusem** i reżyserem **Tomaszem Wolskim**, twórcami dokumentu „W Ukrainie”



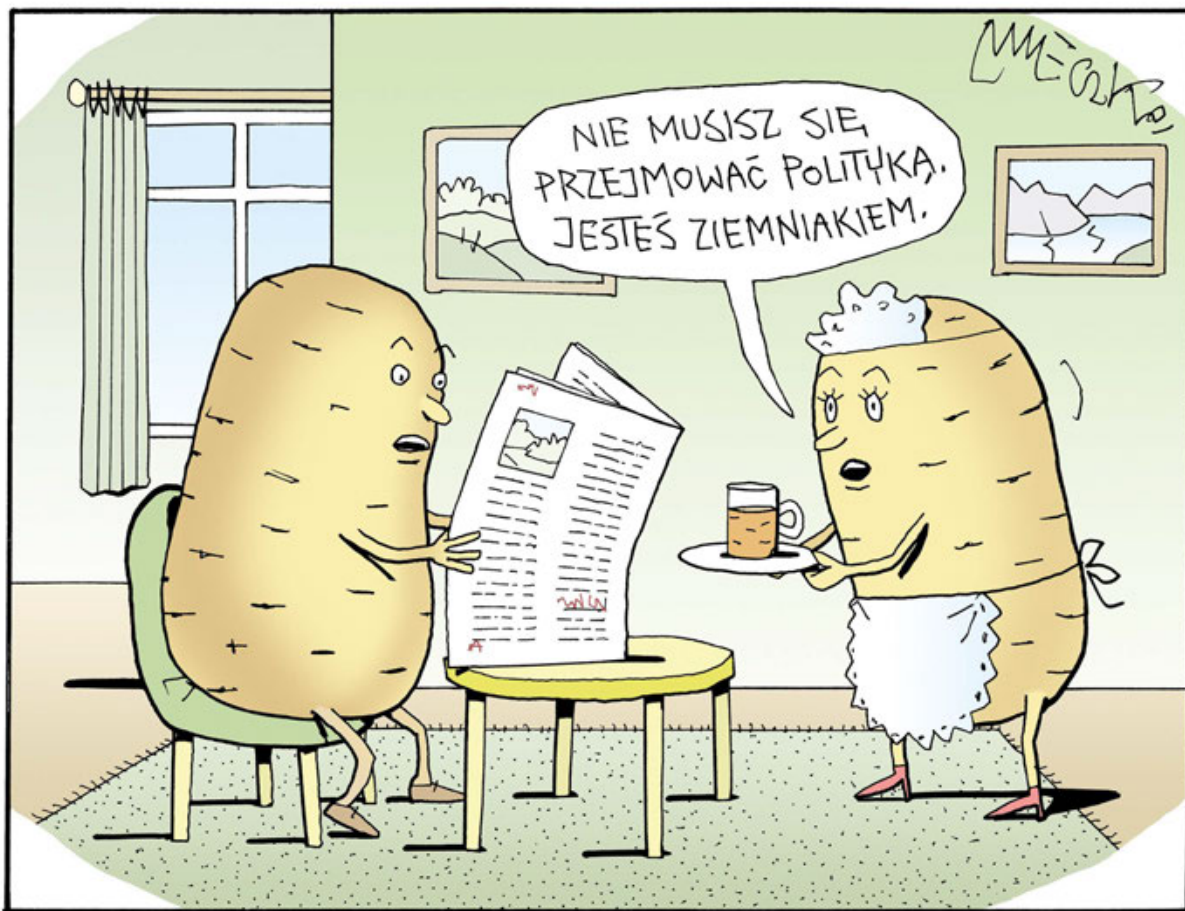
- 92 Michał Wieczorek
Światowy fenomen – polski zespół jazzowy z pakistańskim triem

Ludzie i style

- 100–105 • **Syndrom oszusta**
 • MUA – gadżet do przesyłania pocałunków • Lajki i dyslajki
 • Donice w kształcie głów
 • Wałęsa, człowiek z mema
 • Kariera tiszertów • Sztuka wioślowania • Polskie winnice

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Przypisy
 • 7 Ludzie i wydarzenia • 78 Afisz
 • 95 Hartman • 96 Lis • 97 Tym
 • 98 Mizerski na bis • 99 Do i od redakcji
 • 106 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Pieniądze to nie wszystko

Jarosław Kaczyński ogłosił, że rząd PiS przegrywa z drożyzną, ale poseł Suski uspokaja, że drożyzna Polaków nie interesuje, bo mają ważniejsze sprawy na głowie. „W zasadzie to niewiele osób o to pyta” – zapewnia. Zamiast tego wszyscy „pytają o niepodległość”, co pokazuje, że bez pieniędzy na jedzenie, ubranie i mieszkanie da się żyć, a bez niepodległości – nie.

Z obserwacji Suskiego wynika, że Polacy potrzebują mieć więcej niepodległości, a nie więcej pieniędzy. Aby wyjść tym potrzebom naprzeciw, rząd Morawieckiego od lat topi pieniądze w czynach niepodległościowych, takich jak przekop Mierzei Wiślanej czy CPK, a ostatnio zrezygnował z rewaloryzowania programu 500 plus. Zaoszczędzone miliardy mają wspomóc budowę kolejnych ławek niepodległości, masztów niepodległości, a jeśli coś zostanie – także wiat i zadaszeń niepodległości.

Uważam, że inwestycje te będą jak znalazł, gdy z powodu blokady funduszy na KPO i braku pieniędzy do rozdawania po wygranych wyborach PiS zostanie zmuszony do ogłoszenia pełnej niepodległości. Dla wielu polskich rodzin ławki

i zadaszenia mogą być jedynym ratunkiem wobec egzystencjalnego zagrożenia związanego z taką niepodległością.

O tym, że objawy wyzwoleńczej gorączki występują nie tylko u polityków PiS, świadczą pojawiające się na wiecach patriotyczne hasła: „Stop ukrainizacji Polski”, „Tu jest Polska, nie Ukropol” albo „Tu jest Polska, nie Polin”. Słychać żądania repolonizacji Polski i oczyszczenia jej z pseudouczonych, szerzących obraźliwą, niepolską naukę. „Polacy płacą podatki po to, żeby rozwijać polską naukę, a nie finansować tych, którzy obrażają Polaków” – tłumaczy minister Czarnek, do którego Polacy wydzwaniali, informując, że nie życzą sobie, żeby naukowcy ich obrażali.

Opantypolonizm tych naukowców świadczy to, że mając do wyboru tyle tematów, które Czarnek i Polaków nie obrażają, drążą akurat ten, który ich obraża. Jeśli koniecznie muszą pisać o Polakach prawdę, zamiast o ich współdziałanie w Holokauście niech napiszą o Koperniku, Chopinie czy Lewandowskim, każdy chętnie przeczyta. Może być też o prezydentach Kaczyńskim lub aktualnym królu Polski Jezusie Chrystusie, który jest wprawdzie Żydem, co dla Czarnek i niektórych Polaków mogłoby być obraźliwe, ale jednocześnie także dowodem na to, że wbrew rozpowszechnionym opiniom niepodległa Polska pod rządami PiS to kraj tolerancyjny i przyjazny dla wszystkich obcych bez względu na rasę.



Sylwester w Nowym Jorku oraz rejs na Karaiby i Bermudy

Przeżyj niezapomnianą noc sylwestrową w tętniącym życiem Nowym Jorku, a następnie wypłynij w egzotyczny rejs na Karaiby i Bermudy.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy, przyjazd do Nowego Jorku i zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Nowy Jork, Midtown z Empire State Building, lodowisko przy Rockefeller Centre, Piąta Aleja i kolacja sylwestrowa w restauracji. **Dz. 3** Nowy Jork, USA. Wycieczka po mieście (metrem) do Battery Park, World Trade Memorial, Chinatown i Little Italy. **Dz. 4** Nowy Jork i wytygnięcie w rejs. Central Park, a następnie wejście na pokład statku. **Dz. 5-6** Rejs w kierunku Karaibów. Czas wolny na pokładzie statku. **Dz. 7** Puerto Plata, Dominikana. Spacer po mieście z pilotem. **Dz. 8** San Juan, Portoryko. Spacer z przewodnikiem po starym mieście. **Dz. 9** Charlotte Amalie, St. Thomas. Wycieczka po wyspie i spacer po mieście Charlotte Amalie. **Dz. 10** Dzień na morzu w kierunku Bermudów. Czas wolny na pokładzie. **Dz. 11-12** Royal Naval Dockyard, Bermudy. Rafy koralowe i relaks na plaży. **Dz. 13** Dzień na morzu w kierunku Nowego Jorku. Czas wolny na pokładzie. **Dz. 14** Nowy Jork, przejazd na lotnisko, powrót do domu. **Dz. 15** Przyjazd do Warszawy.

15 dni | Wylot z Warszawy 30/12 2023

19.998,-



**WYKŁAD
ONLINE**



Kenia Wielka Migracja

18/05/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie
www.albatros.pl

Przedłużenie pobytu w Phan Thiet

Angkor - imperium w głębi dżungli

Wycieczka śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zwiedzanie m.in. słynnego Angkor Wat oraz rejs rzeką Mekong.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Bangkoku. **Dz. 2** Przyjazd do Bangkoku. Zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Bangkok. Wielki Pałac Królewski i Wat Pho. Przejazd do Chanthaburi. **Dz. 4** Chanthaburi – Battambang, Kambodża. Zwiedzanie miasta. Killing Caves (Jaskinie Zabijania). **Dz. 5** Battambang – Siem Reap. Świątynia Wat Phnom Banan. **Dz. 6** Siem Reap. Angkor Thom oraz Angkor Wat. **Dz. 7** Siem Reap – Phnom Penh. „Wioska Pajków” (Spider Village) oraz zwiedzanie miasta riksą rowerową. **Dz. 8** Phnom Penh. Zwiedzanie miasta, Pałac Królewski (Royal Palace), Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng i Pola Śmierci (Killing Fields). **Dz. 9** Phnom Penh, rejs rzeką Mekong do Chau Doc w Wietnamie. **Dz. 10** Chau Doc. Wycieczka rowerową. Wypoczynek w Victoria Nui Sam Lodge. **Dz. 11** Chau Doc – Can Tho w Delcie Mekong. Wizyta na bazarze. Rejs. **Dz. 12** Can Tho – Ho Chi Minh. Pływający targ w Delcie rzeki Mekong. **Dz. 13** Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. **Dz. 14** Ho Chi Minh. Spacer po mieście. Czas wolny. Wylot do Warszawy. **Dz. 15** Przyjazd do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 21/09, 09/11 2023, 18/01, 14/03 2024 | od **10.498,-**



Ryga i relaks w Jurmala

Program wycieczki: **Dz.1** Lot Warszawa - Ryga. Przyjazd i powitalna kolacja. **Dz. 2** Ryga. Targ Centralny i piesza wycieczka po Starym Mieście, obiad w lokalnej restauracji. **Dz. 3** Ryga – Pałac Rundāle - Jurmala. Zwiedzanie wspaniałego barokowego pałacu i obiad. **Dz. 4** Jurmala. Wypoczynek w nadmorskim mieście uzdrowiskowym zwanym Bałtycką Riwierą. **Dz. 5** Jurmala - Ryga - Warszawa. Relaks i podróż powrotna.

5 dni | Wyloty z Warszawy 16/09 2023

3.298,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL17

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Sprawa w toku



Jerzy Baczyński

Przypuszczam, że większość naszych czytelników czasem słucha TOK FM. To największe w Polsce radio informacyjne i absolutny medialny fenomen: rozgłośnia „mówiona”, która prawie nie gra muzyki, nie organizuje konkursów z nagrodami, która nie ma nawet pełnego ogólnopolskiego zasięgu na UKF, jest dziś w dużych miastach zwykle w pierwszej trójce najpopularniejszych stacji – obok RMF FM i Radia Zet. W Warszawie była numerem jeden. Codziennie radio ma ponad milion słuchaczy, a aplikacja TOK FM zebrała już ponad 30 tys. płatnych subskrypcji – to podobno rekord Europy. Przypomnę, że POLITYKA jest współzałożycielem i współwłaścicielem stacji: my mamy nieco ponad jedną trzecią udziałów, resztę Agora SA. Operacyjnie TOK FM jest częścią Grupy Radiowej Agory, do której ostatnio – po dwóch latach blokowania transakcji przez UOKiK – dołączyło też Radio Zet. Nie muszę dodawać, że TOK FM jest traktowane przez obecną władzę jako rozgłośnia opozycyjna, „wroga”, radiowy odpowiednik TVN24. I tu już się zaczyna opowieść o państwie PiS, jego metodach i celach. Cytując Fredrę: „Znacie? – Znamy. No to posłuchajcie”.

Jak wiadomo, nadawcy radiowi i telewizyjni w Polsce działają na podstawie koncesji przyznającej im określone częstotliwości. Po upadku PRL i państwowego monopolu medialnego uznano, że trzeba powołać osobny urząd, który będzie organizował konkursy koncesyjne oraz – jak potem zostało zapisane w konstytucji – „stał na straży wolności słowa i prawa do informacji”. Tak w 1993 r. powstała Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. Swoją historyczną rolę (różnie zresztą ocenianą) w budowie ładu medialnego III RP Rada odegrała i właściwie zakończyła w latach 90. Potem pozostały jej już tylko małe lokalne konkursy, podział środków z abonamentu radiowo-telewizyjnego i – zwykle co 10 lat – przedłużanie kolejnych koncesji. Na ogół to była techniczna formalność. To się zmieniło za rządów PiS, kiedy obsadzona przez nominatów partii Rada po raz pierwszy próbowała nie przedłużyć koncesji dużemu medium – TVN24. Ponieważ brakło pretekstów, jakimi np. mogą być kary wymierzone nadawcy, uchwalono nawet specjalną ustawę, która „delegalizowała” większociowy udział amerykańskiego kapitału w stacji. „Lex TVN” po interwencjach Amerykanów zablokował wetem Andrzej Duda. Ale na to miejsce mamy teraz „Lex Świrski”. Nowy przewodniczący KRRiT Maciej Świrski postanowił bowiem wobec opozycyjnych stacji czekających na rekoncesję (TVN w kwietniu 2024, Radio Zet w 2026, TOK FM już w listopadzie 2023 r.) wszczynać postępowania o naruszenie ustawy o radiofonii i telewizji. Służy do tego głównie art. 18, który mówi ogólnie, że nadawcy nie mogą „propagować działań sprzecznych z prawem, polską racją stanu i dobrem społecznym”. Gumowy paragraf przybiera formę gumowej pałki.

Maciej Świrski jednoosobowo, nie informując nawet pozostałych członków Rady, wszczął formalne postępowania sankcyjne wobec TVN m.in. za program „Siła kłamstwa” o smoleńskiej podkomisji Macierewicza, za „Franciszkańską 3”, czyli „co Karol Wojtyła wiedział o pedofilii w Kościele”, a ostatnio w sprawie rozmowy Moniki Olejnik z prof. Barbarą Engelking (piszemy o tym w art. na s. 16). Dwa postępowania ma już Radio Zet, w tym za ujawnienie informacji o „ponadstandardowym” przetrzymywaniu męża marszałek Witek na OIOM szpitala w Legnicy. A TOK FM już dostał karę – 80 tys. zł.

Tu poszło o audycję z czerwca ubiegłego roku, w której prowadzący i jego gość, posługując się licznymi cytatami, krytykowali propagandowy, antyeuropejski, zideologizowany charakter pierwszego oficjalnego podręcznika do nowego przedmiotu historia i teraźniejszość. Podręcznika, dodajmy, intensywnie promowanego przez ministra Czarnka. Piotr Maślak złośliwie zauważył, że „czyta się to jak podręcznik – przepraszam za porównanie – dla Hitlerjugend”. Skargę na audycję złożył wydawca książki. Świrski najpierw wezwał nadawcę (jak wynika z opublikowanej przez TOK FM Białej Księgi) do unikania na antenie takich porównań, „jeśli dla takiej opinii nie ma podstawy faktycznej” (co stacja przyjęła „jako ogólną uwagę”). Ale potem jednak wymierzył radiu pierwszą w historii karę. I teraz najciekawsze. Przewodniczący w uzasadnieniu podał, że TOK FM nie tylko naruszył dobra osobiste autora podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego, ale wskazując, iż był on europoseł PiS, „obraził osoby, które popierają PiS”. Nadto audycja „obraziła godność ofiar drugiej wojny światowej, w tym Żydów” (!).

Prawnicy i medioznawcy łapią się za głowę, i chodzi nie tylko o kuriozalną argumentację. KRRiT generalnie nie ma prawa oceniać „prawdziwości” audycji, bo ustawa nie daje jej kompetencji cenzorskich. Nie może też występować w obronie czyjejsz czci i honoru, bo od tego jest prawo prasowe, instytucja polemik, sprostowań, pozwy cywilne. Nie mówiąc już o tym, że gdyby przewodniczący chciał interweniować – jak napisał – w sprawie „łgarstw na antenie”, musiałby dziennie wszczynać po kilkadziesiąt postępowań przeciw TVP i tzw. publicznemu radiu. Czego ostentacyjnie nie czyni. Doraźny cel jest jasny: pod groźbą kolejnych postępowań, kar i cofnięcia koncesji zmusić opozycyjnych nadawców do gryzienia się w język i niepodejmowania „niemiłych” tematów.

Ale „obrażanie wyborców PiS” jako uzasadnienie dla odebrania koncesji radiowej lub telewizyjnej, choć brzmi kabaretowo (TOK FM odwołało się do sądu), trzeba jednak traktować poważnie. Patrząc na to, co dziś PiS wyprawia z prawem, trudno nie postrzeć akcji Świrskiego jako planu niszczenia niezależnych firm medialnych. Jeśli możliwe są takie ustawy, jak powołanie „ruskiej komisji”, zmiana „pod potrzeby PiS” wymaganej większości w TK, projekt ustawy o zwalczaniu seksualizacji dzieci itp., to co stoi na przeszkodzie, aby uchwalić groźącą finansowymi karami „ustawę o obronie godności Narodu Polskiego”. Albo: „o obronie organów Państwa przed pomówieniami”, bo – tu cytat z pisma KRRiT – „krytyka prasowa musi być prawdziwa”.

Jeśli PiS wygra wybory, dopełni się, jak mówi Jarosław Kaczyński, zmiana ustroju. W praktyce to raczej nie będzie nowy ustrój, tylko – z drobnymi doprawdy mutacjami – tamten, który porzuciliśmy w 1990 r. Scentralizowanej władzy partyjno-państwowej, kontrolującej wedle uważania każdą dziedzinę życia, z mediami włącznie. W 2010 r. po katastrofie smoleńskiej, podczas pamiętnej „bitwy o krzyż” na Krakowskim Przedmieściu, Maciej Świrski – wtedy znany głównie jako radykalny prawniczy bloger – napisał o sobie: „Jestem talibem, bo tak jak prawdziwi talibowie jestem przywiązany do mojej wiary i tradycji... Innej drogi jak radykalizm religijny nie ma. Trzeba być gorącym jak rozgrzany do czerwoności miecz”. Maciej Świrski razem z Przemysławem Czarnkiem są dziś jak dwa rozgrzane miecze w toczonej przez PiS wojnie z wolnością słowa, opinii, badań, prawem do krytyki i kontroli władzy – fundamentalnych zasad demokratycznego porządku. Kolor czerwony idealnie tu pasuje.



Po co Ziobrze nowa partia

Wpowikłanej relacji ugrupowań Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry nastąpił kolejny zwrot akcji. Minister sprawiedliwości zakłada nową partię – Suwerenną Polskę (w miejsce Solidarnej Polski), a jego ludzie zapowiadają, że jeśli PiS nie spełni ich warunków, to na wybory wystawią osobne listy. – *Nie jesteśmy przyspawani do PiS. Od miesięcy działamy tak, jakbyśmy mieli startować samodzielnie i jesteśmy do tego przygotowani* – zapewnia jeden z posłów Suwerennej Polski. Inny dodaje: – *Za sprawą naszej pracy doszło do przemodelowania sytuacji w Zjednoczonej Prawicy.*

Co takiego wydarzyło się przez ostatnie miesiące? Ziobryści zabrali się na serio do budowania struktur. Na polecenie centrali

regiony stworzyły propozycję list wyborczych w okręgach. W tajemnicy przed PiS trwały przygotowania do rejestracji nowej partii i dużej konwencji w Warszawie. Odbyła się 3 maja w hali EXPO XXI – gdzie wcześniej imprezy organizował PiS – z udziałem ponad 1,2 tys. osób (koszt – ok. 300 tys. zł). Koalicjanci z PiS zaproszeń nie dostali.

Nowa nazwa ma akcentować eurosceptycyzm ugrupowania, a rejestracja partii – wyczyścić kartotekę (PKW odrzuciła sprawozdanie finansowe Solidarnej Polski za 2021 r.).

Mówcy – wśród nich europosłowie Patryk Jaki i Beata Kempa oraz posłowie Jacek Ozdoba, Janusz Kowalski czy Sebastian Kaleta – atakowali UE, a opozycję nazwali „niemieckimi kolaborantami”. Nie

padła ze sceny deklaracja o samodzielnym starcie, a Ziobro dziękował „kolegom z PiS”, ale politycznie konwencja była wymierzona w partię Kaczyńskiego. Politycy PiS zareagowali zresztą złośliwościami o partii 1 proc. i kpinami ze zmiany szyldu.

Ziobryści do zmiany strategii skłonili brak zaufania do PiS. Obawiali się, że Kaczyński będzie tak przedłużał rozmowy o wspólnym starcie, że na koniec musieliby zgodzić się na każde warunki. Politycy Suwerennej Polski widzą przy tym, że tłok na listach PiS będzie olbrzymi (swoich ludzi promują choćby Mateusz Morawiecki i Jacek Sasin, jakieś miejsca przypadną pewnie partii Pawła Kukiza) i mogli się spodziewać nawet próby wycięcia całego ich ugrupowania.

Teraz – z nowo nabranym poczuciem mocy – Suwerenna Polska chce stawiać warunki PiS: więcej miejsc na listach wyborczych, start w formule koalicji (by dostać subwencje), zapewne także dostęp do mediów publicznych. Inaczej – powiadają ziobryści – PiS będzie miał konkurenta na prawicy i pożegna się z władzą.

Dużo jest w tym pewnie taktyki negocjacyjnej, dla obu stron porozumienie wciąż wydaje się korzystniejszym rozwiązaniem, ale w polityce liczą się także ton i emocje. Ton ziobryistów przywołuje zaś wspomnienie z 2011 r., gdy Ziobro zakładał swoją pierwszą partię, a emocje PiS są wobec koalicjanta wyraźnie negatywne. W takich okolicznościach niełatwo będzie o happy end negocjacji o wspólnym starcie. (WBS)

PIT kit – czyli kampania na zwrotach

Dzięki rządowej obniżce podatków PIT miliony Polaków otrzymało zwrot podatków – informują billboardy w całym kraju. Kampania sugeruje, że dobry rząd (choć o wysokości podatków decyduje parlament) ma dla nas kolejny prezent gotówkowy. A konkretnie: **29,4 mld zł.**

Zwrot otrzymamy w ciągu 45 dni po upływie terminu złożenia zeznania podatkowego – jeśli zrobiliśmy to elektronicznie, albo w ciągu trzech miesięcy – gdy rozliczyliśmy się z fiskusem na papierze. Kampania najwyraźniej miała poprawić wizerunek premiera Morawieckiego, zaś jej zleceniodawcy mieli nadzieję, że podatnicy się nie zorientują, że po raz kolejny zostali oszukani. Wybuchła jednak awantura, bo nie zorientować się raczej trudno.

Zwroty wynikają z faktu, że w ramach zaliczek na podatek od dochodów osobistych za 2022 r. fiskus zabierał nam dużo więcej pieniędzy, niż mu się należało. Ciężko było się doliczyć, ile naprawdę winni jesteśmy państwu. W połowie roku wprowadzono

nieszczęsny Polski Ład – który, zgodnie z przewidywaniami, okazał się totalnym nieładem. Byliśmy chyba jedynym krajem na świecie, gdzie w jednym roku obowiązywały aż trzy systemy podatkowe i nawet Ministerstwo Finansów nie było w stanie się w tym połapać. Intuicyjnie jednak zabierało nam więcej, niż wynikało z nieustannie zmienianego w ciągu roku podatkowego prawa. Stąd obecne zwroty. Żadnego prezentu nie dostajemy, tylko zwrot nadpłat – w dodatku mocno nadgryzionych przez inflację. Przez sporą część roku kredytowaliśmy bowiem działalność rządu, ale odsetek za to nie otrzymamy. Po drugie – o żadnej obniżce podatków nie ma mowy. Wprawdzie pierwsza stawka PIT zmalała z 17 na 12 proc., ale nasze obciążenia wzrosły o 9-proc. składkę na zdrowie, a więc w sumie wynoszą 21 proc. Wcześniej było to 18,25 proc., ponieważ 7,75-proc.

składki mogliśmy sobie odliczyć. Czyli wszystko jak w dowcipie z Radia Erewań – nie dali, ale zabrali.

Akto dostanie te „zwroty”? Zleceniodawcy, którym zaliczkę na podatek w ramach Polskiego Ładu podniesiono w 2022 r. ze 162 na 265 zł, teraz otrzymają zwrot 2562 zł. Emeryci pobierający świadczenie w wysokości 3 tys. zł brutto otrzymają 150 zł. Na większy zwrot mogą liczyć osoby zarabiające miesięcznie powyżej 12 tys. brutto. Rodziców samotnie wychowujących dzieci pierwsza wersja Polskiego Ładu oskubała doszczętnie, im zaliczki pobierano bardzo wysokie. Po awanturze zasady zmieniono na bardziej korzystne. I tak samotny rodzic dwojga dzieci zarabiający 6 tys. zł brutto otrzyma z powrotem wszystko, co wpłacił jako zaliczkę. Natomiast ok. 1,2 mln podatników musiało, rozliczając się z fiskusem, dopłacić.

JOANNA SOLSKA



Dyktatura hybrydowa

Marek Migalski

Politolog, publicysta, prof. UŚ. Kiedyś polityk, a ostatnio wykładowca i pisarz.



na łamanie praworządności w Polsce, więc teraz władza chce, gwałcąc po raz kolejny TK (zresztą na oczach całej Europy), wprowadzić takie zmiany, by Bruksela mogła uznać, że... wszystko u nas z przestrzeganiem prawa jest w jak najlepszym porządku! To mniej więcej tak, jakby przemocowy ojciec, któremu sąd chce odebrać prawa rodzicielskie, streamował w sieci zmuszanie dziecka do zapewnienia, że tatuś jest kochany, a w domu panuje miłość.

Gdyby ktoś, kto w 2015 r. zapadł w śpiączkę, wybudził się teraz i rozejrzył wokół, musiałby stwierdzić, że w Polsce doszło do jakiegoś zamachu stanu, przewrotu, a może nawet brutalnej rewolucji, bo przecież tylko w ten sposób można byłoby sobie wytłumaczyć zmiany ustrojowe obserwowane dookoła. Nie mogłoby do nich dojść – pomyślałby ów nieszczęśnik – bez obalenia poprzedniego systemu i zmiany konstytucji.

A jednak wciąż żyjemy w ramach ustawy zasadniczej przyjętej w 1997 r., choć – w istocie – nasz ustrój zmienił się zasadniczo. Być może najbardziej widocznym w ostatnim czasie przejawem tej podmiary jest sytuacja w Trybunale Konstytucyjnym. Zasiadają w nim nominaci obecnej władzy, nieukrywający tego, że mają na względzie dobro partii rządzącej. Kieruje nim magister prawa, która awansowała na to stanowisko z sądu rejonowego, gdzie była oskarżana o przewlekłość postępowań, a jej wyroki były często uchylane przez sądy wyższych instancji. Prezes PiS bywa u niej na kolacjach i publicznie określił ją jako swoje „odkrycie towarzyskie”.

Obecnie TK jest miejscem gorszącego sporu między zwolennikami prezesa PiS a stronnikiem Zbigniewa Ziobry. Obie strony piszą na siebie donosy oraz oskarżają się wzajemnie o słabe tempo orzekania. Gorszący pat spowodował paraliż prac Trybunału, więc posłowie partii władzy chcą zmian w ustawie idących w takim kierunku, by frakcja prezes Przymusińskiej miała większość. Robią to po to, by TK mógł przyjąć ustawę o Sądzie Najwyższym, która w ich mniemaniu może odblokować środki z KPO, potrzebne PiS do wygrania wyborów. Co zabawne, owa blokada unijnych funduszy nastąpiła ze względu

Ale zmiana ustroju (bez zmiany konstytucji) zaszła także w innych obszarach naszego życia społecznego – media publiczne stały się instytucjami rządowej propagandy, samorządom odbierane są środki, za to dodaje się im zadań, spółki Skarbu Państwa służą do zatrudniania w nich lojalnych działaczy partyjnych oraz do prowadzenia kampanii społecznych wspierających władzę, na uniwersytetach wprowadzono familiologię, szkoły są miejscem religijnej i prorządowej indoktrynacji, opozycja jest inwigilowana za pomocą programów szpiegowskich zakupionych ze środków mających służyć ofiarom przestępstw kryminalnych, policja ściga i bije demonstrantów kpiących z brata prezesa PiS, a kolejne grupy mniejszościowe są obiektem kampanii nienawiści ze strony władzy.

Niewątpliwie zmienił się nam ustrój, choć z perspektywy gotowanej żaby trudno było nam to dostrzec. Politolodzy głowią się nad tym, jak go nazwać – demokracja nieliberalna, demokracja, dyktatura hybrydowa (to akurat moje), autokracja, autorytaryzm... Nie ma zgody co do przyjęcia jednej definicji, ale na pewno nie jest to już demokracja liberalna. Wiele lat temu Rafał Matyja zaproponował budowę IV RP jako systemu zwalczającego błędy III RP. Obecnej władzy zupełnie to nie wyszło – to, co jej liderzy zbudowali, jest raczej połączeniem tromtadacji, nacjonalizmu, klerikalizmu i snów o mocarstwowości II RP z prząsnością, antyzachodniością, propagandą i prostactwem PRL.

Ruszyły matury: pierwsze i ostatnie

Raczej w dobrych nastrojach absolwenci większości szkół ponadpodstawowych przetrwali pierwsze dni matur. 4 i 5 maja w liceach, technikach i szkołach branżowych drugiego stopnia przeprowadzono obowiązkowe pisemne egzaminy z języka polskiego i z języków nowożytnych. Tegoroczna matura jest jedyna w swoim rodzaju z kilku powodów. Testy w dwóch – bardzo odmiennych – formatach zdaje podobna grupa absolwentów. Po czterech latach przerwy spowodowanej pandemią wracają obowiązkowe egzaminy ustne. A wszystkiemu towarzyszy chaos, niepewność i festiwal zmian.

115 tys. absolwentów techników i szkół branżowych po raz ostatni zdaje egzamin w „starej” formule – jak przez ostatnie 18 lat. Do zupełnie innych testów podeszło niecałe 160 tys. pierwszych absolwentów czteroletnich liceów, którzy wcześniej skończyli



ośmioletnie podstawówki (i nie chodzili do gimnazjów zlikwidowanych na mocy tzw. reformy Anny Zalewskiej).

Główne i budzące najwięcej emocji różnice dotyczyły egzaminu z języka polskiego. Oświatowe władze zapowiadały, że będzie on znacznie trudniejszy niż dotychczasowa matura – konkretów długo jednak brakowało; w końcu zaczęto obniżać napięcie. Nowy egzamin pisemny został podzielony na trzy części: test z czytania ze zrozumieniem, test historycznoliteracki oraz wypracowanie odwołujące się do lektur. Co ciekawe, w teście z czytania ze zrozumieniem wykorzystano artykuł dziennikarki

POLITYKI Agnieszki Krzemińskiej o pożytkach z podróży (więcej na s. 99). Tematy wypracowań były natomiast na tyle ogólne („Człowiek – istota pełna sprzeczności”, „Co sprawia, że człowiek staje się dla drugiego człowieka bohaterem?”), że – jak twierdzi wielu – wystarczyło napisać cokolwiek, spełnić wymogi formalne i nie popełnić rażących błędów, aby być spokojnym o wynik. Na starej maturze wśród tematów wypracowań wrócił zaś „Pan Tadeusz” i „Przedwiośnie”.

Pprzed zamknięciem tego numeru nie znałimy szczegółów przebiegu testu z matematyki, który odbywał się w poniedziałek, ani też egzaminów ustnych (startujących 10 maja). Na razie wygląda jednak na to, że PiS podchodzi do matury jak do egzaminu, który ma znaczenie tylko o tyle, że może pomóc (albo zaszkodzić) partii rządzącej w wyborczej kampanii. Zatem po latach pohukiwań zdający prawdopodobnie dostaną fory, a jaki będzie tego finał, dowiemy się 7 lipca, kiedy zostaną ogłoszone oficjalne wyniki matur. (J. CIEŚL)

Tajemniczy pocisk pod Bydgoszczą

Majówkową sielankę zepsuły Polakom wieści, od których mógł się przy grillu zjeżyć włos na głowie: w lesie pod Bydgoszczą znaleziono szczątki czegoś, co mogło być rosyjskim pociskiem manewrującym. Znalezisku towarzyszyły skąpe komunikaty władz, kluczenie wojskowych i prośba do USA o wsparcie w śledztwie. Scenariusz znany z sytuacji niekomfortowych, gdy rządzący mówią niewiele, bo musieliby tłumaczyć się z wpadki. A w zasadzie – z ciągu wpadek, bo chodzi nie tylko o to, że taki pocisk wleciał w polską przestrzeń powietrzną, ale również o to, że przez kilka miesięcy nie potrafiono go znaleźć (!). Najbardziej szokujące z tego, co wydusili z siebie przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych, są słowa Mateusza Morawieckiego sugerujące, że nieproszony intruz z Rosji ma związek z bombardowaniem Ukrainy dokonanym w... grudnia. Wtedy do śledzenia „wojskowego obiektu” miały zostać poderwane polskie i sojusznicze samoloty. Pogoń najwyraźniej okazała się nieskuteczna, skoro niewybuch przeleżał niemal pół roku.

Gdzieś przysły zapewnienia ministra Błaszczaka, że Polska ma szczelny, wielowarstwowy system obrony powietrznej – nie wiadomo też, czemu po alarmie wojskowym poszukiwań nie kontynuowały służby cywilne. To, że pocisk nie



ekspłodował i nikomu nie wyrządził krzywdy, jest w całym zamieszaniu najważniejsze, ale pocieszać się za bardzo nie ma czym. Przedostanie się rosyjskiego pocisku na terytorium kraju członkowskiego NATO w czasie prowadzonej przez Rosję wojny to sytuacja skrajnie niebezpieczna, grożąca eskalacją do jeszcze większego konfliktu Wschód–Zachód.

W tym momencie jednak należy wziąć głęboki oddech i złagodzić oburzenie na wojskowych. Co, jeśli od początku było wiadomo, że ten pocisk Rosjanom się „zgnębił” wskutek awarii? Czy ktoś uznał, że lepiej pozwolić mu spaść, zamiast wywoływać jeszcze większe zamieszanie, strzelając?

A może tajnymi kanałami wojskowymi NATO zostało uprzedzone, że zaistniała taka sytuacja i że to nie jest akt wojny?

Pytania się mnożą. Podpowiedzią, że zdarzenie było od początku traktowane inaczej niż rakietowy incydent w Przewodowie, jest to, że w grudniu nie mieliśmy powtórki z nocnych narad, konferencji i konsultacji na gorących liniach. Równie dobrze jednak mogliśmy mieć do czynienia z próbą przemilczenia kompromitacji na wielu poziomach: NATO, Polski, wojska i służb. Znowu okazało się, że na zaskoczenia, jakie niesie wojna, nie jesteśmy gotowi. Losy zgubionego pocisku trzeba wyjaśnić, a powietrzne granice – jak najszybciej uszczelnić. (MŚ)

31 675 791 422,86 zł

kar finansowych na przedsiębiorców nałożył **Tomasz Chróstny** w ciągu ponad trzech lat sprawowania funkcji prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Złożyło się na to **408 decyzji**. I dało absolutny rekord pod względem liczby i wysokości nakładanych kar. Trudno powiedzieć, czy to rekord skuteczności, czy raczej... śmieszności, bo żadna z gigantycznych kar nie zakończyła się przelewem na rzecz Skarbu Państwa – co UOKiK tłumaczy porządkiem prawnym i długotrwałością procedur sądowych. – *Od początków objęcia stanowiska przez prezesa UOKiK Tomasza Chróstnego do dziś przedsiębiorcy dokonali już wpłaty z tytułu kar nałożonych w 204 decyzjach na łączną kwotę 21 130 614,51 zł. W ubiegłym roku przedsiębiorcy wpłacili do UOKiK ponad 117 mln zł kar – informuje biuro prasowe UOKiK. – Tyle że większość tych wpłat dotyczy decyzji z wcześniejszych lat, nawet z 2009 r., czyli zostały wydane jeszcze za czasów prezesa Małgorzaty Krasnodębskiej-Tomkiel.*

13 lat na wyegzekwowanie kary to wcale nie rekord. Ciągłe w procedurze jest kara nałożona na banki w 2006 r. za zmwę w sprawie opłat interchange. Trwające ponad 16 lat postępowania to wynik dyskwalifikujący nie tylko wymiar sprawiedliwości, ale też całe państwo – jak zgodnie podkreślają prawnicy. Szkopuł nie leży



w tym, że od decyzji prezesa UOKiK przysługuje odwołanie do Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. A od wyroku SOKiK – apelacja, a następnie skarga kasacyjna do Sądu Najwyższego. Problemem jest państwo, które od lat nie potrafi udroźnić sądów i przyspieszyć procedur. Czego z pewnością nie ułatwi dodatkowe 408 postępowań, które przybyły za czasów prezesa Chróstnego. Tym bardziej że prezes nie boi się nakładać kar drakońskich, żeby nie powiedzieć kosmicznych – jak w przypadku **ponad 29 mld zł** kary dla PJSC Gazprom. Ale też nie zawsze potrafi je uzasadnić. O czym 21 listopada 2022 r. przekonał się po uchyleniu decyzji o karze dla Gazpromu przez SOKiK.

Na szczycie czarnej listy prezesa UOKiK jest również Jeronimo Martins Polska SA, czyli właściciel sieci sklepów Biedronka, na które urząd nałożył aż dwie gigantyczne kary. 11 grudnia 2020 r. – **723 mln zł** za „wykorzystywanie przewagi kontraktowej” (zdaniem UOKiK firma „w nieuczciwy sposób zarabiała kosztem dostawców produktów spożywczych”). I kolejne **115 mln zł** za naruszenie praw konsumentów. Konkretnie: za brak informacji o cenach produktów oraz wprowadzanie klientów w błąd poprzez stosowanie wyższych cen w kasach niż te podane na półkach. W tej ostatniej sprawie SOKiK oddalił odwołanie spółki. Ta wniosła apelację – sprawa czeka na rozpatrzenie. W kolejce są dziesiątki innych. Co powoduje, że państwo jest równie surowe, co nieudolne. (JULL)



Lżejsza korona?

Przy okazji spektakularnej **koronacji Karola III** podano, że dziś nadal monarchią jest co piąte państwo czy terytorium, a wspomniany władca króluje w piętnastu z nich. Padło też nieeleganckie pytanie: jak długo jeszcze? U siebie ma sytuację ustabilizowaną: tylko 14 proc. poddanych jest za obaleniem monarchii, a 20 proc. wśród 18–34-latków. Nie są to nastroje rewolucyjne. Ale w pozostałych królewskich stolicach przynajmniej dyskutowana jest idea republiki, a punktem zwrotnym była śmierć Elżbiety II. Była „od zawsze”, a kiedy jej zabrakło, wyparował też duch monarchii, zwłaszcza dla młodszego pokolenia. Najdziej zasłynął sprawą na Jamajce i w Belize. Tak jak w 2021 r. zrobił to Barbados, dawna „mała Brytania”, chcą szybko stać się republikami – i takie przesłanie przywiozły na koronację do Londynu. Jamajka planuje referendum w przyszłym roku, Belize w ogóle go nie potrzebuje, a Antigua i Barbuda daje sobie do trzech lat. Na Karaibach gorący jest temat wyzysku i rozliczeń z niewolnictwem, za które korona nigdy nie przeprosiła.

Australia miała już takie referendum ćwierć wieku temu, a teraz po raz pierwszy ma swojego ministra do spraw republiki i debatę konstytucyjną dotyczącą sposobu wyboru głowy państwa. Nowe referendum to tylko kwestia czasu, ale aby było skuteczne, wymagana jest większość głosów na „tak” w całym kraju oraz większość przynajmniej w czterech z sześciu stanów. Według aktualnych sondaży trudno byłoby to dziś osiągnąć, jednak trendy są nieubłagane. Podobnie w Nowej Zelandii, gdzie premier Chris Hipkins ogłosił właśnie, że jest „republikaninem z ducha” i działa nowo powołany urząd do spraw republiki. I tu, i tu antywypisarskie nastroje kształtuje wielka fala przewartościowań dotyczących pierwszych mieszkańców tych ziem. W Kanadzie, wraz ze śmiercią królowej, też nastąpił przełom: po raz pierwszy w badaniach opinii ponad połowa nie chce monarchii dla następnych pokoleń, a do Karola ma stosunek obojętny. Najsilniejsze takie nastroje panują w Quebecu (tu od roku lokalni parlamentarzyści nie muszą już przysięgać na koronę), ale ogólnonarodowa decyzja wymagałaby zgody obu izb w Ottawie oraz wszystkich 10 prowincji. A to jeszcze trochę musi potrwać.

O naukowych poglądach Karola III – s. 65

Scenarzyści się boją

WHollywood zastrajkowali scenarzyści, zaniepokojeni perspektywą spadku wynagrodzeń i słabnącą gwarancją stałego zatrudnienia w związku z technologiczną rewolucją w mediach. Strajk zaczął się po zerwaniu rozmów między ich związkiem zawodowym, czyli Writers Guild of America (WGA), a amerykańskim stowarzyszeniem producentów filmowych i telewizyjnych (czyli AMPTP). Scenarzyści są rozżaleni, że produkcja filmów i seriali przez coraz popularniejsze wśród widzów platformy streamingowe, jak Netflix czy HBO Max, wymaga, zdaniem wytwórni, mniej pracy przy scenariuszach, a więc mniejszej liczby ich autorów. Domagają się także uczciwych *residuals*, czyli tantiem za powtórna

emisję filmów, która w epoce „strumieniowania” nie ma ograniczeń, bo można je oglądać na życzenie. Producenci odrzucili te postulaty, gdyż, jak twierdzą, sami mają finansowe kłopoty. Po pandemii Amerykanie wracają do kin, ale bardzo powoli i niechętnie, przyzwyczajeni najwyraźniej do oglądania filmów w domu na swoich coraz większych ekranach.

Scenarzyści w USA nie zarabiają najgorzej, ale przy okazji najnowszego konfliktu wyszło na jaw, że obawiają się, iż niedługo w ogóle stracą pracę – bo zastąpi ich sztuczna inteligencja. Telewizja BBC użyła już coraz szerzej stosowanego gdzie indziej programu ChatGPT do napisania monologów rozpoczynających jeden z jej wieczornych talk-shows. W negocjacjach z AMPTP przedstawiciele gildii

zażądali więc, żeby w nowym kontrakcie zbiorowym studia filmowe zobowiązały się, iż do pisania scenariuszy nie będą korzystały z pomocy sztucznej inteligencji (AI). Producenci odmówili – zaprosili tylko scenarzystów na okresowe zebrania, na których będą ich informowali o wszelkich przewidywanych zmianach procedury powstawania produkcji telewizyjnych seriali. Inaczej mówiąc – uprzedzą ich, kiedy podziękują im za dalsze usługi.

Wygląda na to, że aby wygrać konkurencję z AI, autorzy z hollywoodzkiej fabryki snów będą musieli wyjść poza ograne fabularne schematy i mocniej wyżyć twórczą wyobraźnię. Ale tak czy inaczej dalszy ciąg tej opowieści napisze prawnik komputera Halla z „2001: Odysei kosmicznej”.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU



Sudan rozmawia

Po miesiącu walk strony wojny domowej w Sudanie zasiadły do negocjacji. Jak mówią, „wyłącznie humanitarnych”, dotyczących m.in. ewakuacji z Chartumu najbardziej potrzebujących i dopuszczenia pomocy dla tych, którzy zostali w sudańskiej stolicy. Rozmowy, toczone pod amerykańsko-saudyjskim patronatem w Dżuddzie, mogą być jednak wstępem do trwałego zawieszenia broni (nietrwających było już kilka) między gen. Abdelem Fattahem al-Burhanem, dowódcą regularnej armii i de facto głową państwa, oraz Mahammadem Hamdanem Dagalo, znanym jako Hemedti, szefem paramilitarnych oddziałów i przywódcą buntu. Mimo rozmów **walki w Chartumie** jednak nie ustały. ONZ szacuje, że zginęło już w nich prawie tysiąc osób, głównie cywilów, a ponad 100 tys. uciekło ze stolicy, przeważnie w kierunku Port Sudanu.

Konflikt wybuchł 15 kwietnia, przerywając plan przekazywania władzy z rąk wojskowych w cywilne. Rozpoczął się wraz z obaleniem po 30 latach brutalnych rządów Omara al-Baszira, odpowiedzialnego – według Międzynarodowego Trybunału Karnego – za zbrodnie przeciwko ludzkości w Darfurze (ok. 300 tys. ofiar). W ramach planu władzę po nim tymczasowo miała przejąć tzw. Rada Suwerenna i przygotować demokratyczne wybory. Dwa lata temu dzisiejsi rywale, al-Burhan i Hemedti, obalili jednak Radę i zapowiedzieli, że wspólnie dokończą demokratyczną tranzycję. Wygląda na to, że Hemedti zmienił zdanie.

Jego pozycja to wynik strachu al-Baszira, który – obawiając się o zamach stanu ze strony regularnej armii – zaczął wcielać do struktur obronnych lokalne milicje, którymi posługiwał się w Darfurze, m.in. tzw. džandżawidów (diabły na koniach), aby równoważyły pozycję zwykłych wojskowych. Na czele tych wchłoniętych przez państwo milicji, zwanych dziś Siłami Szybkiego Wsparcia (RSF), stanął właśnie Hemedti. Zdaniem ekspertów wywołanie wojny domowej było dla niego ostatnią szansą na przejęcie władzy w Sudanie i jednocześnie uniknięcie odpowiedzialności za zbrodnie w Darfurze. Dlatego na długofalowy sukces rozmów w Dżuddzie raczej nie ma co liczyć.

Czerwony od krwi

To druga wojenna defilada w Moskwie i drugi 9 maja bez zwycięstwa. Tym razem święto przypadało na 440. dzień wojny, której Rosja nie wygrywa i prawdopodobnie nie wygra. Wcześniej okazało się, że nad Kreml mogą wlecieć tajemnicze drony, Bachmut jest nie do zdobycia, amerykański Patriot potrafi strącić najnowszy rosyjski pocisk hipersoniczny, a baza floty czarnomorskiej w Sewastopolu nadal nie jest zabezpieczona przed bezzałogowcami. Gdy buty rosyjskich żołnierzy uderzały w bruk placu Czerwonego, Ukraina meldowała o wyeliminowaniu z walki blisko 200 tys. ich towarzyszy. Nawet jeśli liczba poległych jest mniejsza, rosyjska armia nie poniosła takich strat od drugiej wojny światowej. Na Zachodzie nie brakuje ocen,

że armii która poszła na wojnę przed ponad rokiem, zwyczajnie już nie ma. A może być gorzej. Nad słoneczną jak na zamówienie Moskwą unosi się niewidzialny cień ukraińskiej kontrofensywy, która urosła do mitycznej rangi, zanim się jeszcze zaczęła.

Ukraińscy oficjele tonują oczekiwania, mimo że wcześniej z pewnością siebie kreślili wizję odzyskania Donbasu i Krymu. Wyszkolone na Zachodzie i uzbrojone w zachodni sprzęt brygady zmechanizowane oraz wypoczęte i dobrojone jednostki na sprzęcie ukraińskim na pewno są w stanie pogonić Rosjan w pierwszym uderzeniu, ale pytanie, na jak długo wystarczy im amunicji, wsparcia logistycznego i ludzi. W oczekiwaniu na to uderzenie Rosja przeszła do obrony, umacniania swoich pozycji i desperacko walczy jedynie o symboliczny dla obu stron

Bachmut. Bomby zapalające obracają miasto w zgliszczą, ale najgorętszy bój toczy się między watażką grupy najemników a zwierzchnikami regularnej armii. Lider grupy Wagnera Jewgienij Prigożyn najpierw w konwencji bluzgu przeciwko ministrowi obrony Siergiejowi Szojgu ogłosił wycofanie jego oddziałów z Bachmutu do 10 maja, aby następnego dnia cofnąć groźbę po rzekomo otrzymanej obietnicy dostaw amunicji. Nerwy puszczają Rosjanom, zanim Ukraińcy na serio ich przycisnęli. Ofiarą mogła paść pięcioosobowa załoga polskiego samolotu rozpoznawczego, patrolującego Morze Czarne w misji unijnego Frontexu. Rosyjski myśliwiec chciał strącić nieuzbrojoną maszynę bez użycia broni, tak jak zrobił to z amerykańskim bezzałogowcem. Na szczęście też nie wygrał.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI
O przyszłości Krymu piszemy na s. 54

Kuba bez parady

Jeszcze rok temu, wbrew pogłębiającemu się kryzysowi, w pierwszomajowej paradzie milion Kubańczyków zwiezionych do Hawany manifestował poparcie dla rewolucji – tak przynajmniej głosiła oficjalna wersja. Teraz w ostatniej chwili odwołano to najważniejsze święto z powodu braku paliw. Kuba wielokrotnie przeżywała podobne kryzysy, ale ten jest zdecydowanie najostrejszy, po załamaniu się dostaw z Wenezueli, od upadku ZSRR największego dostawcy ropy. Wenezuela sama przeżywa ostry kryzys i nie stać jej na hojne gesty, a w dodatku, po złagodzeniu sankcji, wróciła możliwość eksportu ropy do USA. Natomiast amerykańskie sankcje nałożone na Kubę, wzmocnione jeszcze za prezydentury Trumpa, ani drgną. A po krwawo stłumionych protestach społecznych w lipcu 2021 r. (500 skazanych nawet na 25 lat) klimat jeszcze się zaostrzył. A prezydent Miguel Díaz-Canel, właśnie wybrany przez parlament na drugą kadencję (dostał 97,6 proc. głosów), z którym wiązano pewne nadzieje na zmiany, całkowicie stracił twarz.



Jedną z jego najgłośniejszych reform dotyczyła swobody wymiany peso na dolary. Po dwóch latach skutek jest taki, że dolar zdrożał 24 do 120 peso, a na czarnym rynku kosztuje 185 peso. Według relacji „El Pais” życie na wyspie powoli zamiera. Mieszkańców dobija drożyzna, kłopoty z żywnością i lekami oraz przerwy w dostawach prądu. Ludzie koczują w wielodniowych **kojawkach po paliwo**. Wszelka działalność gospodarcza, również ta drobna, prywatna, odbywa się na zwolnionych obrotach, zbiory trzciny cukrowej, z powodu braku transportu, zapowiadają się najgorsze od lat, a na przykład uczelnie znów przeszły na system zdalny, bo nie ma jak do nich dojechać. Z nielicznych dobrych wiadomości: od stycznia ambasada USA wznowiła wydawanie wiz, z limitem 20 tys. rocznie. Według danych amerykańskich służb w 2022 r. przyłapano na nielegalnym przekraczaniu granicy 224 tys. Kubańczyków, w sumie zesłoroczną falę emigracji szacuje się na ponad 350 tys. osób, co w liczącym 11,2 mln mieszkańców kraju jest bodaj światowym rekordem.

Bezsiła trzecich sił

Miały zmienić polską politykę, ale to polityka je zmieniła i pochłonęła. Trzecie siły, partie protestu, antysystemowcy, wolnościowcy najpierw budzili entuzjazm, potem wzruszenie ramion, a na końcu często pusty śmiech. W kolejce czekają następne formacje, które chcą osuszyć bagno przy Wiejskiej. Czy czeka je ten sam los? Oto kronika wyborczych wypadków miłosnych.

MARIUSZ JANICKI

Smętna szamotanina Pawła Kukiza, który stawia kolejne warunki PiS, aby łaskawie dać się wziąć na listy tej partii, a jednocześnie bierze od władzy miliony na podtrzymanie swojej politycznej egzystencji, pokazuje bolesną drogę tego byłego rockowego muzyka. Kiedy zdobył 20 proc. w wyborach prezydenckich w 2015 r., wydawał się objawieniem, dziennikarze ustalili się do niego w kolejce, socjologowie pisali szczegółowe analizy dotyczące elektoratu Kukiza i ogólnie jego fenomenu. Głoszono nową polityczną epokę, zbliżający się koniec starych partii, przełamanie duopolu PO-PiS, nadejście nowych twarzy, ludzi niezsutych przez system, reprezentujących nowych wyborców itd. A kiedy jeszcze kilka miesięcy później Kukiz wprowadził do Sejmu ponad 40 posłów, chwaleniu nie było końca.

Od początku widać było gołym okiem, że Kukiz nie ma pojęcia o polityce, wygłasza kompletne banały, rzeczy niemądre i szkodliwe, ale wypadło się nim zachwycać jako kimś, kto wie coś o Polsce, „dotknął jakiegoś istotnego społecznego nerwu”. Znowu naturzcyk zdobył podziw inteligentnych środowisk. Kiedy ktoś przedstawiał bardziej sceptyczne opinie, zauważał słabości nowego idola i głoszone przez niego bzdury (choćby na temat jednomandatowych okręgów wyborczych), uchodził za malkontenta, człowieka starej daty, który nie rozumie wyłaniającej się rzeczywistości. Odbyła się ta cała charakterystyczna szopka połączona z egzaltacją, powtarzająca się zresztą z zabójczą regularnością.

Szybowanie i spadanie

Wcześniej, w 2011 r., w roli Kukiza wystąpił Janusz Palikot ze swoim Ruchem, który w wyborach zdobył 10 proc. poparcia. Wtedy też to była „nowa Polska”, odezwanie się młodych, inaczej patrzących na politykę, przed którymi rysuje się wspinała przyszłość. Ruchowi Palikota będzie tylko przyrastać, bo to obyczajowa lewica z elementami liberalnymi – wielki potencjał. Fakt, że w tamtych wyborach Platforma i PiS zdobyły łącznie ponad 70 proc. głosów, zdawał się niczym wobec sukcesu Palikota, zresztą byłego posła PO.

Robert Biedroń

Paweł Kukiz

Sławomir Mentzen

Janusz Palikot

Pojawił się ten sam zaśpiew negujący „stare partie”, które żyją archaicznymi problemami. Ruszyli dziennikarze i socjologowie, zainteresowanie sygnalizowali znani działacze i profesura itd. Ale po wejściu do Sejmu Ruch Palikota zaczął się rozpadać w oczach, skłócił się, brnął w jakieś kuriozalne propozycje programowe od lewa do prawa, jak choćby postulat, aby stawiać nowe państwowe fabryki. Od 2013 r. Ruch już się gwałtownie sypał. Palikot zaczął wyrzucać posłów z klubu (np. Wandę Nowicką), inni sami odeszli. Nastąpił szereg podziałów, fuzji i przekształceń, aż w końcu resztki Twojego Ruchu (tak to się nazywało od końca 2013 r.) razem z resztkami SLD przegrały wybory w 2015 r., w wyniku czego PiS doszedł do władzy.

Wtedy jednak objawiła się Nowoczesna, która obok Kukiz'15 była rewelacją wyborów w 2015 r. Ryszard Petru z podwinętymi rękawami białej koszuli na niebieskim tle wydawał się Tuskiem nowszej generacji, który stworzył młodszą i lepszą Platformę. Nowoczesna, z wynikiem 7,6 proc., zdobyła ponadtrzykrotnie mniej głosów niż PO, ale w tamtej narracji

Ryszard Petru

Szymon Hołownia

to partia Kopacz i Tuska doznała klęski, a Petru i Kukiz (8,5 proc.) zostali ogłoszeni jako wielcy zwycięzcy. Znowu zadziałał znany mechanizm uruchamiania fascynacji i entuzjazmu, na fali których nawet poważni komentatorzy i eksperci tracili wyczuć miary i proporcji. O Petru pisano, że odnowił liberalny etos, wrócił do korzeni Platformy, a nawet dawnego KLD, że reprezentuje prężną klasę średnią, która ma już dość wojny polsko-polskiej, chce się skupić na ekonomii i uczciwym bogaceniu się. Mówiono: to wreszcie ta upragniona, umiarkowana centroprawica, ale bez „kościółkowego” tonu, a takiej zawsze w Polsce brakowało. Na papierze wszystko się zgadzało, w realu było gorzej. I tu schemat się powtórzył: sondaże najpierw szybowwały w górę, zdarzały się słynne „mijanki” z PO (kiedy sam Ryszard Petru ogłaszał się liderem opozycji!), a potem dołowały, ludzie się wykruszali, przywódca popełniał grube polityczne i piarowe błędy (słynny wyjazd na Maderę), mimo że miał i przedstawiał dziennikarzom swoją dyktando ds. piaru, co było pewną nowością. Następczyni Petru nie zatrzymała spadkowych trendów i nastąpił koniec samodzielnego bytowania. Partia roztopiła się w zdominowanej przez PO Koalicji Obywatelskiej. Klasyka „trzeciej siły”.

Odwoływane przełomy

W tymże 2015 r. do Sejmu nie weszła partia Razem (ok. 3,6 proc. głosów), a podzielenie – i w konsekwencji wypadnięcie z Sejmu – lewicy utorowało wówczas Kaczyńskiemu drogę do bezwzględnej sejmowej większości. Razem to wieczny start-up, który trwa, ale nie rośnie. Od dawna nie są już notowani oddzielnie na sondażowej giełdzie. Musieli się w końcu przytulić do SLD, aby w 2019 r. w końcu wprowadzić kilka osób na Wiejską. Znowu nowa siła skorzystała z tej „starej i wypalonej”. Nie przeszkadza to Adrianowi Zandbergowi w nieustannym pouczeniu innych partii opozycyjnych, w występowaniu w roli mentora i ideowego guru, który patrzy na resztę z politowaniem. To niesamowite, jak małe postępy można zrobić przez długie osiem lat, nie zyskać realnego, mierzonego poparcia, poza retoryczną sympatią ▶

Adrian Zandberg

► w bańce obejmującej kilka warszawskich dzielnic. Partia Razem szczyty się niezależnością i odrębnością, ale w istocie ma taką pozycję w Lewicy, jak Nowoczesna w Koalicji Obywatelskiej.

Ciekawe, że kolejne „zawody miłosne” niczego nie nauczyły wielu wyborców i publicystów. Byli gotowi na kolejne uniesienia, czekali na nowych politycznych guru, którzy zmieniają wszystko. Następna była Wiosna. Kiedy w lutym 2019 r. wystąpił Robert Biedroń i ogłosił powstanie swojej formacji, jego przemówienie uznano w opozycyjnej „bańce” za przełomowe i porywające, pojawiły się opinie, że polska polityka odąd będzie się dzieliła na okres sprzed mowy Biedronia i ten po niej. Wszystko w Biedroniu miało być świeże, ciekawe, świetnie wymyślone i podane. Na tym tle reszta opozycji jawiła się zmęczona, zmurszała, bez wdzięku i krzty charyzmy. Przełomowi wcześniej Kukiz i Petru już się walali w składzie rzeczy używanych, choć jeszcze niedawno to oni byli tak interesujący i nadzwyczajni. Ale niktogo to nie niepokoiło, bo pojawił się nowy pupil. Oczywiście jako nowa gwiazda nie przyłączył się do Koalicji Europejskiej – jedynej jak dotąd wspólnej opozycyjnej listy, żeby się nie zarazić polityczną starzyzną. I opozycja europejskie wybory przegrała, a Biedroń dostał 6 proc., choć jeden z „powitalnych” sondaży po powstaniu Wiosny dawał jej 16 proc.

Już kilka miesięcy później partia Biedronia weszła w skład koalicji Lewica i nikt jej od tej pory w autonomicznym bytowaniu nie widział. W 2021 r. została formalnie rozwiązana, stapiając się ze starym SLD. W tym przypadku szybowanie było jeszcze niższe i krótsze. To też charakterystyczne, że te nowe, przełomowe partie w końcu są wchłaniane przez ugrupowania, dla których miały być nowoczesniejszą alternatywą.

Ratowanie ratowników

Teraz funkcjonują dwa polityczne start-upy: Polska 2050 i Konfederacja. Partia Szymona Hołownia miała podobny rodowód jak Kukiz'15, wzięła się z sukcesu (na miarę 13,8 proc.) jej lidera w ostatnich wyborach prezydenckich, ale z tą różnicą, że jeszcze nie przeszła weryfikacji w wyborach parlamentarnych. Oczywiście Hołownia w 2020 r. zaliczył cały proces wychwalania, fascynacji i badania swoich wyborców. Wszystko, co mówił, było nowe, świeże itd. Był kolejną alternatywą dla Platformy, miał odnowić liberalną ziemię jako spokojny centrysta, w sam raz dla tych, którzy rozczarowali się tzw. lewicowym skretem Platformy. Słysząc było, że Hołownia będzie przejmował dla opozycji wyborców PiS, dlatego trzeba na niego chuchać i dmuchać. Oczywiście nic takiego się nie stało. Zaczął podbierać wyborców Platformie, według schematu Nowoczesnej: nagły wzrost w sondażach, miłanka z PO, a potem, po powrocie Donalda Tuska, spadek grubo poniżej poziomu swojego poparcia z wyborów prezydenckich. Jeszcze przed ostatecznym testem poparcia, czyli wyborami do Sejmu, Hołownia jawi się już jako polityk po przejściach, ze słabym ugrupowaniem, wewnętrznymi kłótniami i kłopotami z finansowaniem całej inicjatywy. To on miał ratować, a teraz trzeba było ratować jego. Tak można patrzeć na wymuszoną w gruncie rzeczy koalicję z PSL. I znowu stara, wręcz najstarsza partia na polskim rynku musiała się stać podpórką dla „odnowiciela”.

Z Konfederacją, chyba jako jedyną, stało się trochę inaczej. Nie było fali entuzjazmu, może jakiś rodzaj politologicznego zainteresowania dziwnym tworem, podszytego obawą o autorytarne i antydemokratyczne zapędy działaczy tej formacji.

Wszystkie
przełomowe partie
odnowy, protestu
i antysystemu osiągają
plus minus 10 proc.
w wyborach,
potem jest zazwyczaj
gorzej.

Ale tzw. przełom okazał się tylko odłożony w czasie. Wystarczyło, że Konfederacji notowania skoczyły – dodajmy dla porządku, że średnio o ok. 2,5 proc. (!) – aby rozpoczęła się „konfederacja jomania”. Wszystko, co znane, wróciło: socjologowie, analizy, badanie osobowości lidera Sławomira Mentzena, zainteresowanie autorytetów. I inne znane wątki: „Konfa” podbiera wyborców Platformie po jej skreście w lewo, tam teraz przeniósł się prawdziwy liberalizm (co potwierdził „sam Leszek Bałcerowicz”, Konfederacji coś wiedzą o Polsce, a zwłaszcza o młodych mężczyznach, trzeba się przysłuchiwać, nie lekceważyć, „bo się potem zdziwimy”). Nagle wcześniejsi troglodyci wypiękniali, a to, co przez lata głosili, uznano za normalną polityczną retorykę. Znowu pojawiła się fascynacja nowością i świeżością, w przeciwieństwie do zmurszałych, przechodzonych itd. Objazdowy cyrk powrócił.

Marny los prekursorki

Wszystkie przełomowe partie odnowy, protestu i antysystemu osiągają plus minus 10 proc. w wyborach, to wręcz jakaś reguła, a potem jest zazwyczaj gorzej, a następnie znacznie gorzej. Politolog Jarosław Flis ma własne określenie na takie twory – TUP: tymczasowe ugrupowanie protestu. Za każdym razem wynik TUP jest uznawany za wielkie wydarzenie, mimo że partie te nie wchodzi do rządu i nie mają wpływu na kształt prawodawstwa. Jedyną partią z tych „pozasystemowych”, która do rządu została dopuszczona, była prekursorka trzecich sił, czyli Samoobrona (była jeszcze LPR, ale jako kolejna kombinacja istniejących partii narodowo-katolickich). Partia Leppera w 2001 r. dostała w wyborach 10,2 proc. głosów, a w 2005 r. – ok. 11 proc., więc tu się zgadza. W przedterminowych wyborach w 2007 r. jej wynik to już

tylko 1,5 proc., to też się zgadza, ale i tak udało się jej dwukrotnie, bez koalicyjnych podpórek, wejść do Sejmu, i jest to w tej kategorii na razie absolutny rekord. Jednak Andrzej Lepper zapłacił za te sukcesy bardzo wysoką cenę, a Samoobrona ostatecznie rozpadła się i przepadła.

Trzecie (realnie najczęściej czwarte i piąte) siły jakieś skromne wiano do życia publicznego wносиły, pokazało się kilka nowych twarzy, parę wartościowych osób zacumowało w polityce na dłużej. Pojawienie się nowych formacji wpływało czasami na programy i strategię tych już istniejących (nie zawsze pozytywnie), wrzucano nowe

tematy (np. LGBT). Ale ogólny bilans wydaje się mocno rozczarowujący. Co zatem powoduje, że polityczne start-upy nie dają rady, przegrywają i raczej szkodzą, niż pomagają polskiej polityce?

Amatorszczyzna. Zawodowi politycy z zewnątrz często wydadają się publiczności nieogarnięci, kuriozalni, nie za mądrzy, przejawiający złą wolę, wygadujący brednie. Dlatego wkroczenie do tego świata i zrobienie tam „porządku” wygląda w oczach pretendentów na dziecinnie łatwe, na zasadzie, że każdy to potrafi. Ale to pozory, „ludowe” widzenie tej rzeczywistości. Polska polityka, mimo swoich wad, śmieszności, bywa, że podłości, przez lata bardzo się profesjonalizowała, jej uczestnicy nabrali doświadczenia w technikach wpływu, biegłości w parlamentarnych podchodach i propagandzie, słono opłacają doradców i sekcje badawcze. Polityczni start-uperzy szybko się przekonują, że to oni sami „nie łapią”, są ustawiani, manipulowani i rozgrywani. Tak było z Lepperem, który zapowiadał w Sejmie „koniec Wersalu”, był buńczuczny i brutalny, ale trafił na znacznie twardszych zawodników. Podobnie było

z pewnymi siebie Palikotem, Petru i innymi, a najbardziej z Kukizem, którego amatorszczyzna najbardziej biła i nadal bije po oczach. Były muzyk został przez politykę znokautowany i ośmieszony. Widać w jego przypadku jeszcze jedno: startował na prezydenta, a potem do Sejmu z kilkoma hasłami, które miały uzdrowić kraj. Uczępił się jednomandatowych okręgów i sędziów pokoju i był za to gotów sprzedać wszystko, pójść z każdym, jak przyznawał, nie dostrzegając absurdalności swojej postawy. Takie uporczywe trzymanie się kilku tematów i niedostrzeganie, że dookoła toczy się złożone, społeczne życie, gdzie istnieją setki ważnych kwestii, jakaś ich hierarchia, to też cecha amatorów, których skomplikowana rzeczywistość przerasta. Dochodzi do tego specyficzny egotyzm, narcyzm, przejawiający się choćby w tendencji do włączania do nazw partii nazwisk liderów, a czasami jest to wręcz samo nazwisko. Już po tym widać, że to się nie może udać.

Syndrom zbieraniny. Doświadczone partie polityczne dokonują pewnej selekcji zarówno swoich członków, jak i kandydatów na parlamentarzystów, ministrów itd. Oczywiście i im zdarzają się koszmarnie wpadki, zdrady, odejścia, ale znacznie częściej dotyczy to nowych formacji, tych 10-procentowych. Tam przychodzą ludzie przypadkowi, kompletnie niesprawdzeni, często chcący załatwiać przez politykę własne interesy. Potem w Sejmie rozpadają się całe kluby, posłowie tworzą minikluby albo wspierają obóz władzy. Zniekształca to istotnie wynik wyborów, jak choćby wtedy, kiedy kilku kukizowców przez długi czas dokładało się do sejmowej większości PiS i bez nich Kaczyński przegrałby wiele ważnych głosowań. Co prawda w 2019 r. wpuścił ich na Wieską Kosiniak-Kamysz, ale nieszczęście rozpoczęło się cztery lata wcześniej, kiedy Kukiz'15, korzystając ze swojej „przełomowości”, wprowadził do Sejmu kilkadziesiąt osób, które niemal w komplecie Kukiza opuściły i rozeszły się w różnych kierunkach, w tym do PiS i jego okolic. Ale i Nowoczesnej zdarzały się przejścia do obozu władzy, a nawet lewicy. Tak jest wtedy, gdy ludzie formacji nie łączą program, a zwłaszcza polityczna lojalność i ugruntowany ideowy profil. Wtedy wszystko jest możliwe. Niedawno marszałek Terlecki stwierdził, że ludzie popierający PiS wejdą do Sejmu także z list innych partii, bo wszyscy się na tej piisowskiej nie mieszczą – i zapewne wie, co mówi.

Tak zwana antysystemowość. Mało jest tak bałamutnych określeń, jak „antysystemowy”. Przypomina to inne pojęcia z tego samego koszyka: „grupowania niepodległościowe” czy „wolnościowcy” albo „środowiska propolskie”. Dziennikarze często powtarzają bezrefleksyjnie te określenia, z czego wynika, że innym formacjom nie zależy na niepodległości, wolności czy polskości. Podobnie „formacja antysystemowa” jest traktowana jako twór obiektywnie istniejący i z tą etykietą nowe partie śmiało zmierzają do Sejmu. Po czym okazuje się, że wpadają w system jeszcze bardziej niż te „systemowe”, a ich politycy powielają negatywne cechy zawodowców i je potęgują, przy tym są bardziej nieudolni. Wciąż jednak znajdują się wyborcy chcący wierzyć, że oto przychodzi partia, która tym razem „naprawdę zmieni wszystko”, „oczyszczy” i „odnowi”, „zmieni język”.

Najgłębsze zaś „antysystemowe” działania są dziełem „normalnego” PiS, to ta formacja na serio demontuje ustrój, odchodząc od liberalnej demokracji, a „antysystemowcy” mogą być

do tego co najwyżej instrumentalnie wykorzystywani. Pytanie brzmi, jak dłużej jeszcze ten zakłamywany sztyld antysystemowości będzie ułatwiał wkraczanie do polityki komuś takiemu, jak np. Kukiz i jemu podobni. W przypadku tzw. trzecich sił widać także charakterystyczną prawidłowość: chcą one, w deklaracjach, „rozbić duopol PiS-PO”, „osłabić szkodliwą polaryzację w społeczeństwie i system, który za nią stoi”. Ale ponieważ strona PiS jest zwarta i za sprytna dla nowicjuszy, wejście nowego ugrupowania rozdrabnia tylko opozycję – bo nie zyskuje ono nowych wyborców i nie przejmuje elektoratu rządzącej prawicy. A każde rozdrobnienie opozycji wzmacnia PiS. Co więcej, te polityczne start-upy nie bardzo chcą wchodzić w większe wyborcze sojusze, bo z odrębności wobec „PO-PiS” tworzą swój wizerunek, jak w ostatnim czasie Polska 2050 Hołowni.

Dołączają do tej kategorii Bezpartyjni Samorządowcy, na ich niedawnej konwencji padło klasyczne: „Dość kłótni PiS-PO. Dość skłócania Polaków. Dość wojny polsko-polskiej”. Bezpartyjni Samorządowcy zamierzają wystawić swoich kandydatów na posłów, a także senatorów we wszystkich okręgach, rzecz jasna poza opozycyjnym Paktem Senackim, co – tłumacząc na język praktycznej polityki – oznacza, że Bezpartyjni i tak raczej nie wejdą do Senatu, ale szanse PiS na odzyskanie tej izby znacząco rosną. W każdym razie propagandyści obecnej władzy bardzo sprzyjają temu projektowi. W ten sposób walka trzecich sił z duopolem w praktyce prowadzi nie do pluralizmu, ale do monopolu jednej partii. Na tym polega dzisiaj zasadniczy paradoks „partii protestu”: nie chcą „walki plemion”, a więc będzie rządzić jedno plemię.

Kłątwa 10-procentowców

Oczywiście ugrupowania muszą jakoś powstawać. W 2001 r. zostały założone PO i PiS, które działają już przeszło 20 lat i wciąż pozostają dwiema najsilniejszymi partiami. W pierwszych wyborach dostały jednak odpowiednio 12,7 proc i 9,5 proc., czyli jak wszystkie start-upy. Ale potem szły w górę, bo w obu przypadkach stworzyli je politycy doświadczeni, z korzeniami we wcześniejszych dekadach. PiS był kontynuacją Porozumienia Centrum, nową odsłoną radykalizowanej prawicy z lat 90., Platforma – reinkarnacją Unii Wolności, potem w połączeniu z liberałami z KLD. To od początku były dość zwarte, zorganizowane grupy, z mocną ideową identyfikacją, polityczną legendą i wyrazistymi liderami. To prawda, że teraz nowi mają trudniej, bo starsze partie mają już pieniądze i struktury. Ale te nowe siły po wejściu do Sejmu też otrzymywały idące w miliony dotacje i subwencje z budżetu. Tyle że potem, mimo tego finansowego wsparcia, nie dawały rady.

Czyli to jednak nie w tym rzecz, ale w autentyczności reprezentowania szerszych społecznych interesów, zajmowaniu się całością spraw państwa, w wyczuwaniu pewnych kulturowych kodów i potrzeb ludzi. Chodzi o reprezentację stron autentycznego politycznego i ideologicznego konfliktu, choćby wielu się ten podział nie podobał i ich nudził. Ugrupowania, które walczą z duopolem PiS-PO, w istocie chciałyby wejść w rolę jednego z dwóch głównych adwersarzy, bo innego równie wydajnego politycznie konfliktu w Polsce nie ma. Chyba że stworzą nowe boisko, narzucą inną oś podziału i znajdą się w centralnym miejscu rozgrywki. Wtedy być może powstanie formacja, która złamie kłatwę 10-procentowców jednej kadencji.

MARIUSZ JANICKI

Damy nauce nauczkę

JOANNA PODGÓRSKA

PiS nie po raz pierwszy atakuje środowisko naukowe, ale to, co się dzieje po wypowiedzi prof. Barbary Engelking, to rzecz bez precedensu. Za obelgami poszły groźby finansowych sankcji.

Awantura zaczęła się zaraz po 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim. Do TVN zaproszona została prof. Barbara Engelking, autorka koncepcji wystawy „Wokół nas morze ognia” w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, której tematem są losy żydowskich cywilów w czasie powstania i po nim. Ekspozycja opiera się na nielicznych zachowanych relacjach, dziennikach, wspomnieniach tych, którzy ukrywając się w bunkrach, desperacko walczyli o przetrwanie. W ich słowach oprócz przerażenia przeplatającego się z nadzieją są także poczucie osamotnienia i lęk przed szmalcownictwem i zdradą. I o tym m.in. mówiła prof. Barbara Engelking w programie Moniki Olejnik; że Żydzi wiedzieli, czego się od Niemców spodziewać, bo Niemiec był wrogiem i ta relacja była bardzo klarowna, czarno-biała, a relacja z Polakami była dużo bardziej złożona. Polacy mieli potencjał, by stać się sojusznikami Żydów i można było mieć nadzieję, że będą się inaczej zachowywać, że będą neutralni, że będą życzliwi, że nie będą do tego stopnia wykorzystywać sytuacji i nie będzie tak rozpowszechnionego szmalcownictwa. „Żydzi nieprawdopodobnie rozczarowali się co do Polaków w czasie wojny” – stwierdziła. Dla tych, którzy wiedzą cokolwiek o historii Holocaustu, są to słowa oczywiste. Prof. Engelking nie powiedziała nic nowego. Ona i inni badacze Zagłady piszą o tym od lat. Ale w czasie przedwyborczym ta wypowiedź wprawiła prawicowych polityków w stan histeryczno-patriotycznego wzmożenia.

Premier Mateusz Morawiecki określił tę wypowiedź jako „skandaliczną” i „pseudohistoryczną”. Według niego to Polacy byli przeszkodą i barierą dla Holocaustu, a nie współwinnymi, o czym świadczą ma liczba Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Do nagonki szybko włączyła się TVP Info. Padły

najcięższe oskarżenia: „kłamstwo”, „antypolska narracja”, „szcucie na Polaków”, wreszcie „polakożerstwo” i „rasizm”. W programie „Strefa starcia” poseł PiS Dominik Tarczyński grzmiał: „Dosyć tego! Dosyć dziesiątek lat plucia na nas i obrażania całych narodów!” i zapowiedział złożenie wniosku do prokuratury. Prezes IPN Karol Nawrocki wysłał list otwarty do prezeski i dyrektorke zarządzającej Warner Bros. Discovery w Polsce Katarzyny

Kieli, w którym pisze: „Twierdzenia Barbary Engelking, że »Polacy zawiedli«, są haniebne, to policzek wymierzony ofiarom niemieckiej, zbrodniczej polityki eksterminacyjnej: Żydom i Polakom (...). Sumieniu pani profesor i pani redaktor pozostawiam refleksję, czy dzisiaj idąc ulicami Warszawy, będą w stanie spojrzeć w oczy skrzywdzonym ich oszczerstwami mieszkańcom”.



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Przewodniczący KRRiT Maciej Świrski zapowiedział wszczęcie postępowania wyjaśniającego w sprawie programu, tłumacząc, że w Polsce każdy, korzystając z wolności słowa, może powiedzieć dowolną bzdurę i kłamać. Rolą dziennikarza jest reagowanie na kłamstwa, bo prawo prasowe nakazuje im podawanie rzetelnych informacji. Jeśli gość programu łże, to dziennikarz ma widzom powiedzieć, że jest to kłamstwo.

Nie będę finansował

Ale najcięższe armaty wytoczył minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek. Zagroził, że ograniczy finansowanie Instytutowi Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. „Ja oczywiście nie zamierzam wpływać w żaden sposób na politykę kadrową instytutu. Nie jest to moja rola. Natomiast na pewno będę rewidował swoje decyzje finansowe, bo ja nie będę finansował na większą skalę instytutu, który utrzymuje tego rodzaju ludzi, którzy po prostu obrażają Polaków” – oznajmił. „To jest skandal i bezczelność nieprawdopodobna tej pani, zresztą nie pierwszy raz. Ta pani nie rozumie tego, co się działo w czasie drugiej wojny światowej w Polsce. Ta pani nie rozumie dramatu, chociażby rodziny Ulmów, a to jest tylko przykład. Ta pani bezczelnie obraża Polaków”.

Groźbę tę minister Czarnek powtórzył na antenie RMF FM, zapowiadając, że nie będzie dawał pieniędzy „na naukowców, którzy obrażają Polaków”. To, że określenie wybitnej naukowczynie mianem „tej pani” czy „tego rodzaju człowiekiem”, jest mało eleganckie, to najmniejszy problem.

Czarnek pobił rekordy własnej agencji, mówiąc o pieniądzach budżetowych przeznaczonych na naukę, jakby je osobiście i własnoręcznie zarobił, więc może rozdawać „po uważaniu”. Gorzej, że jest to słabo zawałowana groźba wobec instytucji naukowych, które w swoje DNA mają wpisana niezależność, że jeśli nie będą realizować wizji i mitów lansowanych przez jego partię, to je zagłodzi. Oczywiście w teorii PAN jest instytucją niezależną, ale jej funkcjonowanie zależy od dotacji budżetowej. A sytuacja finansowa PAN i bez gróźb ministra Czarnka jest dziś bardzo trudna. Kierujący akademią prof. Marek Konarzewski określił ją jako „permanentną biedę”. Brakuje pieniędzy na wypłacanie nawet pensji minimalnych i na pokrycie bieżącej działalności.

Uderzenie inflacyjne i podwyżki płac minimalnych sprawiają, że większość uczelni ma kłopoty z dopięciem budżetu. Czarnek to wie. Gdy na niektórych władze uczelni wprowadziły godziny rektorskie,

by umożliwić studentom udział w protestach przeciwko wyrokowi TK w sprawie aborcji, minister niedwuznacznie przypomniał, że to on rozdziela środki na inwestycje, badania i granty. Presję finansową stosuje minister poprzez niejasne i niemiernodajne kryteria oceny uczelni, od której zależy m.in. jej status i uprawnienia do przyznawania stopni naukowych. Częścią tej oceny jest punktacja za publikacje w naukowych czasopiśmie. Czarnek kompletnie zdemolował listę przygotowaną przez zespół ekspertów za czasów ministra Jarosława Gowina.

– *Idea Gowina była taka, że publikacje w najbardziej prestiżowych światowych pismach dostają nawet dziesięciokrotnie wyższą punktację niż w przeciętnych krajowych* – tłumaczy prof. Arkadiusz Chrudzimski, filozof z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – *To miało sens, bo proces publikacji w naprawdę prestiżowym piśmie potrafi trwać nawet dwa lata i wymaga nieporównanie więcej pracy. To miało dać ludziom motywację, by wychodzić poza własne podwórko, zamiast kisić się we własnym sosie.*

Prof. Tomasz Szlendak, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, mówi, że ta punktacja dawała impuls do pracy i w perspektywie większe środki dla nauki. Po poprawkach Czarnka na prestiżu niezwykle zyskało czasopismo katolickie. Roczники Filozoficzne KUL, które miały 20 pkt, teraz mają 100. Podobnie jak przykościelne czasopismo pedagogiczne, wcześniej w ogóle niepunktowane.

– *Skończyła się nadzieja, że wyjście z opłotków w międzynarodowość się opłaca. W środowisku zapanował marazm* – mówi prof. Szlendak.

Straszenie naukowców

Poprzednia wojna, jaką minister Czarnek wytoczył wyższym uczelniom, dotyczyła – jak to określił w Telewizji Trwam – „przekazywania ideologii genderowskiej”. Mieszając Marksa z Hitlerem i dekomunizacją, oświadczył, że nie jest to rzecz, która mieści się w procesie nauczania młodzieży polskiej, również na uczelniach wyższych. I zapewnił, że będzie bronić uczelni przed tego rodzaju ideologią. Ostatecznie jednak uznał, że zamiast zwalczać gender studies środkami administracyjnymi, wystarczy je osmieścić argumentami naukowymi.

– *Faktycznie nie podjął żadnych działań. Prowadzę zajęcia tak, jak prowadziłam, nasz instytut działa w sposób niezależny* – deklaruje prof. Magdalena Środa. – *Ale trudno sobie wyobrazić, by minister bezpośrednio interweniował w sprawę*

Uniwersytetu Warszawskiego. Na razie trudno sobie wyobrazić. Można mieć obawy, co będzie, jeśli ta władza umocniłaby się w kolejnej kadencji.

W przypadku IFiS PAN minister otwarcie zapowiedział represje finansowe. Prof. Michał Bilewicz, kierownik Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW, uznał, że tą wypowiedzią minister Czarnek przekroczył Rubikon: „Nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek przyzwolenia na naukowca, który po takich słowach zgodzi się na zasiadanie w jakichkolwiek ciałach doradczych czy eksperckich tego ministerstwa”. Jednak nietrudno sobie wyobrazić, że mogą one wywołać na wyższych uczelniach efekt mrozący – chcesz dopiąć budżet, nie narażaj się partyjnym przekazom. Konformizm się opłaca.

Co więcej, minister Czarnek zapowiedział, że zamierza zlecić bardzo szerokie badania uniwersyteckie, które wykażą „gmina po gminie zaangażowanie społeczeństwa polskiego w ratowanie Żydów”. Pomysł podwójnie kuriozalny. Po pierwsze – jest rzeczą raczej niespotykaną, by minister zlecał badania historyczne mające wspierać partyjny przekaz. A po drugie, badania dotyczące stosunku społeczeństwa polskiego wobec Żydów podczas okupacji – gmina po gminie – od lat się toczą i są w nie zaangażowani najwybitniejsi eksperci i badacze. Przypomnijmy choćby „Judenjagd” Jana Grabowskiego, „Jest taki piękny słoneczny dzień” Barbary Engelking, „Miasta śmierci” Mirosława Tryczyka. Wszystkie oparte na relacjach naocznych świadków spisanych podczas powojennych procesów polskich sprawców grabieży i mordów dokonanych na żydowskich sąsiadach.

Prof. Barbara Engelking wraz z prof. Janem Grabowskim jest także redaktorką przełomowego, dwutomowego dzieła „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”. Zespół, którym kierowała prof. Engelking, przez lata zbierał relacje, dokumenty i wspomnienia, by poddać je szczegółowej analizie i weryfikacji. Obraz, który się z nich wyłania, jest skomplikowany i niejednoznaczny, wskazuje jednak na większą, niż mogłoby się wcześniej wydawać, skalę uczestnictwa Polaków w Holokauście. I to się prawicy nie mogło spodobać. Przy tak gigantycznej skali badań drobne pomyłki są nieuniknione. I pomyłka się znalazła – opisany w książce jako współpracujący z Niemcami sołtys Edward Malinowski okazał się nie tym Edwardem Malinowskim (były we wsi dwie osoby, które nazywały się tak samo). Mimo że autorzy do pomyłki się przyznali, siostrzenica Edwarda Malinowskiego, ►

► wspierana przez Fundację Reduta Dobrego Imienia, pozwała autorów do sądu o zniesławienie. Sąd pierwszej instancji nakazał autorom przeprosiny, ale nie przyznał siostrzenicy 100 tys. zł zadośćuczynienia, którego się domagała. Jednak sąd apelacyjny uznał, że autorzy nie muszą za swoją pracę przeproszać, argumentując, że ingerencja w badania naukowe nie jest zadaniem dla sądów.

Falszywa historia

Jako kierowniczka Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN prof. Engelking nigdy nie była ulubienicą obecnej władzy. Od 2012 r. weszła w skład Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej powoływanej przez premiera, ciała konsultacyjnego, które ma doradzać w kwestiach ochrony i zagospodarowania terenu muzeum Auschwitz i innych obiektów związanych z Holocaustem. Po śmierci prof. Władysława Bartoszewskiego w 2014 r. prof. Engelking objęła funkcję przewodniczącej Rady, jednak gdy upłynęła jej kadencja, premier po prostu nie powołał nowych członków. Dziś prof. Engelking wraz z prof. Jackiem Leociakiem jest opiekunką naukową galerii „Zagłada” w Muzeum POLIN. A ponieważ treść ekspozycji nie wpisuje się w partyjny przekaz, minister kultury prof. Piotr Gliński podjął próbę – nieudaną – przejęcia kontroli nad dyrekcją placówki.

Nie udało się także próba odgórnego nałożenia kagańca na debatę o przeszłości w postaci nowelizacji ustawy o IPN, która przewidywała ściganie osób, publicznie i wbrew faktom „przypisujących Narodowi Polskiemu lub Państwu Polskiemu odpowiedzialności lub współodpowiedzialności za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie”. Projekt nowelizacji wywołał potężny kryzys w stosunkach Polski z Izraelem i pod międzynarodową presją władza się z niego wycofała. Ale prof. Engelking po raz kolejny znalazła się na celowniku prawicy, ponieważ od początku głośno protestowała przeciwko temu projektowi.

Jednak nagonka, jaka rozpętała się przeciwko niej dzisiaj, jest bezprecedensowa. Padają słowa brutalne, wulgarne obelgi i najcięższe oskarżenia. Czas temu sprzyja. Mamy okres prekampanii, a PiS szuka kolejnych osi sporów i polaryzacji. I tak jak gorączkowo rzucił się bronić pamięci Jana Pawła II przed oskarżeniami o krycie kościelnej pedofilii, tak teraz równie gorączkowo rzucił się bronić „honoru Polaków” przed Barbarą Engelking. To zaczyna wyglądać na nerwicę natręctw – coraz trudniej znaleźć wypowiedź prawicowego polityka, który mówiąc o Zagładzie, natychmiast

nie wspominałby o polskich drzewkach w Yad Waszem czy o dwóch narodach, które w czasie wojny „najbardziej ucierpiały”. Odpowiedzią na zarzuty o szmalcownictwo ma być poświęcenie rodziny Ulmów, tak jakby ci ludzie nie zginęli dlatego, że ukrywali Żydów, ale po to, by kilkadziesiąt lat później „prawdziwi patrioci” mogli poprawić sobie samopoczucie.

O tym także mówiła prof. Engelking na antenie TVN24 w 80. rocznicę powstania w getcie: „Falzujemy historię na różne sposoby. Oceniamy ją, zmieniamy proporcje. Tak. Troszeczkę ją falzujemy. Przykład z dzisiejszego dnia. W jednym z przemówień pod pomnikiem Bohaterów Getta Warszawskiego okazało się, że nie można powiedzieć o Żydach, nie mówiąc jednocześnie o Sprawiedliwych. Żydzi nie istnieją bez Polaków. Jeżeli to są Żydzi, to na pewno polscy Żydzi. Tak jakby nie można było przez 10 minut powiedzieć tylko o Żydach, nie mówiąc przy tej okazji o Polakach i nie mówiąc o Sprawiedliwych. To jest fałszowanie, bo Żydzi naprawdę byli nieprawdopodobnie osamotnieni w czasie powstania w getcie warszawskim. Byli oczywiście Sprawiedliwi, którym należy się cześć i szacunek. I których, jak powtarzam, było bardzo niewiele. I trywializowanie ich bohaterstwa i ich odwagi jest również rodzajem fałszowania historii”.

I fałszywy patriotyzm

Nikt przytomny nie będzie się upierał przy twierdzeniach, że wszyscy Polacy ratowali Żydów czy że wszyscy byli szmalcownikami. Spór w gruncie rzeczy idzie o skalę – z jednej strony o wymiar polskiej pomocy, a z drugiej – o polski antysemityzm i szmalcownictwo. Przy czym trudno powiedzieć, że to, co się dzisiaj dzieje, to spór naukowy. Za prof. Engelking stoją lata badań, wiedza, doświadczenie, a za politykami prawicy pseudopatriotyczna tromtadacja.

Banalne w gruncie rzeczy twierdzenie, że polityka nie jest od dekretowania faktów i ustalania historycznej prawdy, w grze o elektorat traci zastosowanie. A ta gra może się opłacić. Z ostatniego sondażu Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW wynika, że ponad połowa respondentów irytuje się, gdy ktoś wspomina o zbrodniach dokonanych przez Polaków na Żydach, a 25 proc., że Żydzi cynicznie wykorzystują polskie wyrzuty sumienia.

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN wydało oświadczenie w obronie prof. Engelking, w którym pisze: „Stanowczo potępiamy polityczne oraz ideologiczne próby kwestionowania ustaleń naukowych. Twierdzenie, że ratowanie Żydów było

powszechną postawą Polaków, to właśnie zamazywanie prawdy przez przedstawicieli władz; opinia, a nie fakt zgodny z wiedzą historyczną, będącą wynikiem wieloletnich interdyscyplinarnych projektów badawczych (także tych prowadzonych przez Instytut Pamięci Narodowej). (...) Przypominamy też, że upolitycznienie historii, a co za tym idzie, próby jej zafałszowania, dodatkowo połączone z inspirowaniem fali nienawiści, są właśnie tymi niebezpieczeństwami, przed którymi w przemówieniu wygłoszonym podczas obchodów 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim słusznie przestrzegał Marian Turcki”.

Do protestu przeciw medialnej nagonce dołączyło Muzeum POLIN i Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny, przypominając, że istotą badań historycznych jest spór, ale brutalny, personalny atak nim nie jest. Apelują o szacunek i zachowanie elementarnych zasad debaty publicznej. List otwarty w obronie prof. Engelking podpisują setki naukowców, świadomych, że finansowe groźby ministra Czarnka to próba zastraszenia badaczy zajmujących się tematami niezgodnymi z poglądami polityków: „Każdy i każda z nas może stać się ofiarą politycznie motywowanego, ręcznego sterowania polską nauką. Nadszedł czas na wspólną reakcję całego środowiska – niezależnie od dzielących nas różnic” – apelują.

Ale nawet gdyby całe środowisko solidarnie zareagowało – co wątpliwe, bo podziały są zbyt głębokie – to na rządzących nie zrobiłoby to prawdopodobnie większego wrażenia. W kontakcie z twardym elektoratem bardziej wydajny jest archaiczny, zamknięty patriotyzm, oparty na lęku przed obcymi i nieufności do innych narodów: Żydów, z którymi musimy licytować się w cierpieniu, czy Niemców, postrzeganych jako wieczne zagrożenie. A Polska w tej wizji jest wiecznie niewinną ofiarą bez skazy. To patriotyzm tani, ale łatwy w konsumpcji, bo bazujący na emocjach, pozwalający się ogrzać w glorii bohaterów. Jak mówił POLITYCE prof. Zbigniew Mikołajko, taki patriotyzm oczyszcza nas ze wszelkiego zła, uwalnia od poczucia winy, wyszlachetnia, wbrew wszelkim prawdom historycznym, uspokaja sumienie. Towarzyszy mu poczucie wybraństwa, więc ten tandetny i fałszywy zespół wyobrażeń dowartościowuje.

Dopóki ten mechanizm działa, dopóty populistyczna prawica będzie go eksploatować. Okładanie wyzwiskami i kalumniami prof. Engelking sprzedaje się lepiej niż wchodzenie z nią w merytoryczne spory.

JOANNA PODGÓRSKA



DISCOVER WHAT'S POSSIBLE

Niekwestionowany mistrz grillowania



03.04-04.06
DARMOWY
kamień do pizzy
z wybranymi grillami

ZESKANUJ KOD QR,
ABY UZYSKAĆ INFORMACJE



Grill Weber Genesis

Uwielbiane przez pokolenia miłośników grillowania i zawsze wytwarzane z najwyższą jakością, najnowsze grille Weber Genesis nadal ustanawiają standardy.

Znajdź swój nowy grill na stronie weber.com

Bitwa na mity

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER



Polityczny mit nie musi być prawdziwy, ale powinien mieć oparcie w przekonaniach tej części Polaków, do której dana partia chce dotrzeć. I powinien mieć bohatera, który sprawia, że historia staje się atrakcyjna dla odbiorców. Jak to wygląda przed wyborami?

G

WOJCIECH SZACKI

dy włączy się telewizję, zajrzy do gazet czy internetu, można odnieść wrażenie, że jesteśmy w środku kampanii parlamentarnej. Politycy podróżują po kraju i spotykają się ze zwolennikami, przedstawiają pomysły, dyskutują o sojuszach wyborczych lub wręcz je ogłaszają. To wrażenie jest jednak mylne. Prawdziwa kampania – nie mylić z formalną, której start w wakacje ogłosi prezydent – na całego zacznie się pewnie w czerwcu. Na razie oglądamy rozgrzewkę – z braku lepszego określenia – zwaną prekampanią. To czas na próby zabetonowania własnych elektoratów, testowanie strategii, badanie siły i słabości przeciwników, sprawdzanie, co może zanęcić, a co zniechęcić suwerena. To rozgraniczenie między prekampanią a kampanią jest istotne. Na razie żadne ugrupowanie nie przedstawiło programu

wyborczego (ciągi za to zbiera jedynie Platforma), na to przyjdzie jeszcze czas. Pierwsza konwencja programowa PiS odbędzie się 13–14 maja w Warszawie, gdzie ma być przedstawiona część propozycji obozu władzy. Na razie między partiami trwa, zresztą już od dłuższego czasu, pojedynek na mity.

Czym jest mit w polityce? Na potrzeby tego tekstu przyjmijmy (umiarkowanie naukowo), że mit to opowieść serwowana przez polityków i schowanych za nimi strategów czy piarowców, niepisane wprowadzenie do programu wyborczego. Mit ma wyjaśnić konstrukcję rzeczywistości, dać proste odpowiedzi na trudne pytania, nadać sens istnieniu partii i związać z nią emocjonalnie wyborców. Bo mity odwołują się raczej do emocji niż rozumu.

Mity nie są wieczne, zużywają się, mają różną siłę oddziaływania, ale bez nich ciężko o jakikolwiek znaczący sukces wyborczy. Gdy zabraknie żywotnego mitu, nie pomogą ani sprawne struktury, ani pieniądze z subwencji, ani nawet ciekawe postulaty. Duże niegdyś partie zanikają albo wegetują.

Mityczny rys historyczny

Jak to było kiedyś? W latach 90. prawica miała swój mit rozliczeń z komunizmem, z którego wychodził postulat lustracji, SLD odpowiadała hasłem „Wyberzmy przyszłość”, a Unia Demokratyczna opowiadała o pojednaniu i Okrągłym Stole.

W wyborach 2001 r. objawiły się nowe siły – Platforma Obywatelska i PiS. PO snuła wtedy opowieść o nowej jakości w polityce (do wyborów nie przystąpiła jako partia, więc nie dostała subwencji, przeprowadziła też prawyborzy kandydatów na posłów).

Ówczesne PiS Lecha i Jarosława Kaczyńskich, zaprzyjaźnione zresztą z PO, opowiadało o walce z przestępczością, zwoływało do jawności majątkowej polityków i obiecywało oczyszczenie elit.

W kolejnej kampanii – po aferze Rywina i kompromitacji SLD – młode partie walczyły już o główną pulę. PiS szło po władzę ze swoim mitem o budowie IV RP, walce z korupcją; powoli krystalizowała się też opowieść o układzie, który zawładnął Polską, i konieczności wywrócenia stolika. W tym czasie spin doktorzy PiS pierwszy raz sięgnęli też po hasło „Polski solidarnej”, które przeciwstawili „Polsce liberalnej” Donalda Tuska.

Budowę nowego państwa obiecywała też Platforma. Tusk postulował walkę z polityczną „klasą próżniaczą”, a PO w 2004 r. zbierała podpisy pod wnioskiem o referendum w sprawie zmniejszenia liczby Sejmiku, likwidacji Senatu, zniesienia immunitetu parlamentarnego i wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych.

Ta krótka podróży w czasie pozwala uzmysłowić sobie, jak zręcznie tworzyli swoje mity Kaczyński i Tusk i jak ewoluowali, reagując na zmieniające się okoliczności. W 2007 r. PiS przegrało z PO, ale poprawiło swój wynik wyborczy i zlikwidowało konkurencję po prawej stronie sceny – po dwóch kadencjach w Sejmie zniknęła Liga Polskich Rodzin Romana Giertycha. PO pierwszy raz cieszyła się wtedy z wygranej i ponad 41 proc. poparcia. Niósł ją mit o przywróceniu normalności po dwóch latach ciągłych walk koalicyjnych, o wzmocnieniu Polski w Unii, o powrocie Polaków z emigracji. Potem Tusk miał swoją „politykę miłości” i „ciepłą wodę w kranie”, a Kaczyński – mit zamachu smoleńskiego, który związał z nim większość prawicowego elektoratu i ułatwił marginalizowanie mniejszych partii, jak Polska Jest Najważniejsza czy Solidarna Polska.

Gdy Tusk przeniósł się do Brukseli, Platforma straciła zdolność do opowiadania ciekawych historii. Trwała dzięki sile instytucjonalnej, pieniądзом z subwencji i wsparciu części mediów, ale życia w niej za wiele nie było. Kaczyński kolejny raz zmienił natomiast opowieść – postawił na obietnicę awansu materialnego (500 plus), pochwałę Polski prowincjonalnej („zwykli Polacy”) i straszenie wizją „Polski w ruinie”. Brak również sugestywnej kontropowieści ze strony opozycji spowodował przegraną.

Była polska wieś spokojna

Przenieśmy się do teraźniejszości. Jakie mity partie serwują nam w 2023 r.? Kaczyński snuje opowieść o Polsce jako o miejscu wyjątkowym na tle reszty świata, zwłaszcza Zachodu. To nasze państwo jest ostoją cywilizacji zachodniej i swoście pojmowanej normalności. Tam, za granicą, jest niepewność, nieprzewidywalność, zdegenerowane elity, przewaga lewactwa, fatalne trendy cywilizacyjne, porzucenie tradycyjnych wartości, upadek instytucji rodziny, eutanazja i aborcja, zamieszki, kłopoty z imigrantami; tu jest spokój, wolność, tradycja, przywiązanie do Kościoła.

Polski zmiany społeczne nie dotyczą, jest na nie odporna dzięki zarówno sile wiary Polaków, jak i determinacji rządzących, którzy mają odwagę przeciwstawić się zachodnim modom i terrorowi politycznej poprawności. Oraz opozycji, która, poganiana przez swych zagranicznych mocodawców, chce ten sielski świat wywrócić do góry nogami, i to przy udziale Niemców.

Elementami tej opowieści były te wszystkie straszne żarty prezesa PiS o Zosi, która chce zostać Władysławem lub odwrotnie, uchwały samorządów przeciwstawiające się „ideologii gender” (z których pod groźbą utraty uniwersyteckich funduszy prawica się zresztą teraz wycofuje), straszenie „seksualizacją dzieci” (Kaczyński z Elżbietą Witek poparli obywatelski projekt ustawy w tej sprawie, mający utrudnić organizacjom pozarządowym dostęp do szkół) i przedstawianie Platformy jako „lewactwa”. Z tej samej opowieści wywodzi się histeria rozpętana wokół rzekomej konieczności jedzenia robaków. Depozytariuszem broniących przez prawicę wartości w sferze moralnej jest Kościół, w polityce – PiS, a nad wszystkim czuwa z nieba Jan Paweł II. Jego krytykę Kaczyński przedstawił jako cios we własną partię; polski papież jest bowiem jednym z symboli tej kreowanej przez PiS „polskiej normalności” i czasów, gdy wszystko było na swoim miejscu.

Drugi pisowski mit przedstawia Polskę jako ofiarę. Państwo, które miało chęć rzucić wyzwanie Niemcom, niepodzielnie panującym w Unii, które odważyło się pójść własną drogą i urządzić się po swojemu – i za to jest teraz karane przez sterowanych z Berlina eurokratów. Kłopoty z KPO, kary finansowe nakładane na Polskę, krytyczne rezolucje Parlamentu Europejskiego w tej optyce nie są konsekwencją naruszania przez rząd PiS praworządności, lecz zemstą za to, że w przeciwieństwie do Tuska Kaczyński nie godzi się na podrzędny status Polski w Unii. Figura Polski jako ofiary pojawia się zresztą także w związku z żądaniem wypłaty reparacji wojennych.

Mit trzeci to wielowątkowa opowieść o silnym państwie. Już, powiada prezes, przegoniliśmy część krajów Zachodu, a niebawem, w 2030 r., poziom życia przeciętnej rodziny polskiej nie będzie odbiegał od standardów brytyjskich. Polska w kreacji PiS to państwo, które wszystko może: rozdawać pieniądze, obniżać podatki i zachowywać wzorowy stan finansów publicznych, budować wielkie koncerny, projektować gigantyczne inwestycje, jak Centralny Port Komunikacyjny, elektronicznie atomowe czy przepok Mierzei Wiślanej. Rząd czuwa nad wszystkim, wprowadza tarczę za tarczą, daje pieniądze na remonty szkół, buduje oczyszczalnie ścieków i domy kultury, dotuje koła gospodyń wiejskich i funduje wozy strażackie. Ministrowie jeżdżą od gminy do gminy z wielkimi tekturowymi czekami, w szczególności dbając o wieś i małe miasta.

Wraz z agresją Rosji na Ukrainę znaczenia nabrał komponent militarny tej opowieści o silnym państwie. Polska to kluczowy sojusznik USA, podziwiany za pomoc Ukrainie i jednoznacznie antyrosyjskie stanowisko, budujący najsilniejszą armię w Europie i kupujący najnowocześniejszą broń. I na wszystko wystarcza, a jeszcze rząd zwraca pieniądze z podatków.

Polska wiara, ofiara i siła to są najważniejsze dziś pisowskie mity. Inne mocno straciły na znaczeniu. Obrzędy smoleńskie są już tylko karykaturą, pustym rytuałem, na który co miesiąc przychodzą politycy PiS, by pokazać prezesowi, że są lojalni. Moc całkiem straciła opowieść o antysystemowym PiS; teraz to partia dostojników wozonych limuzynami i chronionych kordonami policji oraz rozdających rodzinie i znajomym posady w spółkach Skarbu Państwa.

Ale i teraźniejsze mity PiS mają swoje słabości. Polacy, co pokazują wszystkie badania, liberalizują się światopoglądowo, coraz częściej opowiadają się za złagodzeniem ustawy antyaborcyjnej czy wprowadzeniem związków partnerskich. Euroseptycyzm PiS nie rymuje się z prounijnym nastawieniem większości społeczeństwa. Trudno wreszcie wiarygodnie opowiadać o potęgę gospodarczej, gdy wzrost PKB hamuje, pensje nie nadążają za inflacją, a Polacy krytykują pracę rządu. W kwietniowym badaniu CBOS 56 proc. ankietowanych oceniło, że jego polityka nie stwarza szansy poprawy sytuacji gospodarczej, przeciwnego zdania było 33 proc. ▶

► Z mitami pisowskimi na prawicy w pewnym stopniu konkuruje jeszcze opowieść Konfederacji, która mówi podobnym językiem o UE, a dokładnie do tego obietnicę alternatywnej polityki gospodarczej, obniżenia i uproszczenia podatków oraz odmłodzenia sceny politycznej. I, jak się zdaje, przy zręcznej kampanii może liczyć na ponad 10 proc. głosów.

Mity Tuska i opozycji

Platforma ma kłopot inny. Tusk od powrotu do krajowej polityki opowiada w zasadzie tylko jedną historię – że jak Polacy zabiorą władzę PiS, to będzie lepiej. Bo wszystkie socjalne programy zostaną, ale zniknie propaganda w TVP, prokuratura będzie niezależna, wróćą rządy prawa, Polska wzmocni się w Unii i spadnie na nas deszcz euro, odżyją samorządy i społeczeństwo obywatelskie. To jest opowieść o europejskości, normalizacji, uspokojeniu, ale i konieczności twardych rozliczeń z poprzednikami. Był jeszcze mit wspólnej listy jako sposobu na pokonanie Kaczyńskiego, ale (chwilowo?) ta opowieść przycichła. I to nie jest tak, że ten przekaz Tuska nie działa wcale – dla wielu wyborców opozycji taka wizja Polski jest w zupełności wystarczająca. Przewodniczący Platformy niewiele jednak do tego, jak dotąd, dołożył. Nie mówi lub mówi niewiele, jak sobie wyobraża tę przyszłą Polskę, jak chce ją urządzić, jak patrzy na swoje dawne rządy i jak się zmienił po latach spędzonych w Brukseli.

Dochodzi do tego wrażenie osamotnienia Tuska, który tak wyrasta ponad swoje ugrupowanie, że choć po Polsce podróżuje ponad setka parlamentarzystów, to przebija się tylko lider. A jedyny polityk PO, który mógłby to wrażenie zmienić – Rafał Trzaskowski – nie wygląda na kogoś, kto chciałby z całą mocą wkroczyć w kampanię parlamentarną i weekend za weekendem spędzać na wyborczych wiecach.

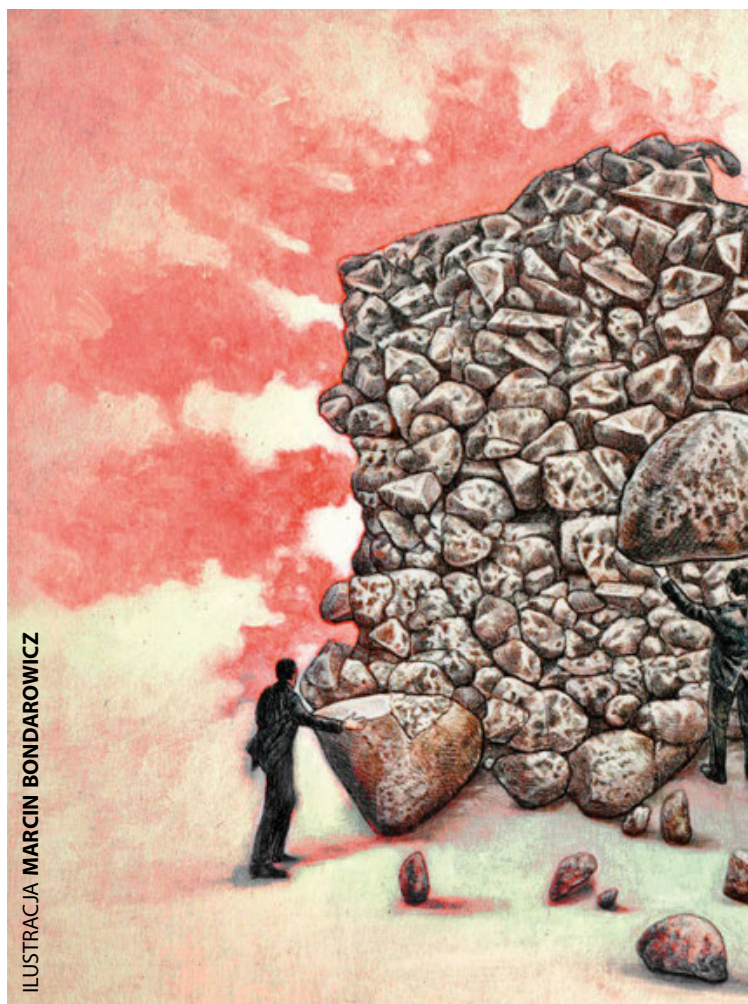
Brak takiej ramowej opowieści – mitu – o tym, czym dziś jest i czym chce być Platforma, ma swoje konsekwencje. Pomysły rzucane przez Tuska w ostatnich miesiącach: skrócenie tygodnia pracy, kredyty mieszkaniowe czy 1500 zł „babciowego”, sprawiają wrażenie meteorów, które od czasu do czasu przefruną przez media, ale średnio pasują do platformerskiego DNA. I nie są konsekwentnie lansowane.

Jak to wygląda w przypadku pozostałych partii opozycyjnych? Ze swoim mitem pożegnał się chyba Szymon Hołownia, który od 2020 r. opowiadał znaną i lubianą w niektórych kręgach historię o odświeżeniu polityki, przełamaniu polaryzacji i wymianie elit politycznych, by na koniec, w przededniu kampanii, ogłosić sojusz z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. A PSL – mimo wysiłków jego prezesa i krytyki pisowskiej „afery zbożowej” – pozostaje partią bez specjalnie ciekawej historii do opowiedzenia.

Swojego mitu-opowieści wciąż szuka Lewica. W tym przypadku teoretycznie wszystko się zgadza. Jest sojusz partii lewicowych, są postulaty lewicowe i są ludzie o lewicowych poglądach, tylko jakoś nie bardzo chce się to złożyć w zgrabną całość z 20-proc. poparciem. W kwietniowym CBOS tylko 18 proc. badanych o lewicowych poglądach deklarowało się jako wyborcy Lewicy. Niewykluczone, że tu na niekorzyść tej formacji grają kwestie personalne. Włodzimierz Czarzasty niekoniecznie kojarzy się z lewicowym idealistą, Robert Biedroń swój mit buntownika i Rzępowca pozostaje na mandacie i diety w europarlamencie, a Razem pozostaje partią niszową, ekskluzywną.

Na pięć miesięcy przed wyborami wygląda na to, że w starciu na mity mamy z jednej strony dziurawą, sypiącą się opowieść PiS, a z drugiej – niedopracowaną, niedogadaną, mało energiczną opowieść opozycji. Czyli mniej więcej remis, który widzimy zresztą w sondażach.

WOJCIECH SZACKI



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Jak podzielić,

Profesor prawa Maciej Kisilowski, na Polskę”, o tym, jak trzeba zmienić do racjonalnego współrzędzenia

JACEK ŻAKOWSKI: – **Rewolucja?**

MACIEJ KISIŁOWSKI: – Tak. Rewolucja w myśleniu o sposobie sprawowania władzy w Polsce.

Po co?

Żeby wygasić wojnę polsko-polską. Bo nasz problem to źle zaprojektowany ustroj polityczny. Różni nas zbyt wiele, żeby jedna polityka mogła być akceptowalna dla wszystkich.

W wielu państwach tak jest.

Z dużych państw demokratycznych tylko we Francji. A i tam efekt nie napawa optymizmem. U nas to zdecydowanie nie działa. Konstytucja obowiązuje zaledwie ćwierć wieku, z czego od 10 lat jest metodycznie rozmontowywana. Jeżeli chcemy skończyć wojnę polsko-polską, ustroj musi być akceptowany przez dwa główne obozy polityczne – dominujący na północnym zachodzie Polski i w największych miastach obóz progresywny, czyli liberalno-lewicowy, oraz dominujący na południowym wschodzie



żeby połączyć

współautor książki „Umówmy się ustrój Polski, aby skłonić polityków zamiast do nieustannego konfliktu.

obóz konserwatywny, czyli chadecko-narodowy. Można się spierać o to, w jaką stronę ma pójść ta czy inna polityka publiczna, ale nie można się nieustannie kłócić o reguły gry. A strona konserwatywna od początku kwestionuje reguły, bo nie było jej w Sejmie, gdy konstytucja była uchwalana. Sejm uchwalił ją absolutnie legalnie, ale posłowie głosujący „za” reprezentowali tylko 52 proc. wyborców. I w referendum też poparło ją tylko 52 proc.

Czyli dla 48 proc. to od początku nie była ich konstytucja.

Ale to jest raczej pretekst niż przyczyna. Kluczowy jest nawyk uznawania tylko takich reguł, które komuś w jakimś momencie pasują. W tischerowskim żarcie bacia pyta gaździnę „myjemy dzieci czy robimy nowe”. Dla polskich polityków codzienne mycie dzieci według konstytucyjnych zasad nie jest wystarczająco wzniosłe.

Jedna ze stron uważa, że to nie są jej dzieci.

A druga nie jest pewna.

Dlatego wymuszone mycie nie rozwiąże problemu. Tak czy owak, to dziecko jest niekochane i wszyscy się męczą. Jeżeli chcemy, by było kochane, oba obozy muszą razem zrobić nowe.

Niech mnie pan przekona, że problem jest w konstytucji, a nie w nas. Konstytucję 3 maja obaliliśmy przy pomocy Rosji, Konstytucję Marcową po pięciu latach obalił zamach stanu, Konstytucja Kwietniowa to odrzucony społecznie parawan dyktatury, w PRL nikt konstytucji nie brał na poważnie, a obecna konstytucja od początku była traktowana jak niewygodny gorset. Dla żadnej konstytucji Polacy nie byli dobrymi rodzicami.

Jesteśmy trudni, ale innych Polaków nie mamy. A tych, którzy realnie istnieją, nie przekonamy, by stali się orędownikami obecnej konstytucji i demokracji w jej obecnej ustrojowej formie. To nie jest wina konstytucji ani tym bardziej jej ojców, których bardzo szanuję, ale trzeba uznać realia: w sprawie tej konstytucji się nie dogadamy.

W jakiej sprawie możemy się dogadać?

To jest ważne pytanie. Bo spora część prawicy nie chce się dogadywać. Chce tylko całej władzy.

Nie tylko prawica. Marsz ku „całej władzy” zaczął Leszek Miller, promując system kanclerski w stylu bismarckowskim.

Zgoda. Część obozu konserwatywnego chce pełni władzy, a część progresywiwistów w ogóle nie akceptuje prawicy u władzy. Pytanie, co jest tego przyczyną: nasze autorytarne skłonności czy obecna konstytucyjna forma naszej demokracji? My proponujemy odnowę demokratycznego ustroju przez zdecydowane wzmocnienie samorządności.

Jak?

Funkcjonalnie i instytucjonalnie.

Czyli?

Instytucjonalnie to jest dosyć proste. Na poziomie województw zastąpienie dziwacznej dwuwładzy marszałków i wojewodów przez wojewodów wybieranych lokalnie oraz powołanie senatów wojewódzkich złożonych z prezydentów miast, burmistrzów i wójtów. A na szczeblu krajowym zastąpienie obecnego Senatu RP przez senat złożony z samorządowych wojewodów i ewentualnie prezydentów największych miast, na przykład Warszawy i Krakowa. Te instytucje dadzą politykom nową opcję: zamiast ciągłej walki „o wszystko” możliwość przeniesienia budzących kontrowersje spraw do kompetencji sejmików i nowych senatów wojewódzkich.

W „pakiecie podstawowym” proponujemy dokończyć „usamorządowienie” spraw i tak już w dużej mierze wykonywanych przez gminy i województwa – oświaty, kultury, polityki rozwojowej. Nauki i szkolnictwa wyższego też. Także konfitur władzy: lasów państwowych, gruntów, podatków dochodowych PIT i CIT.

W usamorządowionym państwie ten, kto ma kilkumandatową większość w Sejmie, nie będzie już miał pełni władzy. A ten, kto przegra paroma mandatami, nie straci całej władzy. Ciągłą walkę o wszystko zastąpi szukanie kompromisów, z dodatkowym wyjściem awaryjnym w postaci decentralizacji kontrowersyjnych kwestii. Chodzi o to, by system skłaniał polityków do racjonalnego współzrządzenia Polską, zamiast do nieustannego wydzierania jej sobie i rozwalania co parę lat tego, co poprzednicy zaczęli budować. Bo będziemy sobie Polskę wydzielali, dopóki nie zbudujemy systemu sprawiającego, że niezależnie od wyniku wyborów parlamentarnych Polacy z Wielkopolski i Polacy z Podlasia, górale i warszawiacy będą się tu czuli u siebie.

To by była ulga, bo od kiedy komuna przestała okupować nas wszystkich, na przemian północny zachód okupuje południowy wschód albo południowy wschód okupuje północny zachód Polski.

Moi pravicowi współautorzy nawet piszą w swoim rozdziale, że pod rządami PO wielu konserwatystów nie utożsamiało ▶



Maciej Kisilowski jest profesorem prawa i strategii na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Wiedniu. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, Yale, Princeton i Inseadu. Członek Concilium Civitas.

► się z aparatem polskiego państwa. A ja nie utożsamiam się z państwem Jarosława Kaczyńskiego. I to jest narastający problem pogłębiany przez postępującą od przeszło dwóch dekad centralizację władzy. Polityka historyczna prawicy zawsze będzie nas doprowadzać do szachu. Ale jeżeli muzea znajdują się w gestii województw, to progresywne Pomorze będzie miało Muzeum II Wojny z progresywną narracją, a umiarkowane konserwatywny Kraków (który, wraz z Warszawą, idealnie pasowałby do statusu miasta na prawach województwa) może mieć strawniejszą dla prawicy narrację na Wawelu. Lepsze to niż rewolucje w muzeach czy teatrach po każdych wyborach. Bo tak się nic nie zbuduje. To samo dotyczy uczelni, szkół, wielu kwestii gospodarczych – np. handlu w niedzielę.

Najostrzejszy spór dotyczy wymiaru sprawiedliwości.

Konserwatywni Polacy nie ustąpią w kwestii większego społecznego wpływu na proces powołania sędziów. My mówimy: OK, tylko niech to nie będzie wpływ jednej partii politycznej. Sędziów mogłaby nominować apolityczna, centralna Krajowa Rada Sądownictwa, ale za zgodą złożonego z wójtów, burmistrzów i prezydentów miast senatu województwa, w którym miałyby orzekać dany sędzia. Mamy więc ważny dla nas profesjonalny filtr nominacji sędziowskich, ale konserwatyści dostają wpływ czynnika społecznego w duchu zasady subsydiarności.

Podobnie na poziomie centralnym. Niech sędziów Trybunału Konstytucyjnego czy Sądu Najwyższego nominuje Krajowa Rada Sądownictwa, a zatwierdza samorządowy Senat RP. Takie nominacje będą bardziej demokratyczne, ale nie zostaną zawłaszczane przez jedną, mającą chwilową większość, partię. Zwłaszcza jeśli siła głosu każdego samorządowego wojewody-senatora byłaby proporcjonalna do liczby mieszkańców regionu, który reprezentuje. Najważniejsze nominacje mogłyby być zatwierdzone kwalifikowaną większością, np. reprezentantów 60 proc. Polek i Polaków. Tak jest w Radzie Unii Europejskiej. To zmienia polityczną logikę z konfrontacyjnej na kooperacyjną, bo wojewodowie-senatorowie staną się najważniejszymi osobami w państwie po prezydencie i członkach Rady Ministrów. Systemu będą bronili ludzie przyzwyczajeni, że muszą zaspokajać konkretne potrzeby mieszkańców.

Czyli system okupacyjny chce zamienić na system synodalny. Taki jak w Kościele katolickim?

Dokładnie. Biskupi od łopaty, którzy w diecezjach mają władzę, zbierają się na synodzie i decydują o tym, jak rozwiązujemy kwestie wspólne.

A papież jest od tego, by trzymać Kościół w kupie.

My w tym duchu wzmacniamy pozycję prezydenta, któremu chcemy przekazać nadzór nad samorządem. Utrzymanie centralnego nadzoru to jedno z rozwiązań różniących naszą propozycję od systemu federalnego. Samorządowy wojewoda reprezentuje Rzeczpospolitą mocniej niż dziś wojewoda, którego mianuje premier i który czuje się reprezentantem aktualnego rządu. Kończymy z okupacyjną logiką wysyłania namiestników rządzącej partii w teren. Władza stale, a nie tylko w dniu wyborów, płynie z dołu w górę.

A prezydencki nadzór i prawo krajowe trzymają ją w unitarnych ryzach. Już widzę piekło, kiedy partyjno-polityczny Sejm nie będzie się mógł dogadać z samorządowym senatem i żadnego prawa nie da się uchwalić.

Jak się czegoś nie da uchwalić centralnie, to będzie opcja decentralizacji. Przekazania sprawy do dobrze przygotowanych, wzmocnionych instytucji wojewódzkich, z dużym wpływem społecznym i narzędziami e-demokracji. To będzie Warszawa skłaniała do uprawiania polityki środka. Dlatego nie trzeba z góry ściśle określać, co jest w kompetencji centrum, a co nie. Jak się

Sejm, Senat i prezydent dogadają w sprawie wspólnego rozwiązania dla całego kraju, to super. Jak nie, to mamy opcję, by każde województwo rozwiązało ją po swojemu.

Aborcja w każdym województwie inaczej?

Tak jak w Australii, gdzie aborcja zawsze była domeną prawa stanowego. A progresywiści w ostatnich dwóch dekadach doprowadzili do liberalizacji we wszystkich australijskich stanach. Oczywiście w przyszłości konserwatyści mogą odwrócić te zwycięstwa. Nasz pomysł nie kończy polityki i politycznych sporów. Po prostu, żeby w całym kraju postawić na swoim, trzeba wygrać nie jedne wybory, tylko kilka albo kilkanaście.

Chyba właśnie wpadł pan we własne sidła. Bo główny zarzut wobec waszego projektu jest taki, że proponujecie faktyczną federalizację. Australia jest federacją. Unia nie jest nawet konfederacją, tylko organizacją międzynarodową, a pan przyznaje, że chce zorganizować Polskę na jej wzór, czyli trudno już będzie mówić o unitarnym państwie.

Najpotężniejsze demokracje są federacjami. Ale nie proponujemy systemu federalnego. Nie będzie suwerennego województwa świętokrzyskiego z własną konstytucją, sądami i policją. To byłby absurd. Budujemy na naszej unitarnej, ale samorządowej tradycji. Rewolucja dotyczy myślenia o władzy, ale instytucjonalnie to jest ewolucja. Prawo miejscowe już dziś jest przewidziane w art. 87 konstytucji, co wie każdy mieszkaniec sprawdzający lokalne stawki podatku od nieruchomości. Dlaczego nie zwiększyć roli tego prawa, jednocześnie włączając samorządowców w zarządzanie w centrum? Samorządowy Senat RP był propozycją Solidarności już w 1990 r.

Sejm uchwalił totalny zakaz aborcji, a Pomorze ogłosi, że do 16 tygodnia nie ma ograniczeń. I co?

Tak nie będzie, bo mamy państwo unitarne. Pomorze musi poczekać, aż Sejm i Senat RP podejmą decyzję, że aborcję decentralizujemy w całym kraju. Natomiast trudno sobie wyobrazić, by ekstremalny zakaz aborcji przeszedł przez samorządowy Senat RP. Podobnie jak całkowita liberalizacja. To nie jest przypadek, że wśród marszałków województw bardzo rzadko zdarza się radykał. Tak działają samorządowe filtry. W samorządach dominuje pragmatyzm.

Nie boi się pan, że kobiety z Sokółki będą robiły aborcję w Warszawie?

Osobiście wolałbym, by polskie kobiety mogły legalnie przebrać ciężę w Polsce, a nie, jak dziś, w Czechach albo w podziemnych gabinetach. Ale nasz pomysł nie przesądza, kto wygra ani jakie decyzje będą podejmowane. Daje po prostu trzecią opcję między triumfem a klęską. Zwłaszcza że w odróżnieniu od partii, które poprzez posłów kontrolują Sejm, województwa reprezentowane w Senacie RP przez swoich wojewodów mają masę wspólnych interesów. Rada UE, w której są politycy od wyrazistej lewicy do radykalnej prawicy, dogaduje się właśnie dlatego, że górę biorą wspólne interesy. Sprawy kontrowersyjne będą raczej decentralizowane, niż przepychane na siłę.

Mam wrażenie, że od wielu lat coraz szybszym marszem zmierzamy ku autorytaryzmowi. PiS doprowadził nas na skraj dyktatury. Niebawem, jak w II RP, ktoś uzna, że musi zrobić zamach stanu, żeby uratować Polskę przed zamachem zrobionym przez drugą stronę.

Już mamy tak zwany reżim hybrydowy, łączący pozostałości demokracji z autorytaryzmem.

Pchają nas ku temu obecna konstytucja, ordynacja, kultura polityczna, ewolucja systemu i społeczne nastroje. Coraz trudniej

jest spotkać kogoś, kto jeszcze nie uważa, że trzeba wziąć drugą stronę pod but i nie ma co się szczytać. Siła waszego projektu jest w tym, że trzeba Polskę przed tą dynamiką chronić, a wasz pomysł wygląda sensownie i stoi za nim grupa poważnych ekspertów. Znaleźliście Świętego Graala?

Istotą naszego pomysłu jest to, że nikt nie będzie mógł zdobyć całej władzy i zrobić z państwem, co mu się podoba. Bodziec, by ryzykować zamach, będzie dużo słabszy, bo ewentualna przegrana w wyborach nie będzie się łączyła z utratą wszystkiego – od posad po wolność. A obywatele uzyskają dużo więcej realnej sprawczości, co osłabi motywację do popierania konstytucyjnych rozbójników. Bo gdyby w systemie, jaki proponujemy, pojawił się taki rozbójnik, miałyby przeciw sobie nie tylko te 100 tys. Polaków gotowych demonstrować w obronie niezawisłych sądów, ale też kilkanaście społeczności wojewódzkich zdeterminowanych, by bronić swoich praw i pozycji. To widać już dziś, bo najbardziej stabilnym elementem ustroju III RP jest nie konstytucja, ale ustawy samorządowe. Formalnie można je przecież zmienić w jedno popołudnie. A PiS nawet nie próbuje, chociaż poradził sobie z KRS, TK, KRRiT, które teoretycznie można zlikwidować tylko konstytucyjną większością. Dlaczego? Bo w odróżnieniu od nich za samorządami po obu stronach politycznego podziału stoją lokalne elity i społeczeństwa w całym kraju. Jeżeli samorządowy Senat RP będzie wybierał sędziów Trybunału, to w życiu nie trafi tam jakaś Julia Przyłębska ani Krystyna Pawłowicz. Dużo trudniej będzie zhakować taki policentyczny system. W obronie prezes Gersdorf czy prezesa Rzeplińskiego nigdy nie zbierze się takich tłumów, jak w obronie dobrego wojewody samorządowego. Z tego powodu PiS nie odważył się nawet odwołać prezydent Hanny Zdanowskiej, choć głośno się odgrażał. Tę siłę chcemy wykorzystać, by wzmocnić demokrację.

Przychodzi jakiś Czarnek i robi to, co chce. Czy wasza reforma nas przed tym uratuje?

Programy nauczania będą kompetencją województw.

Na Podkarpaciu będziemy uczyli, że Wałęsa był zdrajcą, a na Pomorzu, że był bohaterem?

Możliwe! I powinniśmy sobie jasno odpowiedzieć, czy w imię obrony pamięci byłego prezydenta chcemy dalej podpałać Polskę w wojnie z jedną trzecią rodaków. Wojnie, którą na razie przegramy, bo rośnie pokolenie, które minister Czarnek i telewizja rządowa uparcie przekonują, że Wałęsa to zdrajca. Nie na Podkarpaciu, tylko w całej Polsce.

To już jest federalizacja w stylu USA, gdzie wspólne treści oświaty określają tylko egzaminy krajowe decydujące o przyjęciu na studia. W unitarnej Francji to jest nie do pomyslenia.

Francja to wyjątek od reguły. Na całym świecie duże unitarne demokracje szukają sposobów decentralizacji bez federalizacji. Inaczej system się wali. W unitarnej Brytanii Szkocja od 1998 r. ma inny system niż Anglia. W unitarnych Włoszech czy Hiszpanii regionom od lat 70. zwiększa się swobodę, m.in. w oświacie. My wyciągamy lekcje z tych doświadczeń, a odrzucamy to, co się nie sprawdziło lub jest w polskich warunkach niepotrzebne.

Kiedy demokracja kosztuje i się kruszy, to dobrą odpowiedzią jest więcej demokracji, a nie mniej demokracji. Wasz projekt to kryterium spełnia. Ale ma jedną zasadniczą słabość. Napisaście go w nominalnie pluralistycznym gronie – od lewa do prawa. Jednak zasadniczy podział na całym Zachodzie nie biegnie już wzdłuż osi lewica–prawica, tylko wzdłuż osi autorytarny populizm–demokracja. Wszyscy autorzy waszego projektu są po stronie demokratycznej. A duża część społeczeństwa i klasy politycznej nie chce demokracji. Bez ich poparcia nie zdobędzie się większości konstytucyjnej,

koniecznej, żeby wdrożyć wasz projekt. Dlaczego pan sądzi, że oni kupią taką koncepcję?

Dziś mają wybór między Turcją, czyli konserwatywnym autorytaryzmem, a Irlandią – odgórną liberalną rewolucją. Więc jak im zaproponujemy Bawarię, jako konserwatywno-demokratyczny kompromis, to może Turcja przestanie być tak atrakcyjna?

Po co mają się samoograniczać?

Jeżeli naprawdę kluczowy podział jest między demokracją a autorytaryzmem, to w Polsce demokracji nie będzie. Bo nie da się jej zbudować wbrew jednej trzeciej wyborców. Nasza książka to próba sprawdzenia, czy 30 lat po odzyskaniu suwerenności Polacy wciąż chcą demokracji i czy są do niej zdolni. W I i w II RP demokracja nam się nie udała. Wiele osób uważa tak, jak pan mówi, czyli, że druga strona jest autorytarna i nie chce demokracji. My wyciągamy wnioski z porażek poprzednich prób i próbujemy usunąć te ich elementy, które mogły ciążyć. Czyli zwłaszcza brak instytucji zapewniających realny podział władzy w naszym dużym i zróżnicowanym państwie. Jeżeli spróbujemy, to się przekonamy, który z nas ma rację.

Proponujecie rodzaj pokoju westfalskiego między regionami konserwatywnymi i progresywnymi.

Oczywiście.

Chciecie skończyć naszą – też trwającą już 30 lat – kulturową wojnę domową, przyjmując westfalską zasadę, że kto ma w województwie władzę, tego kultura rządzi.

To jest bardzo użyteczne podejście, którego nigdy jeszcze nie próbowaliśmy w Polsce.

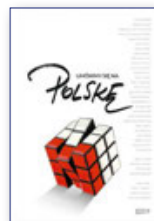
Ale jest to reguła państwa federalnego, jak Niemcy.

Podkarpackie nie musi nagle odkryć swojej odrębnej tożsamości jako suwerenny land, by gospodarczo czy społecznie być Bawarią. Na tym założeniu opierały się zresztą dwie poprzednie polskie reformy samorządowe, z 1990 i 1998 r. Ich twórcom też zarzucano federalizm. To, co proponujemy, jest dokończeniem tych reform i odpowiedzią na obecne problemy. Wie pan, jaka część wydatków publicznych pozostałaby w centrum po wprowadzeniu reform, które proponujemy? Znacznie ponad połowa! Rząd centralny może skoncentrować się na kwestiach rzeczywiście kluczowych: obronie narodowej, bezpieczeństwie, energetyce, naprawie systemu emerytalnego i służby zdrowia. Na tym byśmy byli liderem powojennej odbudowy Ukrainy, państwem realnie wpływającym na przyszłość Unii Europejskiej i NATO. A w innych sprawach, niech województwa konkurują i uczą się od siebie. Jak się coś na Podlasiu uda, to Wielkopolska chętnie to skopiuje.

Dlaczego pan wierzy, że politycy, którzy się nauczyli, że walczą o wszystko, mogą teraz taki pomysł zaakceptować?

Bo siły są tak wyrównane, że nikt nie jest pewny zwycięstwa. Obie strony mogą wszystko zdobyć, ale mogą też wszystko stracić. Strach przed tym, co może oznaczać przegrana, jest dobrą motywacją. A część może też zrozumieć, że zakończenie wojny kulturowej będzie dobre dla Polski. Bo będzie. Każdy przecież czuje, że grzęźniemy. Trzeba z tym coś zrobić. Jak ktoś ma lepszy pomysł, to chętnie go poprę. Na razie mamy ten.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI



Książka „**Umówmy się na Polskę**” (wyd. Znak 2023 r.; red. prof. Maciej Kisilowski i prof. Anna Wojciuk) „prezentuje – jak piszą autorzy – dorobek sześciu lat pracy ponad 130 członków i członków stowarzyszenia Inkubator Umowy Społecznej – naukowców, działaczy społecznych, samorządowców i przedsiębiorców reprezentujących poglądy polityczne od lewicy i liberałów przez chadecję po konserwatywną prawicę”.

Poza redaktorami, wśród autorów są m.in. prof. Agnieszka Chłoń-Domińczak, Sylwia Chutnik, prof. Antoni Dudek, dr Jacek Giedrojć, prof. Mirosław Granat, Wojciech Przybylski, Piotr Siemion, Ziemowit Szczerek, prof. Fryderyk Zoll.



Panorama Rzeszowa.

P Ballada przyfrontowa

JAGIENKA WILCZAK

Przyfrontowy klimat manifestuje się nie tylko liczbą uchodźców. Szybko przetestowano, że przez Rzeszów prowadzi najlepsza droga do Kijowa. Wylądowali amerykańscy i brytyjscy żołnierze, za nimi służby specjalne MI-6 i CIA, a w końcu politycy.

Niedawny niezapowiedziany przyjazd brytyjskiego księcia Williama był już dwutysięczną wizytą VIP w Rzeszowie. Tu zaskoczenia nie było. Limuzyny służbowe MI-6 krążyły po mieście już kilka dni wcześniej, policja zatrzymywała auta z obcymi rejestracjami. Prezydent Konrad Fijołek przygotował dla gościa lokalną pamiątkę, zdjęcie z historycznym widokiem rynku oraz ratusza pochodzącym z przedwojennych zbiorów słynnego rzeszowskiego fotografa Edwarda Janusza. Książę odwiedził brytyjskich żołnierzy z pułku the Queen's Royal Hussars stacjonujących w mieście. O Rzeszowie zapewne usłyszał po raz pierwszy.

Przyjeżdżali Joe Biden, Andrzej Duda, Antony Blinken, Ursula von der Leyen, szefowa PE Roberta Metsola, prezydenci, premierzy, ministrowie spraw zagranicznych i obrony, ambasadorowie, celebryci, Bono, The Edge z zespołu U2, aktor Sean Penn, generałowie, doradcy, pisarze, dziennikarze, prezydentowe, były i obecne. Dwukrotnie, choć potajemnie, był rosyjski oligarcha Roman Abramowicz, który liczył na spotkanie z Joe Bidenem.

– Słyszac dwa ciężkie samoloty podchodzące do lądowania w Jasionce, pomyślałem, że pewnie to znów ktoś ważny – opowiada Konrad Fijołek. Okazało się, że lądował Air Force One, a w nim

Joe Biden, który w rocznicę ataku Rosjan jechał przez Rzeszów do Kijowa.

W ratuszu nie o wszystkich wizytach wiedzą z góry, zależy, kto odpowiada za organizację, administracja rządowa nie kontaktuje się zwykle z samorządem. Przeważnie ambasadorzy powiadają kurtuazyjnie ratusz, ale bywa, że nie dochowują zwyczaju z braku czasu. Z Rzeszowa do Kijowa jeszcze kawał drogi, najpierw z lotniska autostradą do Przemyśla, potem do celu pociągiem ze słynnego piątego peronu PKP. Podróż koleją z Rzeszowa odpada, w Ukrainie rozstaw torów jest szerszy niż w Polsce, XIX-wieczne austriackie tory kolei wiedeńskiej do Lwowa dawno zarosły chwastami lub zostały rozebrane. Konieczna przesiadka.

...

Rzeszów jest teraz trójjęzyczny: polski, ukraiński i angielski. Wielu zagraniczników przyciągnęły międzynarodowe organizacje, jakie tutaj zakotwiczyły. Przyjechali na początku wojny i zostali. Pomoc uchodźcom finansują duży: Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji IOM, UNHCR, UNICEF, ale także mniejsze fundacje; Szwajcarzy zajęli się pomocą charytatywną i integracyjną, Kanadyjczycy przejęli pomoc medyczną, osłaniają transporty humanitarne i sanitarne rannych żołnierzy i cywilów. Podobnie Norwegowie. Są liczne agendy okołowojskowe pracujące dla żołnierzy, dostarczają niemal wszystko, od skarpet po czółgi.

Fundacja CORE aktora Seana Penna ma bazę w Rzeszowie od roku. CORE zatrudnia wolontariuszy i płaci za pracę, ►



Gdy Rosja napadła na Ukrainę, Rzeszów stał się miastem przyfrontowym, pierwszym dużym, w jakiej takiej bezpiecznej odległości od granicy. Jak się dzisiaj tu żyje?

Powyżej: żołnierz ze stacjonującej w Mielnie 82. dywizji powietrznodesantowej USA pozuje w płaszczu polskiego żołnierza z drugiej wojny światowej. Poniżej: lądujący w Jasionce Air Force One z prezydentem Joe Bidenem na pokładzie przyciągnął mieszkańców Rzeszowa.



► to nowa jakość i doświadczenie na lokalnym rynku i w systemie pomocy. Fundacja przejęła wiele sfer pomagania, a dzięki pieniądзом, jakimi dysponuje, jest profesjonalna i skuteczna. Aktor podpisał z samorządem umowę o współpracy, szkoleniu wolontariuszy i pomocy psychologicznej dla uchodźców. Obecność CORE to wielkie wsparcie dla uchodźców i samorządu. Wojna trwa i długo roboty nie ubędzie. Nazwisko i sława Penna podziałały jak magnes, wielu VIP-ów chce zobaczyć, jak działa i jak wygląda miasto, którym aktor tak się zachwyił. Samorządowi zależy, żeby byli tu wszyscy: duzi i mali, bo niosą pomoc, a dzięki nim Rzeszów staje się międzynarodowym humanitarnym hubem i już nie będzie stolicą Polski B ani bastionem PiS.



Obecność amerykańskich żołnierzy nie manifestuje się nachalnie, choć to prawie 10 tys. młodych mężczyzn, zliczając tych, co stacjonują w Jasionce i Mielcu. Z rzeszowskiego lotniska, gdzie po przylocie rozbili tymczasowy obóz, przeniesli się nieco dalej, mają autonomiczną bazę, namioty, kontenery, amerykańską flagę. Wraz z ich przybyciem wśród dziewczyn w Jasionce zapanała moda na poranny jogging.

Do centrum dojeżdża miejski autobus, chłopaki po cywilnemu wpadają na zakupy. Łatwo się porozumieć, młodzi rzeszowiaci przeważnie znają angielski.

Amerykani lubią popalić shishę w Qu Bar Shisha Lounge lub Play Bar Hookah czy pubie Roko, popijając Long Island: większość drinków ma teraz angielskojęzyczne nazwy. Polubili hamburgery w McDo, gdzie czują się jak u siebie, bo jedzenie prawie swojskie. Okupują wspólny stół, najdłuższy w restauracji, trochę się przy nim tłoczą, klepią po plecach, żartują, jak w amerykańskich filmach. W dżinsach i sportowych kurtkach, wyluzowani, budzą życzliwą ciekawość. Albo wpadają na siłownię całą grupą i wtedy już klub należy do nich, odróżniają się od miejscowych, bo nie podziwiają w lustrach bicepsów, nie wypadają. Do bazy wracają autokarem lub taksówkami. Podobno restauracje w mieście wprowadziły do menu hamburgery i steki, a największy sprzedawca whisky zapewnia, że nigdy nie miał tak dużych zamówień i obrotów.

Nie narzekają hotele. Chasydzi, którzy przyjechali uczcić cadyka Elimelecha z Leżajska, nie mogli w tym roku zamieszkać w Hiltonie, wszystkie pokoje rezerwują Amerykanie – personel cywilny.



Swoje strategiczne znaczenie zawdzięcza Rzeszów położeniu i lotnisku w Jasionce, które stało się głównym węzłem transportowym, światową bramą do Ukrainy, jak ktoś celnie powiedział. Zostało zbudowane tuż przed napaścią Niemiec na Związek Radziecki, na wojenną okoliczność. Ma płaskie podejście i dobre skomunikowanie z miastem, leży blisko, ale nie za blisko granicy. To okazało się ważne, zwłaszcza po rosyjskim ataku raketowym na bazę wojskową w ukraińskim Jaworowie, gdzie zginęło wielu żołnierzy.

Jasionka ma najwięcej w Polsce dni lotnych, ale przede wszystkim ma najdłuższy po Okęciu pas, 3200 m, płytę startową szerokości 65 m. Mogą tu lądować największe samoloty świata, pięciokrotnie lądowała ukraińska Mrija, AN-225, wielokrotnie ogromne AN-124 Ruslan i wszystko co ciężkie i szerokokadłubowe. Pas wybudowano, zakładając, że będzie to lotnisko cargo zwrócone na wschód, dostępne także dla Ukrainy Zachodniej. Był 2004 r., nikomu myśl o wojnie nie przeszła przez głowę, realna była groźba zamknięcia portu lotniczego, którego rola i dochody topniały: za mało lotów, za blisko Balic, szary budynek terminalu z posadzką lastrico wyglądał jak relikwium przeszłości. Siły polityczne



Brytyjskich żołnierzy z bazy wojskowej w okolicy Rzeszowa odwiedził wiosną księżę William.

od lewej do prawej zjednoczyły się wtedy wokół zadania ratowania lotniska, samorządowcy z parlamentarzystami i Rzeszowską Agencją Rozwoju Regionalnego. Myślenie na wyrost okazało się sukcesem, obok lotniska powstał park technologiczny, część słynnej mieleckiej strefy ekonomicznej i centrum konferencyjne (to tutaj obrzucono jajkami ministra Kowalczyka). Dziś lotnisko okazało się ratunkiem dla wszystkich, także dla Ukrainy.

Kiedy tuż przed wybuchem wojny baterie Patriot dotarły do Rzeszowa, przy ogrodzeniu od świtu do nocy gromadzili się fani sił zbrojnych i lotnictwa z wycelowanymi aparatami fotograficznymi. Patrioty były największą atrakcją turystyczną. Dziś nikt nie podchodzi blisko, nie robi zdjęć przy lotniskowym płocie, świadomość obywatelska osiągnęła wyższy poziom. Może oprócz rosyjskich agentów, którzy gdzieś tutaj wpadli, co okazało się sporą sensacją.

Kiedy w Waszyngtonie prezydent Biden mówi o kolejnych miliardach pomocy dla Kijowa, to w Jasionce dolary przekładają się na konkrety. Sprzęt, broń, amunicja, rakiety, pojazdy pancerne, wszystko najpierw musi dotrzeć do Rzeszowa. Stąd nocą wyruszają konwoje w stronę granicy z Ukrainą. Każdego dnia wydawane jest 120–150 ciepłych posiłków dla kierowców tirów. Prezes Zarządu lotniska Adam Hamryszczak powiedział Rzeczpospolitej.pl, że to, co się dzieje, można by porównać do sytuacji, gdy Stal Rzeszów miała zagrać w Lidze Mistrzów. Żeby wygrać, nieustająco pracują na adrenalinie.



Niedawno dzwonił bogaty inwestor z Emiratów i dopytywał: co wy macie w tym Rzeszowie, że Biden przyjeżdżał już dwa razy? A biznes idzie za amerykańskim prezydentem. Więc zamierza inwestować w Rzeszowie. Już wiadomo też, że Francuzi chcą w Rzeszowie zorganizować spotkanie miast francuskich i ukraińskich.

Zapewne wojskowe instalacje, amerykańscy i angielscy żołnierze zostaną na kilka lat, część organizacji międzynarodowych również. Może nawet powstanie stała baza wojskowa. To zapewne, że Amerykanie będą tu częstymi bywalcami. Na razie sondują, zbierają wykazy terenów budowlanych. Inni też czają się do skoku, niech się tylko zacznie odbudowa Ukrainy. Tu deweloperka nie przyhamowała, wynajem mieszkań kwitnie, ceny rosną, wszyscy się ustawiają na przyszłość. Trzeba być na miejscu, trzymać rękę na pulsie. Będą pieniądze i intratne kontrakty, inwestycyjne dolce vita.



Ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski na płycie rzeszowskiego lotniska w grudniu 2022 r.

Hub humanitarny zmieni się w ekonomiczny. Międzynarodowa rola Rzeszowa będzie rosła. – *Wiemy, że szykuje się dużo dwustronnych projektów* – przekonuje prezydent Fijołek. Rzeszów ze względu na położenie ma same zalety.

Są też minusy awansu, dla Rzeszowa i regionu, który narzeka na brak turystów – obawa przed wojną. Miasto zrobiło się nieznośnie zatłoczone, zaparkowanie auta jest sztuką, wprowadzono opłaty niemal wszędzie, ostatnio nawet pod szpitalem klinicznym. Korki zatykają ulice, często już od rana. Przpełnione są szkoły, przedszkola, przeciążona służba zdrowia, trzeba pomyśleć o nowych inwestycjach. Podrożały hotele, droższa jest nawet kawa w McDo i dania w restauracjach. 170 zł za stek? Amerykanie mówią, że taniocza. Przydałby się chociaż fragment pasma 5G, technologia o wyższej wydajności, zwłaszcza że liczba mieszkańców wzrosła, prawie z dnia na dzień.

W pierwszych tygodniach wojny nie było wiadomo, gdzie zatrzymają się Rosjanie. Bliskość granicy, obawa przed bombardowaniem czy terroryzmem sprawiły, że wiele osób sprzedało domy i wyjechało, byle dalej. Strach nie minął, zwłaszcza po wypowiedzi rosyjskiego deputowanego do Dumy Konstantina Zatulina, który namawiał do „ukarania” Rzeszowa za pomaganie Ukraińcom.

Musiano odwołać znany Światowy Festiwal Zespołów Folklorystycznych, bo goście odmówili przyjazdu. Może uda się ich namówić tego lata; dopiero się okaże. Za drzwiami stoją już handlarze narkotyków, których przyciąga obecność Amerykanów. Ogólnopolskie gangi też badają teren. Rzeszów stara się przygotować, choć wiadomo, że przestępcy i mafie zawsze są o krok do przodu. Na przykład urzędy zmagają się z rosyjskimi cyberatakami. Przestaje nagle działać internet. Niedawno zaatakowany został system sprzedaży biletów. Takie testowanie wszystkich miejskich służb to właściwie codzienność.



W szczytce co trzeci mieszkaniec był uchodźcą, ponad milion tędy przejechało, w Rzeszowie zatrzymało się 53 tys. Taka jest oficjalna liczba. Z raportu Unii Metropolii Polskich wykonanego na podstawie logowań telefonów komórkowych wyliczono tymczasem, że było prawie dwa razy więcej, 100 tys. Ukraińców. Po PESEL ustawiło się 12 tys.

Pierwsza fala to byli bogaci z Ukrainy Zachodniej. Często młodzi mężczyźni, zdążyli wyjechać, zanim wprowadzono zakaz

opuszczania kraju. Przyjeżdżali do własnych mieszkań lub domów, przeczornie inwestowali w nieruchomości już od 2014 r., od wojny w Donbasie. Teraz wyjęli klucze z kieszeni. Zresztą ukraińscy deweloperzy działali w Rzeszowie aktywnie. Umieeli się rozepchnąć skuteczniej niż miejscowi.

Druga fala to emigranci na walizkach, czekają na możliwość powrotu do domu. Nie chcą się ruszać z Rzeszowa.

Wreszcie uciekinierzy przed Rosjanami. Nie chcieli zostawać na dłużej, podążali do większych miast, Warszawy, Wrocławia i na Zachód. Dla nich Rzeszów był za blisko granicy. Od czasu, gdy Niemcy uruchomili pociągi z Przemyśla do Hanoweru, wiele osób walczy o darmowy bilet na jedno z 350 miejsc.

Zostali przeważnie ci z Ukrainy Zachodniej. Choć nie wszyscy się zarejestrowali i chcą się ujawnić. Część nie posyła dzieci do szkoły, mimo że dla nieznanących polskiego utworzono specjalny tryb przygotowania. Uczą się online lub wcale. Te statystyki niepokoją samorządowców.

Właśnie dociera kolejna fala, to powroty z Zachodu. Ze Szwajcarii wracają ci, którzy zamienili wywiezione z kraju dolary na złoto inwestycyjne. Trudno nosić kilogramy złota pod pachą, tymczasem w Szwajcarii nie mogą już otworzyć kont bankowych ani wynająć skrytek. Podobnie właściciele drogich samochodów, Lexusów i Bentleyów. Musieli wyjechać, bo szwajcarskie władze dały uchodźcom z Ukrainy dwa miesiące na sprzedaż samochodów, jeśli są warte więcej niż 25 tys. franków. Jeżeli chcą zachować status emigranta, muszą wybierać. W Polsce zakazu używania drogich aut nie ma.



Dziś każda firma zatrudnia pracowników z Ukrainy, w usługach, handlu, komunikacji czy jako tłumaczy. Niedawno odzieżowa spółka LPP przyjęła 500 Ukrainek, pracują w nowo otwartym zakładzie. Jednak wiele kobiet wykształconych, z dyplomami i stopniami naukowymi, nie może wciąż znaleźć zatrudnienia na miarę kwalifikacji. Wiele jest w trudnej sytuacji, bez pracy, bez polskiego obywatelstwa nie mogą liczyć na mieszkanie komunalne. Jak długo będą skłonne żyć kątem u znajomych, dzięki pomocy humanitarnej?

Niektórzy próbują zaradzić sami. Pani Anna otworzyła sklep Best from Ukraine, prawie w centrum, blisko skrzyżowania alei Piłsudskiego z Targową. Domowe smaki ukraińskie. Od czekoladek Roshen, z fabryk byłego prezydenta Petro Poroszenki po kiszony pomidor oraz lwowską kawę i chałwę. Zatrudnia kilkoro sprzedawców. Zwykle już od rana ustawiają się tu kolejki Ukraińców, ale też Polaków. Wcześniej budynek stał ponury i zaniedbany, teraz odzyskał życie, dużo tu niebiesko-żółtych balonów i dekoracji w barwach narodowych. Tymczasem sklep jest hejtowany w internecie przez rzekomą społeczność ukraińską. Sprawę opisuje portal Halo Rzeszów. Wygląda, że to próby skłócenia środowiska.

Antagonizować Polaków i Ukraińców próbuje także poseł Grzegorz Braun z Konfederacji. – *Te próby nie padają na podatny grunt. Pan poseł zorganizował na rynku manifestację, ale zjawił się na niej tylko on i sekretarka* – prezydent Fijołek przypatrywał się temu z okna gabinetu. Zachodni dziennikarze pytają najchętniej o spokój społeczny. Prezydent odpowiada, że nie ma problemu.

Część uchodźców zostanie na stałe. Ci zamożni, którzy mają pracę, mieszkania i już się ustawili na nowe życie. I ci, którzy nie mają już do czego wracać. Może to być nawet 60 proc. przebywających dziś w Rzeszowie Ukraińców. Miasto już na zawsze zyska więc nowe oblicze.

JAGIENKA WILCZAK



Domy złe

Nikt nigdzie nie ucierpiał w pandemii tak jak starsi mieszkańcy domów opieki. O nikim tak szybko nie zapomnieli i opinia publiczna, i rządzący, choć kluczowe problemy pozostają nierozwiązane.

Marcin Tomczak na podstawie własnego doświadczenia mówi o instytucjach i politykach: – *Zachowują się, jakby pandemia nigdy się nie zdarzyła.* Pokazuje zdjęcie z komórki: jego ojciec w garniturze, chudy jak szkielet, ułożony w trumnie zygzakiem. – *Miał takie przykurcze, że nie mogli go włożyć, a nie chcieli łamać. Nigdy wcześniej nie mieli zwłok w takim stanie.* Tomczak ma 50 lat, był antyterrorystą, niejedno widział, ale gdy na szpitalnym korytarzu ujrzał ojca kilka dni przed śmiercią, rozplakał się. – *Ledwo go poznałem. Zaniedbali go, zagłodzili, skazali na śmierć* – nie przebieira w słowach. O jego ostatnich miesiącach życia w Domu Kombatanta (to Dom Pomocy Społecznej) w Szczecinie opowiada tak: – *W lockdownie, gdy nie mogłem tam wejść, dzwonił, że krzyczą, źle karmią, nikt się nim nie opiekuje, zmoczony leży godzinami w brudnej pościeli. Interweniowałem u personelu i kierownictwa, ale zapewniano, że wszystko jest w porządku. Skończyło się tym, że telefon kładziono poza jego zasięgiem, a mnie mówiono, że nie chce rozmawiać.*

– *Była strasznie wychudzona i zanie dbana, miała rozległe odleżyny* – mówi 55-letni Artur Źródłowski o Zdzisławie Wolańskiej. Formalnie był dla niej obcy, ale panią prokurator w stanie spoczynku, samotną, rocznik 1927, traktował jak ukochaną babcię. Również przebywała w Domu Kombatanta, tyle że w Zielonej Górze. Mimo to opowieść Źródłowskiego jest bliźniaczo podobna do tej, jaką snuje Tomczak: – *Gdy pandemia zamknęła DPS dla odwiedzających, Zdzisława nie radziła sobie już z telefonem. Swoimi kanałami dowiadywałem się, że bywa głodna, nie zażywa leków, godzinami jest zostawiona bez opieki medycznej, ale dyrekcja zapewniała, że wszystko jest OK.*

Nie było – ani w zielonogórskim, ani w szczecińskim, ani w wielu innych domach pomocy społecznej. Z reguły leżą na uboczu (dosłownie i w przenośni), dlatego mało kto zdaje sobie sprawę, że jest ich w kraju (stan na 31 grudnia 2021 r.) aż 827. Mają ok. 76 tys. mieszkańców, w zdecydowanej większości starszych. Pandemia uderzyła w nich ze zdwojoną siłą: z powodu zaawansowanego wieku, chorób towarzyszących i stłoczenia na małej powierzchni byli narażeni na koronawirus jak nikt inny, na co dzień oderwani od rodzin, jeszcze boleśniej odczuwali skutki

totalnej izolacji. Zza murów DPS do opinii publicznej docierały poruszające obrazy ewakuacji mieszkańców, dramatyczne informacje o brakach personelu i suche dane, zwykle cząstkowe, nieodzwierciedlające skali problemu. „Z powodu zakażenia koronawirusem zmarło 204 mieszkańców domów pomocy społecznej i 99 mieszkańców prywatnych placówek całodobowej opieki” – informowała wiceminister rodziny Iwona Michałek.

Był październik 2020 r., mijało pół roku pandemii, w Polsce zmarło 2717 pacjentów z Covid-19, zakażenia potwierdzono w 48 DPS, co „stanowi 5,8 proc. ogółu placówek”, jak skrupulatnie odnotowała przedstawicielka rządu. Nie robiło to już wrażenia. A powinno, bo co dziesiąta osoba, która umierała zakażona wirusem, mieszkała w domu opieki. Gdyby w całej populacji zakażeni umierali w podobnym tempie, już wtedy pandemia zabiłaby 115 tys. osób (faktycznie barierę 100 tys. ofiar przekroczyliśmy 15 miesięcy później, do dziś zmarło 119 tys.

– *PiS za wszelką cenę chciał sprawić wrażenie, że panuje nad pandemią także w DPS, nie godził się więc na powołanie specjalnej podkomisji do zbadania ich sytuacji* – komentuje Paulina Matysiak z sejmowej komisji polityki senioralnej. Jest posłanką SLD z Kutna, ma babcinę w DPS i na własne oczy widziała, jakim dramatem była pandemia dla podopiecznych i personelu. – *Gdy pielęgniarki zmuszono do pracy w jednym miejscu, nagle okazało się, że nie ma komu pracować, bo te kobiety orały na kilku etatach, żeby wiązać koniec z końcem. Takie są realia Polski powiatowej.*

Niewydolny system

Ilu chorych na Covid-19 zmarło w DPS? Nie wiadomo, bo oficjalne statystyki osobno tego nie ujmują. Pewne jest to, że Covid-19 spustoszył domy opieki w całej Europie. Już po pierwszej fali naukowcy London School of Economics wskazywali, że w Belgii, Francji, Hiszpanii i Włoszech miało w nich miejsce od jednej trzeciej do nawet połowy wszystkich zgonów spowodowanych wirusem. Według europejskich ekspertów w większości państw zawiniły wieloletnie zaniedbania, ale też zaniechania z doby pandemii: brakowało sprzętu ochronnego, zestawów testowych, możliwości izolacji, szkoleń personelu.

Szwedzka minister zdrowia Lena Hallengren przeprosiła, że państwo zawiodło seniorów, w kilku innych krajach politycy też bili się w piersi, tymczasem w Polsce chowają głowy w piasek. Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej podaje dane o szczytzeniach („w drugiej połowie 2021 r.

liczba zaszczepionych mieszkańców wzrosła do 90 proc., pracowników do 80 proc.”), instrukcjach i rekomendacjach, ale odpowiedź na pytania POLITYKI o węzłowe wnioski i wyzwania przyszłości przerzuca na samorządy: „Domy pomocy społecznej prowadzone są przez samorządy gminne lub powiatowe bądź na ich zlecenie, (...) za sposób organizacji i funkcjonowania domów, w tym również politykę kadrową, bezpośrednio odpowiadają organy prowadzące”.

Potrzebne są jednak zmiany systemowe wykraczające poza możliwości burmistrzów czy starostów. Do takiej opinii skłania się Przemysław Kazimirski, dyrektor Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur (KMPT). To zespół specjalistów Biura Rzecznika Praw Obywatelskich uprawniony do kontroli miejsc pozbawienia wolności (DPS należą do tej kategorii, bo można do nich skierować kogoś przymusowo, decyzją sądu). – *Sytuacja pandemiczna była w nich najgorsza spośród wszystkich instytucji opiekuńczych. Koronawirus odstonił niedomagania, pogłębił je i wykreował nowe.*

W 2020 r. KMPT sprawdził 65 DPS. Brakowało w nich spójnych ram prawnych działania w dobie pandemii, zalecenia i wytyczne docierały za późno, były niedostosowane do ich specyfiki. Większość placówek nie miała procedur, zapasów środków ochrony osobistej, pomieszczeń do izolacji. „Pojawiały się również problemy z dostępem do opieki medycznej”, samorządowcy z całej Polski skarżyli się, że „coraz trudniej jest zapewnić ciągłość opieki pielęgniarskiej”, wojewoda śląski sygnalizował „trudności kadrowe” z powodu zwolnień lekarskich, przeprowadzania i rezygnacji z pracy. Jak zauważa KMPT, niedobory kadrowe były zauważalne już przed pandemią, ale wirus wręcz zdziesiątkował personel niektórych placówek, np. na Mazowszu. W DPS w Drzewicy (woj. łódzkie) zakażonymi mieszkańcami opiekowali się zakażeni pracownicy, w Kraśniku Górnym (woj. dolnośląskie) 15 mieszkańcami parteru i piętra zajmowała się jedna opiekunka (musiała też przygotować posiłki), ostatniego kontaktu z pielęgniarką nie pamiętali. W Milanówku (woj. mazowieckie) bywały dni bez żadnej pielęgniarki na dyżurze.

Wyszło na jaw, że w żadnej placówce nie ma u mieszkańców instalacji przywołującej pomoc, pandemia ukazała także problemy z opieką psychologiczną (według przepisów DPS musi zapewnić kontakt, nie obecność psychologa), a jeden ze starostów sugerował, że jest zbyt cicha, bo „mieszkańcy ze względu na stan zdrowia nie mają świadomości zagrożenia”.

Na problemy instytucjonalne od lat wskazuje również NIK. Liczba osób potrzebujących całodobowej opieki systematycznie rośnie, bo społeczeństwo się starzeje: w 2018 r. 24,8 proc. z nas miało 60 lat i więcej, według prognozy GUS do 2050 r. ten wskaźnik przekroczy 40 proc. ogółu ludności. W DPS tymczasem brakuje miejsc, bo z braku pieniędzy powiaty nie budują nowych, a gminy niechętnie tworzą alternatywy – raportował NIK przed pandemią. Na Lubelszczyźnie rekordzista czekał na przyjęcie do DPS 503 dni. Obiekt był przepełniony, bo starsi ludzie trafiali tam wprost ze szpitala, gdy nie było możliwości „powrotu do środowiska”.

Stan ciała

Problemy mogłyby rozwiązywać deinstytucjonalizacja, którą rząd w ub.r. zapisał w „Strategii rozwoju usług społecznych do roku 2030”. Przewiduje, że starsi (i inni potrzebujący) funkcjonowaliby w swoim mieszkaniu lub środowisku lokalnym tak długo, jak chcą, dzięki m.in. klubom i domom samopomocy oraz dziennego pobytu, rodzinnym domom pomocy i mieszkańom chronionym, a także usługom asystenckim i sąsiedzkim. – *Od lat postulują to eksperci i sugeruje UE, szkopuł w tym, że PiS z tym zwlekał i nadal się nie spieszy, a mamy ogromne zapóźnienia* – komentuje posłanka Matysiak. Michał Szczerba z KO, wiceszef komisji polityki senioralnej, dodaje, że obóz władzy nie robi nic, żeby obniżyć wygórowane opłaty (nawet 5 tys. zł miesięcznie) za pobyt w DPS i wesprzeć finansowo zarządzające nimi samorządy.

– *DPS są ogromnym problemem i będą coraz większym, bo normy ich działalności nie przystają do aktualnych warunków* – mówi tymczasem prokurator Ewa Antonowicz z Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze. Jak zauważa, w nich co do zasady się mieszka, a nie przechodzi terapię. Jeśli jest gabinet lekarski, to jako udogodnienie dla pacjentów, żeby lekarz rodzinny mógł ich przyjmować na miejscu, nie „na mieście”. Oni oczekują jednak, że lekarz będzie na stałe – tyle że ustawa o pomocy społecznej nie przewiduje tam takiego etatu. Osoby wymagające stałej opieki medycznej powinny trafiać do zakładu opiekuńczo-leczniczego (ZOL), ale DPS nie ma prawa składać wniosków w ich imieniu, a na miejsce czeka się rok i dłużej (pacjenci często tego nie dożywają). Zbyt ciasno jest też w hospicjach, gdzie powinni się znaleźć chorzy terminalnie. – *Z konieczności trafiają więc do DPS, które nie są w stanie tego udźwignąć, ale trudno za wszystko winić personel* – mówi Antonowicz na kanwie prowadzonego w Zielonej Górze śledztwa. ►

► Zaczął się od doniesienia Artura Źródłowskiego w sprawie śmierci Zdzisławy Wolańskiej. Podobne śledztwo prowadzi Prokuratura Okręgowa w Szczecinie w sprawie śmierci Aleksandra Tomczaka po doniesieniu jego syna. Marcin Tomczak i Artur Źródłowski się nie znają (reporter spotkał się z nimi osobno w Szczecinie i Zielonej Górze), ale obaj nie są gołosłowni. Tomczak wykłada na stół steretę dokumentów, w tym protokół z sekcji własnego ojca. W opinii prof. Mirosława Parafiniuka, specjalisty medycyny sądowej i patomorfologii, „do śmierci doszło w wyniku zjawisk naturalnych związanych z wirusem SARS-CoV-2. Natomiast wyjaśnienia wymaga stan skrajnego wyniszczenia (...). Wskazane jest przesłuchanie osób sprawujących opiekę nad pacjentem w DPS Dom Kombatanta, bo (...) »istnieje duże prawdopodobieństwo, iż do wyniszczenia mogło dojść w wyniku niewłaściwej pielęgnacji«. Już pół roku po wybuchu pandemii (i pół roku przed jego śmiercią) lekarze szpitala wojkowskiego stwierdzili u Aleksandra Tomczaka „cechy odwodnienia i kacheksję”. Kacheksja to „zły stan ciała”: przewlekłe osłabienie i wycieńczenie zaburzące pracę wszystkich jego organów. Może wynikać z chorób (miał zapalenie płuc, zaraził się wirusem) i leków, ale też nieprawidłowej opieki. – *Lekarka rodzinna, która odwiedzała ojca w DPS, mówiła, że godzinami zostawiony jest sam na sam z telewizorem, dlatego cierpi na depresję. Interweniowała też w sprawie karmienia, bo ojciec nie miał tkanki tłuszczowej, mówiła, że „to były kostki obleczone skórą”* – opowiada Tomczak.

Z kolei Źródłowski wskazuje kartę informacyjną leczenia szpitalnego Wolańskiej. Zmarła z powodu niewydolności nerek, ale odnotowano: „zmiany odleżynowe na kończynach dolnych, stan odżywienia zły, liczne przykurcze kończyn dolnych oraz wymuszona pozycja »embrionalna«. Przykurcze były tak mocne, że lekarze nie byli w stanie założyć jej cewnika. Źródłowski dostarczył śledczym zdjęcia zrobione potajemnie w zielonogórskim DPS: tabletki położone na stoliku poza zasięgiem obłożnie chorych mieszkańców, rozsypane na podłodze, krwiaki na ich rękach, potworne odleżyny na plecach, udach i pośladkach. Gdy nagłośnił w mediach zaniedbania wobec Wolańskiej, światło dzienne ujrzały inne bulwersujące przypadki (opisane przez Maję Sałwacką w „Gazecie Wyborczej”): Marii z dusznościami, która zmarła, nie doczekawszy pomocy lekarza, Zbyszka, który tydzień przeleżał z niezdiagnozowanym udarem, Hanny z larwami much w ranie (trzeba było amputować jej nogę).

Prywatnie nie lepiej

Domów pomocy społecznej jest za mało w stosunku do potrzeb, lukę usiłując więc wypełnić prywatne placówki całodobowej opieki. Według Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w 704 takich placówkach mieszkają 20 894 osoby (stan na 31 grudnia 2021 r.). NIK już przed pandemią alarmowała jednak, że oficjalne dane są „niespójne i nierzetelne”, przepisy dziurawe, a kary za ich łamanie śmiesznie niskie i nieskutecznie egzekwowane. W latach 2015–18 ponad 200 takich placówek działało bez zezwolenia, w skrajnych przypadkach przez 10, 12, nawet 18 lat. Np. z danych Ministerstwa Rodziny wynikało, że na całym Dolnym Śląsku działa jedna placówka z czterema miejscami, z których nikt nie korzystał, a faktycznie były 53, oferujące 1701 miejsc, wykorzystanych w 89,4 proc. Powstają często w nieprzystosowanych do tego celu willach (wynajmowanych także od nieświadomych tego właścicieli), mieszkańcy niektórych nie mogą liczyć na odpowiednie wyżywienie i opiekę, NIK odnotowała nawet przypadki znęcania się. Aparat państwa bywa bezsilny: na 306 kontroli zleconych przez wojewodów 40 się nie odbyło, bo inspektorzy nie zostali wpuszczeni (nawet w asyście policjantów), a zapadł tylko jeden wyrok skazujący za utrudnianie kontroli. ZB



Wkrótce Dom Kombatanta w Zielonej Górze stał się największym ogniskiem pandemii w regionie (koronawirusa potwierdzono u 72 pensjonariuszy i 35 pracowników), z braku wystarczającego personelu wojewoda zarządził jego ewakuację. Mieszkańcy trafili do pięciu szpitali, w największym stwierdzono u nich zaniedbania, odleżyny, otwarte rany. Raport wojewody wykazał, że w Domu Kombatanta tylko w dwóch wrywkowo sprawdzonych miesiącach niemal 40 sygnałów o potrzebie wezwania lekarza czy konsultacji ze specjalistą zostało pozostawionych bez odpowiedzi.

Zderzenie z murem

W sprawie obu Domów Kombatanta prokuratura nadal prowadzi śledztwa. Szczecińska odmawia informacji („z uwagi na dobro postępowania”), zielonogórska informuje, że śledztwo zmierza ku końcowi. – *Strony zapoznają się z materiałem dowodowym* – mówi prokurator Antonowicz.

Sprawa „nieumyślnego spowodowania śmierci” Wolańskiej, jak to zakwalifikowano, wciąż nie jest zamknięta, ale w śledztwie zielonogórskiej prokuratury pokrzywdzonych jest ponad stu mieszkańców Domu Kombatanta (lub reprezentujących ich krewnych). Na razie zapadł jeden wyrok: lekarz został skazany za to, że zdalnie uznał pacjenta za zmarłego: przez telefon poinformowano lekarza, że człowiek nie żyje, a ten poświadczył to do aktu zgonu. Sprawę wyłączono do odrębnego postępowania, zakończyła się warunkowym umorzeniem. Podobny zarzut postawiono lekarce. Miała również narazić dwie pacjentki na utratę życia i zdrowia (grozi za to do pięciu lat pozbawienia wolności, a do trzech w przypadku winy

nieumyślniej), bo dopuściła do powstania głębokich odleżyn. Za to samo odpowiedzą przed sądem dwie pielęgniarki, które nie wezwały lekarza do pacjenta w stanie zagrożenia życia. Kolejna lekarka odpowie za błędy w leczeniu cukrzycy u pacjentki z larwami w ranie, co doprowadziło do powikłań i odleżyn.

Według dyr. Kazimirskiego z Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur DPS odróżnia od innych instytucji opiekuńczych to, że w ich przypadku nie wyciągnięto wniosków z pandemii: – *Nie widzimy poprawy organizacyjnej i finansowej, która zwiększałaby ich wydolność. Nadal problemem jest utrzymanie kadry. Niskie pensje sprawiają, że pielęgniarki wolą pracować np. w szpitalach. Obawiam się, że powtórka z pandemii w DPS byłaby pod wieloma względami równie dramatyczna.*

W Domu Kombatanta w Zielonej Górze nowa dyrekcja twierdzi, że wszystko wróciło do normy i mieszkańcy mogą się czuć bezpieczni. Zbigniew Wysocki, szef Solidarności Domu Kombatanta w Szczecinie: – *Sytuacja nadal jest krytyczna. Brakuje pielęgniarek i opiekunek, nie chcą już brać nadgodzin ani pracować w stresie i ponad siły za rażąco niskie pensje.* Jak mówi, w opiece nieraz muszą pomagać ochroniarze. Dyrekcja tamtejszego DPS nie chce rozmawiać z dziennikarzem, podobnie przedstawiciel Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, któremu Dom Kombatanta podlega. – *Zderzam się z tym murem na co dzień, jakby nie chodziło o ludzkie życie* – komentuje Marcin Tomczak. I powtarza bezsilnie, że starszym ludziom u schyłku życia zgotowano niewyobrażalny ból, cierpienie i samotność, a państwo udaje, że tego nie widzi.

ZBIGNIEW BOREK

80. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projektpulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”



Marek Pałus



Adam Konopka



Henryk Olszewski

Drogę do prezesury w Polskim Komitecie Olimpijskim uTOROWAŁA Radosławowi koniunkturalizm, małostkowość, nieporadność w pozyskiwaniu prywatnych sponsorów

MARCIN PIĄTEK

Dawca i biorcy

Urządowanie w PKOl Piesiewicz zaczął od zwolnień. Na razie pracowników średniego szczebla, ale nowa miotła sięgnie głębiej – najpewniej po Igrzyskach Europejskich, zaplanowanych na czerwiec w Krakowie (do ich sprawnego przeprowadzenia przydadzą się merytoryczni pracownicy PKOl). Z budżetu państwa zarezerwowano na organizację tej trzeciorzędnej imprezy miliard złotych. Przygotowania koordynuje minister aktywów państwowych Jacek Sasin, który jako bliski znajomy Piesiewicza gwarantował pompowanie publicznych pieniędzy do koszykówki i teraz będzie nieodzowny w realizowaniu obietnicy nowego prezesa włączenia do PKOl 300 mln zł.

Nowym sekretarzem generalnym PKOl został Marek Pałus, prawnik ze Śląska, działacz sportowy, swego czasu również sternik polskiej koszykówki, odwołany zresztą w połowie swojej drugiej kadencji z powodu niegospodarności (w 2006 r. zostawił po sobie w PZKosz ok. 5 mln zł długów). Pałus mościł się w PKOl jeszcze przed wyborami, powierzono mu prowadzenie obrad, a podczas nich uciał pytania o wypłatę ponad 4-milionowej premii dla ustępującego prezesa Andrzeja Kraśnickiego. Kraśnicki wprawdzie oficjalnie z niej zrezygnował, ale uchwała zarządu dotycząca premii wciąż obowiązuje.

Piesiewicz wygrał wybory bezdyskusyjnie; jego kandydaturę forsowali m.in. działacze związków najbardziej





Leszek Blanik



Adam Korol

Piesiewiczowi mentalność działaczy sportowych: i apetyt na nieznaczone pieniądze.

Radosław Piesiewicz i Jacek Sasin



obfitujących ostatnio na igrzyskach w medale: lekkoatletycznego, kajakowego i wioślarskiego. – *Najdziwniejsze jest to, że skaptował nawet tych, którzy jeszcze niedawno opowiadali się za PO* – mówi jeden z prezesów związków, na których kandydatura kolegi Sasina nie zrobiła wielkiego wrażenia.

Orędownikiem prezesury Piesiewicza został m.in. Adam Korol, mistrz olimpijski i mistrz świata w wioślarskiej czwórce podwójnej, który po zakończeniu bogatej w sukcesy kariery poszedł w politykę – był posłem z list PO, a następnie ministrem sportu w rządzie Ewy Kopacz. Stronnikiem nowego prezesa został również inny mistrz olimpijski Leszek Blanik (gimnastyka), swego czasu także poseł z listy PO. A w kampanii od strony piarowej wspomogła Piesiewicza Katarzyna Kochaniak, rzeczniczka prasowa Ministerstwa Sportu w czasach, gdy na czele resortu stała Joanna Mucha (kiedyś PO, dziś Polska 2050).

Ujawnienie przez POLITYKĘ metod, jakimi Piesiewicz od kilku lat szachuje środowisko koszykarskie (m.in. wpływając na dobór sponsorów – spółek Skarbu Państwa), wywołało wśród jego popleczników konsternację. Do tego dochodziło jeszcze pobieranie dodatkowego wynagrodzenia jako premii za załatwienie państwowych firm finansujących polską koszykówkę i prowadzenie intratnej działalności gospodarczej (co powinno być zbadane przez Ministerstwo Sportu pod kątem złamania ustawy o sporcie). Publiczne deklarowanie poparcia dla Piesiewicza stało się powodem do wstydu.

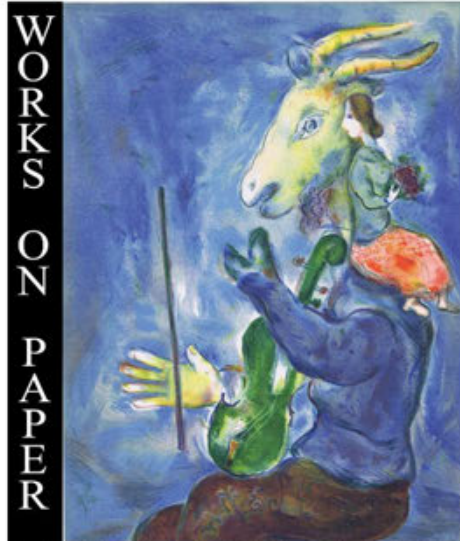
Obietnicy rozmowy nie dotrzymani szefujący obecnie polskiemu wioślarstwu ►

BEKSIŃSKI W CIESZYNI



10 - 31 MAJA 2023

DOM NARODOWY
CIESZYN, RYNEK 12



MARC CHAGALL

WYSTAWA PRAC
21.04 - 30.06.2023

WTOREK - SOBOTA
GODZ. 11:00 - 18:00

WARSZAWSKI DOM
AUKCYJNY
WARSZAWA,
UL. WILCZA 69

► Adam Korol (najpierw wycofał się z ustalonego terminu, a następnie przestał reagować na prośby o kontakt) i jego odpowiednik w gimnastyce Leszek Blanik, który w ostatniej chwili odwołał rozmowę, jako powód podając sprawy rodzinne, a ponadto w gniewnym tonie dodał, że niżej podpisany „nie zrobił nic dla popularyzacji gimnastyki”. Henryk Olszewski, prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, najpierw stwierdził, że nie ma czasu na rozmowę o wyborach w PKOl, bo jest na zakupach, a potem nie odpowiedział na ponowną prośbę. Podobnie (brak czasu, a następnie brak odpowiedzi) rzecz miała się z prof. Tadeuszem Tomaszewskim, prezesem Polskiego Związku Siermierki, swego czasu dziekanem i prorektorem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Grzegorz Kotowicz, prezes związku kajakowego i brązowy medalista olimpijski, odpisał w esemesie, że nie będzie rozmawiał, gdyż wspomniany artykuł na temat Piesiewicza jest „nie rzetelny i nie prawdziwy” [pisownia oryginalna – red.]. Poproszony o wskazanie konkretnych, nie miał już jednak nic do dodania. – *Mniej więcej rok temu oficjalnym sponsorem kajaków została Polska Grupa Energetyczna: nagle, latem. A o takich sprawach decyduje się zwykle na początku roku, po ustaleniu marketingowego budżetu. Kotowicz ma się więc za co odwdzięczać* – mówi osoba dobrze zorientowana w sportowo-finance-sowych układankach. W nowym rozdaniu Kotowicz został członkiem prezydium PKOl oraz skarbnikiem.

Działacz jednego ze związków olimpijskich zgadza się na rozmowę, ale prosi o anonimowość. – *Prowadzę firmę, a obecna władza ma długie ręce, jest mściwa i bezkarna, więc wolę się nie narażać. Piesiewicz? Obiecował większą kasę, nawet dwukrotność naszego obecnego budżetu. Mówił, że nie chodzi tylko o państwowe spółki, ale o prywatnych sponsorów. Gdy zapytałem, kto konkretnie, nie potrafił wymienić ani jednego. Aha, i wspominał coś o korzyściach, jakie czekają na związki w razie otwarcia rachunków w Pekao SA.*

O swoich kolegach po fachu nie ma najlepszego zdania: – *Dla nich ktoś taki jak Piesiewicz to dar z nieba, bo załatwi sponsoring z publicznych spółek. To najbardziej pożądane pieniądze, bo nieznaczone. W odróżnieniu od ministerialnych dotacji, które trzeba rozliczać co do złotówki, tu nie ma takiego obowiązku. Można wydać je na marketing, konsulting, promocję, piar – wszystko, co ulotne i trudne*

do zweryfikowania. Potem w rocznym sprawozdaniu finansowym księguje się te wydatki jako usługi obce. Ministerstwo Sportu tego nie kontroluje, w spółkach nie bada się sensowności takiego sponsoringu z politycznego rozkazu. A działacze nie drążą, bo albo nie chcą się narażać, albo sami kręcą swoje geszefty.

Adam Korol niegdyś narzekał, że prywatny biznes do sponsorowania wioślarstwa się nie garnie, bo szczyt zainteresowania tą dyscypliną sportu przypada raz na cztery lata i trwa mniej więcej dwa tygodnie, tyle co igrzyska olimpijskie. Poza tym światowa federacja wioślarska narzuca rygorystyczne normy, jeśli chodzi o ekspozycję sponsorskiego logo na łódce – jest małe i podczas telewizyjnej transmisji nie rzuca się w oczy, więc gdy potencjalny sponsor pyta o tzw. ekwiwalent reklamowy, promocję marki, nie ma mu czego zaferować. A oglądalność telewizyjnych relacji z wioślarskich zawodów jest wśród polskich kibiców śladowa.

Im bardziej niszowy sport, tym trudniej pozyskać prywatnych sponsorów. I tym większa podatność na korzystanie z systemu wzajemnych przysług – wyborcze poparcie w zamian za publiczne pieniądze w postaci sponsora – w czym Piesiewicz się świetnie orientuje i będzie umiał to wykorzystywać dzięki dojściu do Sasina. – *Zaskakujące jest jednak to, że duże związki, które na igrzyskach zdobywają medale – lekkoatletyka, wioślarstwo, narciarstwo klasyczne – tak bezrefleksyjnie poparły Piesiewicza. Ponoć obawiały się, że łaska państwowych firm się od nich odwróci. Ale nagle wycofanie finansowego wsparcia dla tych nielicznych sportów, dzięki którym coś wciąż na igrzyskach znaczymy, nie wchodzi w grę. Trudno by było zdjęcie takiego patronatu wytłumaczyć* – mówi jeden z pracowników PKOl.

Miarą operatywności i siły przebiccia działaczy jest nie tylko umiejętność pozyskania prywatnego sponsoringu, ale również obecność w międzynarodowych władzach sportowych. Tymczasem obecnie na palcach jednej ręki można policzyć delegatów polskiego środowiska sportowego, którzy coś znaczą w sportowej polityce poza polskim opłotkiem (Tomasz Chamera w żeglarstwie, Janusz Peciak w pięcioboju nowoczesnym, Zbigniew Boniek w futbolu).

Prezes jednego ze związków dość sceptycznie nastawiony wobec nowego rozdania: – *Na niektórych kolegach Piesiewicz zrobił wrażenie swoją dynamiką i ofensywnym stylem bycia. Ale na tle apatycznego Kraśnickiego i jego otoczenia nie było*

to trudne. W międzynarodowych sportowych gabinetach można załatwić wiele rzeczy, a PKOl za Kraśnickiego był bierny, jeśli chodzi o lobbng, zdobywanie wpływów albo zwykłą dyplomacją, wyrażaną choćby wzajemnymi przysługami: poprę twój pomysł albo twojego człowieka, ale liczę na coś w zamian.

Równie mocno Kraśnickiemu zaszkodziła urażona duma działaczy. Adam Konopka, wiceprezes Polskiego Związku Siermierki i gorący orędownik kandydatury Piesiewicza, kiedy jeszcze rozmawiał z POLITYKĄ (obecnie robi uniki), opowiadał, że wiele osób ze środowiska miało żal do poprzednich władz PKOl za brak reakcji na ostre słowa byłego ministra sportu Witolda Bańki. Mówił on, że rakiem toczącym polski sport są nieprawidłowości w zarządzaniu federacjami. – *Inni małostkowo obrazili się na Kraśnickiego, że po igrzyskach w Tokio prezesów zaproszono na uroczystość w Pałacu Prezydenckim w ostatniej chwili i nie przyznano im orderów. A taki Marcin Nowak, szef misji olimpijskiej i człowiek Bańki, order dostał. Jeden z kolegów starszej daty od tej pory przy każdej okazji pomstował na swoją krzywdę i powtarzał, że Kraśnicki jest dla niego skreślony* – opowiada jeden z wiceprezesów.

Można się spodziewać, że nowy prezes PKOl nie tylko załatwi swoim stronnikom obiecane pieniądze publiczne, ale również będzie pamiętał o odznaczeniach. Wówczas na dalszy plan zejdzie weryfikacja jego innych wyborczych obietnic: stworzenia polskiej telewizji olimpijskiej oraz zapewnienia floty samochodów od firmy, z którą współpracuje w koszykówce, na potrzeby działaczy oraz ich współpracowników i podopiecznych. Telewizja może i powstanie, ale nie bardzo wiadomo, co będzie pokazywać, skoro prawa do transmisji igrzysk, jak również mistrzowskich imprez są już sprzedane na wiele lat do przodu. A oficjalnym partnerem MKOl – a więc i PKOl – jest Toyota, na zasadzie wyłączności.

W odwodzie czekają pieniądze z państwowych spółek. Tylko nieliczni w środowisku przebakują o potrzebie ucywilizowania tych relacji: pełnej przejrzystości finansowania zawodowego sportu, a może nawet zakazania takiej działalności. Ale oni w tej chwili nie mają prawa głosu; doszli do niego ci, którym dojenie państwowej krowy osobiście się opłaca.

MARCIN PIĄTEK

PS Adam Korol i Adam Konopka nie zareagowali na prośbę o autoryzację swoich wypowiedzi.

I kawkę zaparzy, i świnie podłoży



ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

Rozmowa z psycholożką społeczną prof. Tessą West o tym, dlaczego w relacjach ze współpracownikami czasem trudno wytrzymać i jak sobie radzić, by nie wybuchnąć.

JOANNA CIEŚLA: – Czy ludzie w pracy są wobec siebie bardziej toksyczni niż w innych życiowych relacjach?

TESSA WEST: – Raczej tak. Większość z nas jest bardziej toksyczna wobec współpracowników niż na przykład wobec członków rodziny, bo oni po prostu na mniej nam pozwalają. Gdy ludzie zachowują się okropnie w pracy, często nikt im o tym wprost nie mówi. Koleżanka, kolega, a zwłaszcza podwładny, zazwyczaj unikają

konfrontacji tak długo, jak to możliwe. Poza tym często nie wszyscy zgadzają się, czy ktoś jest już toksyczny, czy jeszcze nie przekroczył granic.

Podobno dobrym wskaźnikiem jest ulga – to, czy reszta zespołu odczuwa ją, gdy jedna z osób wyrusza na urlop.

To jedno z podejść. Jednak zachowanie, które jako większość społeczeństwa czy jako grupa uznalibyśmy za nieakceptowalne, bywa uzasadnione. Na przykład

mikrozarządzanie – ciągłe kontrolowanie pracownika, zaglądnienie mu przez ramię, odpytywanie, na jakim jest etapie pracy – może być nie do zniesienia. Ale z perspektywy przełożonego może wynikać z tego, że w przeszłości ten pracownik popełniał wiele błędów, albo z tego, że w określonej dziedzinie dokładność jest bardzo ważna. Są pewne branże czy firmy, które wypychają ludzi w toksyczne zachowania albo promują je. Na przykład ►

► działanie metodą tzw. *lizusa-podkopywacza* (szczegóły w ramce) bywa skuteczną drogą do podwyżek i awansów.

Praca jest środowiskiem, które szczególnie sprzyja patologiom?

Aż tak bym tego nie ujęła. Obszar, w którym ostatnio widzimy podobieństwo, to życie uczuciowe, jeśli tak można nazwać randkowanie, zwłaszcza poprzez aplikacje i serwisy internetowe. I w takich relacjach, i w pracy dostrzegamy podobne wzory zachowań. Na przykład tzw. *ghosting* – zrywanie kontaktu, niepojawianie się na spotkaniach, nieodpowiadanie na wiadomości. To był problem, od kiedy zostały wynalezione takie serwisy jak Tinder czy Match.com. Teraz dostrzegamy tego dużo więcej w warunkach pracy. Ludzie nie odpowiadają sobie na maile, czasem pomagają, a czasem nie, choć obiecują, że to zrobią, albo coś tam robią, ale byle jak. Jeden z powodów jest z pewnością taki, że większość naszej komunikacji służbowej też odbywa się dziś poprzez maile, esemesy czy wiadomości. W tych warunkach łatwiej zignorować ludzi, niż gdy siedzi się we wspólnym biurze czy spotyka na korytarzu i trzeba spojrzeć w twarz koleżdy czy koleżance, których źle potraktowaliśmy.

A więc kontakt zdalny wzmacnia skłonność do toksycznych zachowań?

Tak, z tym się zgodzę. W trakcie pandemii ludzie, mówiąc ogólnie, zaczęli zachowywać się gorzej. Stali się bardziej drażliwi, mniej tolerancyjni dla innych i dla ich małych dziwactw, wzrósł poziom nieufności. Wielozadaniowość wpisana w zdalną czy nawet hybrydową pracę jest przytłaczająca, a jednocześnie – nie widząc się ze współpracownikami – zazwyczaj nie zdajemy sobie sprawy z tego, w jakim oni są stanie. Pracując stacjonarnie, na bieżąco, szybko radziliśmy sobie z konfliktami. Z badań wynika, że średni czas trwania interakcji międzyludzkiej w biurach to ok. 2,5 minuty. Jeśli czegoś pani nie zrozumiała albo nawet ktoś panią wkurzył, mogła pani od razu wyjaśnić sytuację, zmierzyć się z nią, mając dostęp do wielu danych – wyrazu twarzy, tonu głosu, mowy ciała. Teraz większość z nas pracuje w bieżącym kontakcie tylko ze swoim wąskim zespołem, koncentrując się na zadaniach.

...co podobno sprzyja efektywności.

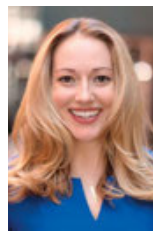
O tyle, o ile. Niby nie tracimy czasu na pogaduszki, wspólne wyjścia na papierosy i lunche, ale konflikty nadal powstają. A to dlatego, że ktoś komuś wszedł w drogę ze swoim projektem, a to ktoś pomylił się w obliczeniach i teraz jest problem z klientem. Gdy nie ma tych umownych

dwóch–trzech minut spotkania na korytarzu, naturalne sposoby opanowania podobnych sytuacji wyparowują. Konflikty utrzymują się i narastają, bo ludzie nie wypracowali sposobów, jak sobie z nimi radzić w warunkach pracy zdalnej. Zamiast tego tworzą małe kliki, wirtualne podgrupy w swoich zespołach.

W amerykańskich firmach tę zmianę widać w korzystaniu z komunikatora Slack, który kiedyś był czysto operacyjnym narzędziem używanym zazwyczaj przez dwie minuty dziennie. Teraz ludzie podłączeni są do niego godzinami, niby wentylując emocje, ale tak naprawdę podtrzymując się w swoich nastrojach. Zaczynamy się zamieniać w licealistów plotkujących po internetowych kątach ze swoją paczką. A co do efektywności: na braku kontaktów z koleżankami i kolegami spoza naszych zespołów cierpi kreatywność i dystans, który sprzyja obniżaniu emocjonalnej temperatury i utrzymuje w nas sympatię do ludzi, nawet jeśli bywają irytujący.

Psychologia pracy przez dekady była dziedziną skupioną na analizowaniu metod zarządzania, motywacji i poprawiania wyników pracowników. Chociaż wszyscy wiemy – z doświadczeń zarówno naszych, jak i naszych rodziców – że relacje z kolegami i szefami mają gigantyczne znaczenie dla satysfakcji z życia zawodowego. Pani jest jedną z pierwszych badaczek ujmujących to z naukowej perspektywy.

Tak, wiele badań skupiało się na twardej zagadnieniach, typu przełączanie między zadaniami albo na pytaniach w stylu „Jak wytrenować ludzi w pracy przez cztery godziny bez przerwy?”. Funkcjonowanie w relacjach społecznych uznawano



Tessa West jest profesorką psychologii New York University. Od 20 lat bada funkcjonowanie ludzi w konfliktach i komunikację przekraczającą bariery międzykulturowe i narodowościowe. Jest autorką ponad 70 artykułów naukowych. W ubiegłym roku

wydała książkę „Jerks at Work. Toxic coworkers and what to do about them (w wolnym tłumaczeniu: Palant biurowy. Jak wytrzymać z toksycznymi współpracownikami). Dorobek nauki przekłada na przystępny język opisujący reguły rządzące relacjami we współczesnych firmach. Przysnaję, że na pomysł napisania książki wpadła, gdy złapała samą siebie na byciu *biurowym dupkiem* (dokładniej zdefiniowała się jako *buldozer*). Podkreśla też, że toksyczny potencjał nosi w sobie każdy pracownik i że warto mu się uważnie przyglądać.

za miękkie bzdury, choć jednocześnie praktycy w działaniach Human Resources zdawali sobie sprawę, że ma to znaczenie, bo pracownicy i menedżerowie przychodzili do nich z problemami z tego właśnie obszaru – z konfliktami, ze złym klimatem w zespołach. Nauka zaczęła na to zwracać uwagę wraz ze wzrostem zainteresowania ogólnym dobrym samopoczuciem i jego znaczeniem, szerzej zaczęto też korzystać z dorobku psychologii społecznej. Wreszcie dostrzeżono związek funkcjonowania w sieciach społecznych z kreatywnością. Ja sama przez lata badałam relacje interpersonalne i to, co się dzieje, także na poziomie psychofizjologicznym, gdy ludzie czują się w nich źle – jak rozprzestrzenia się niepokój, jak wpływa na komunikację i jakość wykonywania zadań.

Który z opisanych przez panią typów toksycznych pracowników jest najbardziej rozpowszechniony we współczesnych firmach?

Szczególnie często można trafić na *lizusa-podkopywacza*. W każdej strukturze hierarchicznej z wąskim kręgiem osób u władzy i szybkim tempem pracy – a więc i w korporacjach, handlu, mediach, ale i w środowisku akademickim. Są szczeble, a więc jest po czym się wspinać, poza tym ludzie w takich miejscach są złaknieni docenienia, więc podatni na pochlebstwa – no i mają podwładnych, na których można się wyżywać albo traktować ich instrumentalnie.

Czy toksyczność ma różne oblicza wśród młodszych i starszych pracowników?

Raczej nie. Widać za to wyraźną różnicę pokoleniową w tolerancji dla niewłaściwych zachowań. Pracownicy z pokolenia tzw. boomerów (55+) zazwyczaj uważają, że są one częścią życia i że „dorośli” muszą dawać sobie z tym radę. Mają też relatywnie największą gotowość, by powiedzieć koleżdy prosto w oczy: „Wiesz, to było świństwo, że ukradłeś mój pomysły”. Osoby 40–50-letnie są bardziej skłonne załatwiać sprawy drogą formalną – np. zgłosić się ze skargą do działu HR. Najmłodszy pracownicy z kolei bardzo rzadko skarżą się komukolwiek w biurze. Oni po prostu wchodzi na Twitter, Slack albo TikTok – i nadają tweet lub filmik – do tysięcy osób, które je obserwują.

Przyznam, że dla mnie samej to dość dziwne zjawisko i w sumie wielkie pokoleniowe wyzwanie. W korporacjach, w których często boomerzy wciąż pozostają na szczycie, pojawiają się pytania: czy możemy zwalniać ludzi za publikowanie filmików, w których na nas narzekają? Zazwyczaj odpowiedź brzmi „nie”,

bo nie ma żadnej polityki dotyczącej tego, co można publikować na TikToku. Wtedy pojawia się pomysł, że może by jednak znaleźć jakiś inny powód do zwolnienia takiego pracownika. I ogólnie napędza się spirala patologii.

Nakreśliła pani pewne uniwersalne strategie obronne chroniące przed różnymi typami trudnych współpracowników. Radzi pani, by osoby zaczynające pracę w nowym miejscu od pierwszych zadań przejmowały inicjatywę, by dbały, żeby ich głos był słyszalny, by szukały w zespole sojuszników, choć niekoniecznie przyjaciół.

Rzeczywiście, z serii badań, które przeprowadziłyśmy z moimi współpracownikami w New York University, wynika, że to, jaką pozycję pracownik zajmie na początku, szczególnie w powstającym od zera zespole, określa jego pozycję na długo. W naszych badaniach wystarczyło, że ktoś na starcie powiedział: „Zaczniemy od przedstawienia się, kto jak ma na imię”, by pozostali członkowie grupy uznawali tę osobę za lidera w kolejnych zadaniach. Zapewnienie sobie niewielkiej władzy na starcie jest znacznie lepszą strategią niż walka o dużą władzę po dłuższym czasie.

Formułuje też pani także inną, bardzo praktyczną radę: jeśli ktoś próbuje ci przetrwać, po prostu mów dalej.

Zgadza się. Zwłaszcza na początku kariery, gdy pozycja pracownika nie jest jeszcze ugruntowana, nie warto też, żeby np. na zebraniu zwlekał z zabranieniem głosu, odzywał się jako ostatni. Gdy natomiast ktoś (np. działowy *buldożer*) próbuje mu przerwać, należy po prostu kontynuować wypowiedź. Z moich badań wynika, że średnio po 10 sekundach przerywający składa broń.

Te 10 sekund może być jednak bardzo trudne.

To jeden z powodów, dla których tak potrzebni są sojusznicy, którzy mogą się włączyć i powiedzieć przerywającemu: „Zaczekaj, daj jej skończyć”.

Sojusznik to nie to samo co przyjaciel?

Nie. Ludzi w pracy często dzielimy na tych, którzy są „nad nami” i na przyjaciół. A bardzo ważna jest jeszcze trzecia kategoria – znajomych, którzy mogą nas nawigować w trudnych sytuacjach, chociaż nie są naszymi przyjaciółmi ani bliskimi osobami. To może być ktoś, kto pracuje w innym dziale, ale w sąsiednim pokoju, albo ma szeroką sieć kontaktów, bo jego departament współpracuje z całą firmą, albo jest bardzo doświadczony. Takie osoby mogą na przykład powiedzieć, czy coś, co nam się przytrafia, zdarzyło się

Spis toksyn

Lizus-podkopywacz – w głowie ma jeden cel: zdobyć szczyt firmowej drabiny każdym dostępnym sposobem. By to zrealizować, traktuje każdego równego lub niższego statusem jak konkurencję do odstrzału. Dobre maniery i pochlebstwa rezerwuje dla przełożonych.

Złodziej zasług – wilk w owczej skórze. Kolega z zespołu lub mentor zainteresowany wyłącznie sobą. Pomoże ci przy projekcie, ale przedstawiając go szefowi, podważy twoje zasługi. Jako szef pomoże ci rozkwitnąć, ale skrycie zazdrości sukcesu. Wydaje się przyjacielem, ale zawiedzie zaufanie, gdy tylko uzna, że twój pomysł jest wart kradzieży. I z pewnością zatrze ślady.

Buldożer – wytrwały pracownik dobrze znający firmowe relacje, który nie waha się napiąć mięśni, by zyskać to, co chce. Przejmuje kontrolę nad grupowym podejmowaniem decyzji i obezwładnia szefów przez strach i onieśmienie. Wie, kto – szczebel wyżej lub dwa – potraktuje go poważnie. Wiele zachodnich korporacji ceni ten rodzaj przywódczego impetu. Ale zespoły, w których znajdzie się buldożer, często drepczą w miejscu i nie są zdolne wypracować żadnej decyzji, dopóki nie jest zgodna ona z jego wizją. Buldożer nie jest zainteresowany kompromisem.

Pasażer na gapę – ekspert w nicnierobieniu i zbieraniu za to pochwał. Chętnie podejmuje się zadań efektywnych i wymagających niewielkiego wysiłku, jak publiczne przedstawienie mozołnie przygotowanej przez kolegów prezentacji. Jest utrapieniem dobrze funkcjonujących spójnych zespołów, złożonych z odpowiedzialnych pracowników. Często miły i powszechnie lubiany, przez co tym trudniej go rozliczać.

Mikromenedżer – nadgorliwy przełożony, nieszanujący cudzego czasu i granic. W niektórych przypadkach dlatego, że kiedyś pracował na twoim stanowisku i za tym tęskni, w innych z powodu fałszywego przekonania, że więcej kontroli nie się lepszy rezultat. Nie da się jednocześnie mikrozarządzać wszystkimi podwładnymi, toteż wśród ofiar tego podejścia panuje rotacja. Jeśli wypadasz spod lupy, szef nie zajmuje się tobą całe dni, a nawet tygodnie. Mikromenedżer i kapryśny szef to zazwyczaj ta sama osoba.

Kapryśny szef – nie cierpi być poza obiegiem, ale z wielu powodów (na przykład pochłonięcia mikrozarządzeniem) często jest. Większość działa w trzyetapowych cyklach: długie okresy zaniedbywania pracowników, wzrost napięcia z powodu utraty łączności, wzmożona kontrola, by uśmierzyć niepokój. Z kapryśnym szefem żyjesz w świecie chronicznej niepewności, co sprawia, że ten rodzaj toksyny jest jednym z najtrudniejszych do zniesienia.

Gaslighter/Manipulator – izoluje swoje ofiary, a następnie buduje alternatywną rzeczywistość, odpowiadającą jego potrzebom. Niektórzy gaslighterzy wmawiają współpracownikom lub podwładnym, że ich pozycja w pracy jest wątpliwa i trwają na stanowisku tylko dzięki ich wsparciu, inni budują w nich poczucie wyjątkowości, przynależności do sekretnego klubu. *Gaslighting* to często środek do innego celu, którym jest na przykład wypaczona metoda walki z zakładowymi oszustwami, z którymi szef nie umie sobie poradzić w pojedynkę, w cywilizowany sposób.

Na podst. „Jerks at work. Toxic coworkers and what to do about them”.

wcześniej wielu innym osobom, czy tylko nam, czy szef lubi jakieś podejście, czy nie. Sojusznik może też pomóc w zetknięciu ze *złodziejem zasług*, poprzeć pomysł i podkreślić, że jest twój, co pozwoli ci uniknąć zenującego upominania się „Hej, ale to ja wymyśliłam”.

Można normalnie poprosić o takie wsparcie, zawierać koalicje i budować sobie kapitał społeczny, który odstrasza różnorodnych toksycznych współpracowników od prób zamachów. To może brzmieć trochę makiawelicznie, ale każda organizacja

jest pełna walki o status. A o szacunek i poważanie innych ludzi trzeba zadbać i wymaga to pewnego wysiłku, nie da się tego nauczyć z dnia na dzień.

Nie wystarczy dobrze pracować?

Czasem wystarczy. Ale dobre relacje społeczne często sprawiają, że ta praca wychodzi jeszcze lepiej. A złe relacje ze współpracownikami i szefami mogą sprawić, że największy talent się zmarnuje. Każdy z nas zapewne zna przynajmniej kilka takich smutnych historii.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

Na Maxa

Najbardziej znieawidzony polski pisarz? Czornyj.
Najbardziej kochany? Też Czornyj.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Spór o stosunek uczuciowy do książek Czornyja narodził się na początku kwietnia w polskim internecie i tam przebiega. Błyskawicznie osiągnął status wiralu, czyli zasięg tak ogromny, że nie da się już uchodzić za poważnego użytkownika sieciowych sociali bez zabrania głosu na temat Czornyja.

Omawia się moralność Czornyja, książkowe dewiacje, kłamstwa historyczne, zazdrość o sławę, naruszone tabu, *torture porno*, kwestie lewak – prawak, wykształciuch – prostak, czyli Polskę. A Czornyj akurat jeździ po kraju i promuje najnowszą książkę. Pomyśleć tylko: przed kwietniem mało kto wiedział, że Max Czornyj istnieje, tworząc.

Maestro

Max (Maksymilian Dymitr) Czornyj (von Czornyj) w ciągu pięciu lat wydał prawie 50 książek, przeważnie kryminałów i dreszczowców. Tworzył też literaturę dziecięcą i piękną – na półkach z takimi napisami umieszczają go księgarnie, chociaż on mówi, że nie zgadza się z podziałem na półki. Według siebie jest międzygatunkowy.

Maestro – zwracają się do Maxa fani w internecie, a on każdemu uprzejmie dziękuje i wrzuca ekstra jakieś miłe słowo od siebie. Max dba o fanów, a oni stoją za nim murem w internetowej burzy, której jest bohaterem.

Max Czornyj ma 33 lata, urodził się i mieszka w Lublinie. Jest prawnikiem, występował jako adwokat, napisał pracę doktorską, ale jej nie obronił, bo – jak opowiada – „działalność literacka wybuchła”. Adwokacka toga wisi na kołku. Wyizolowany ze świata autor pisze po kilkanaście godzin dziennie w gabinecie pełnym antyków. A pisząc, zawsze przeżywa – jak mówi – przygodę, która z poziomu białego ekranu prowadzi w tajemne rejestry opisywanych postaci.



Książka powstaje w trzy tygodnie, czasem dłużej. Gorące dzieło natychmiast rzuca na rynek wydawnictwo Filia. Czornyj wylania się z gabinetu promować, rusza w trasę po kraju, daje wywiady, ogłasza na billboardach, fotografuje w anturazach przeładowanych drewnem i skórą. Zamysłony, pewny swego, godny zaufania, po fryzjerze i barberze, w świetnie uszytym garniturze, znawca win, serów i sztuki. Zdradza, że mieszkając we Włoszech, pojął: jeśli samochód, to tylko kabriolet.

Podobną marketingową personę dobrze osadzonego człowieka sukcesu sprawdził na sobie wcześniej Remigiusz Mróz, także prawnik, król sprzedaży w świecie kryminału i dreszczu. Czornyj i Mróz to koledzy z wydawnictwa Filia, zarobkowe perły w koronie. Czornyj, dwa lata młodszy od Mroza metrykalnie, jest od niego pięć lat młodszy w karierze pisarskiej. Goni mistrza, drażąc nowe rejony ekspresji – stąd kłopot z Czornyjem.

Metoda

Obozy koncentracyjne Auschwitz, Płaszów, Buchenwald. Josef Mengele, Amon Goth i Ilse Koch zwana „Ilse-Abazur” – zbrodniarze wojenni, kaci, dewianci, ludzie-bestie. Dla Czornyja są jak kostiumy, które przymierza w zaciszu gabinetu.

Max, jako nazistowski sadysta, patrzy z góry na więźniów, na to zawsze pieprzone bydło. Kopie ich po twarzach świeżo podkutymi oficerkami bohatera książki, by usłyszeć głuchy dźwięk pękających czaszek. Każę spółkować wynędzniałym ciałom na swoich oczach. Jako Ilse przebiera się w strój wykonany z ludzkiej skóry. Max-Ilse kusi żydowskich więźniów swym nagim ciałem niemieckiej nadkobiety tylko po to, by ich skarcic za patrzyenie. Za włosy powłóczyć ich po brudnej ziemi.

Jako Amon Goth Max zgłębia filozoficznie płonące ludzkie stosy, szaro-fioletowe mięso spelzające z czaszek w ogniu, zgniłe ręce i nogi odpadające od korpusów. Obrzmiałe twarze wisielców, wywalone języki, wyrzut w martwych oczach trupów. Wisielcy falują na wietrze, a autor, akurat będący Gothem, trąca ich lekko i orzeka: poezja.

Powyższe obrazy i słowa naprawdę pojawiają się u Czornyja, ale znacznie częściej i szczegółowiej: kości ludzkie jako budulec prozatorski, krew jako zaprawa, mięso to kolor. Książki są grube i ulepione z ran. Czy to Max jako Goth mówi, że jest bogiem życia i śmierci? Czy to Goth jako Max mówi, że jest bogiem życia i śmierci? Oto jest literacka przygoda – twórca dla fanów zła się z tworzywem. Czornyj nazywa to swoją

„pisarską metodą Stanisławskiego”, jest z niej dumny.

– *Jestem człowiekiem systematycznym – opowiada. – Przystępując do procesu pisania, otaczam się dokumentami, fotografiami i staram się wypracować obraz człowieka, o którym chcę pisać. Pojąć tok myślowy, intencje, motywacje, które sprawiły, że stał się zbrodniarzem. Żeby go zrozumieć, pokazać wielopoziomowość duszy ludzkiej, a to nie znaczy usprawiedliwić.*

Zdarza się Maxowi tkwić w postaci zbrodniarza, pić trunki, które pił tamten; palić jego ulubione cygara; jeść, co jadł. Nie wszystkie marki są dostępne w Polsce – wtedy autor sprowadza z zagranicy, by się wczuć. Ważna jest też dusza: muzyka kata, jego lektury, psalmy, libretta oper. Któregoś dnia pojawia się w Czornym wystarczająco wcielony Mengele, Reichhart, Goth.

Amon Goth został na dłużej. Jako komendant obozu w Płaszowie miał zwyczaj strzelać do bezbronnych więźniów z balkonu swojej willi. Czornyj sfotografował się na potrzeby wywiadu, trzymając w jednej ręce książkę o Gothicie, a karabin w drugiej. Zachęcał do lektury: „będzie mięsne”.

Grzmot

Wtedy nikt tego zdjęcia nie zauważył. To znaczy widzieli fani Maestra i docenili – poszli kupić książkę. Max Czornyj pisze dla mas, nie ma złudzeń w kwestii literackiej wartości kryminałów; najlepiej – jak mówi – czyta się je nad basenem, na urlopie. Ale pytanie: czym jest wartość? Kiedy masz dobre recenzje od jajogłowych i puste kieszenie, czy gdy czytelnicy z własnej woli składają się na twoje milionerstwo? Czornyj jest milionerem dostrzeżonym przez luksusowy rynek sponsorski – podpisał kontrakt z Jaguarem. Projektuje się – jak mówi – linia aut zgodnych z jego gustem.

– *Nie jestem z tych autorów, którzy twierdzą, że pisze się dla samego bycia wieszczem czy wielkiej idei – przyznaje Czornyj. – Pisanie to mój zawód, piękna, ale ciężka praca. I jestem dumny, że mam tytuł czytelników, że mój zawód pozwala mi godnie żyć.*

Po fotografii z karabinem Max konsekwentnie rozwijał promocję serii wydawniczej Na Faktach, w której pisał w imieniu psychopatycznych hitlerowców. Sukces sprzedażowy miał swoje odbicie w internetowych wpisach Czornyja: Goth likwidował konkurencję na listach bestsellerów, szturmem wdzierał się na „topki” księgarń, Mengele operował, a rzesza czytelnicza była wierna Maestrowi. Blurby podkręcały sprzedaż wzmiankami

o niespotykanej krwistości kolejnych dzieł wcieleniowych Maxa. Promocja trąbiła, że siłą książek o bestiach jest staranne dokumentalne zgłębienie tematu przez autora – są to dzieła oparte na faktach, biorą na warsztat mroczną stronę natury realnie żyjących katów, akcją osadzono w prawdziwych miejscach ludobójstwa. Oczywiście nie po to, żeby epatować czytelnika – jak mówi dziś i Czornyj, i wydawnictwo Filia – ale przestrzec przed złem i stanąć po stronie ofiar.

Publika szalała ekstatycznie na stronach Czornyja – fenomen, majstersztyk. Najwięcej było fanek czytelniczek. Niektóre wpisy deklarowały wiernopoddanie wobec Maestra. Pewna nauczycielka podała, że na książkach Maxa omawia z uczniami Holokaust.

Sekta – napisze ktoś wprost, gdy rozpęta się internetowa burza wokół Maxa Czornyja. Zagrzmi z jasnego nieba, po prostu pewnego dnia na początku kwietnia Jakub Ćwiek, pisarz, publicysta, stand-uper, napisze publicznie na swoich internetach: czas pogadać o Czornym, o jego osobie, w której jest coś „skrajnie odrażającego i niepokojącego”. Później Ćwiek uściślił: zbydlęcenie, nieakceptowane społecznie skłonności.

Walka

Od razu poszło na noże. Czornyj, i Ćwiek mają oddanych fanów. Ćwiek ma 40 lat, jako pisarz zaczynał 18 lat temu od fantasy, zbierał nagrody. Potem wziął się za kryminał, obyczaj, reportaż – także udanie. Dzisiaj Czornyj nie chce wymienić nazwiska Ćwieka w rozmowie, a Ćwiek przyznaje, że czytywał Czornyja w jego fазie kryminału, jednak faza bestialskich wcieleń hitlerowskich Maxa oburzyła go i odrzuciła. To nie tylko kwestia smaku – jak mówi – ale zwykłej przyzwoitości. Jednym wpisem wydobyl Czornyja z dostatniej niszy komfortu w lubelskim gabinecie.

– *Uważam, że w środowisku artystycznym zbyt wiele spraw przemilcza się dla świętego spokoju, a właśnie należałoby o nich mówić – mówi Jakub Ćwiek. – Kultura powinna uwrażliwiać, czynić rzeczywistość lepszą, nie odwrotnie. U Maxa Czornyja znalazłem ogromną fascynację złem i szokowanie brutalnością. Tragedia ofiar schodzi na daleki plan. Takie głosy o Czornym pojawiały się już wcześniej, ale za cicho.*

Co do warsztatu, pisarsko – jak mówi Ćwiek – Czornyj tworzący swoją „literacką metodą Stanisławskiego” nie wciela się, lecz prześlizguje po powierzchni postaci. Nie historyzuje, tylko imagинуje na temat

realnych ludzi i miejsc. Tani chwyt pisarski podparty agresywnym marketingiem, sugerującym dokumentalne źródło książki. Najłatwiej oprzeć narrację na makabrze – opowiada Ćwiek – sztuką byłoby wywołać grozę samym nastrojem opisu. A „ćwiekowcy” w internecie obszmierują Czornyja i odbierają mu prawo do podawania się za pisarza. Piszą pod jego adresem: naziolskie fanfiki, *torture porno, nazisplottation, holopolo*, dewiacja na maksa, zakłamywanie i upopowianie krwawej historii, której ofiary wciąż żyją.

„Czornyjowcy” są dosadniejsi. Od: „Ćwiek chciałby sprzedawać więcej książek”, przez „Trzymaj się Maestro”, po „nie dać się tej syjonistycznej zarazie”. Z uwagi na swoją dosadność „czornyjowcy” podejrzewają czasami, że „ćwiekowcy” nimi gardzą, jako nieinteligentami.

Odezwało się wydawnictwo Filia: straszny procesami za groźby karalne i zapewnienia, że Czornyj opowiada się przeciwko złu i stoi po stronie ofiar. Odezwało się Muzeum Auschwitz-Birkenau: odradza wcieleniową książkę Czornyja o Mengellem jako nierzetelne, „skarykaturowane odzwierciedlenie” faktów. Odezwał się Czornyj: wchodzi w polemikę z muzeum, broni się, atakując – po prawniczemu. Swoje książki – jak mówi – dedykuje ofiarom nazizmu. Znów odzywa się muzeum: ponownie stanowczo odradza książkę.

Odezwał się Czornyj do Ćwieka: we wpisie internetowym podziękował za „tak aktywny wolontariat PR na rzecz mojej literatury. Świetna robota!”.

Kurz

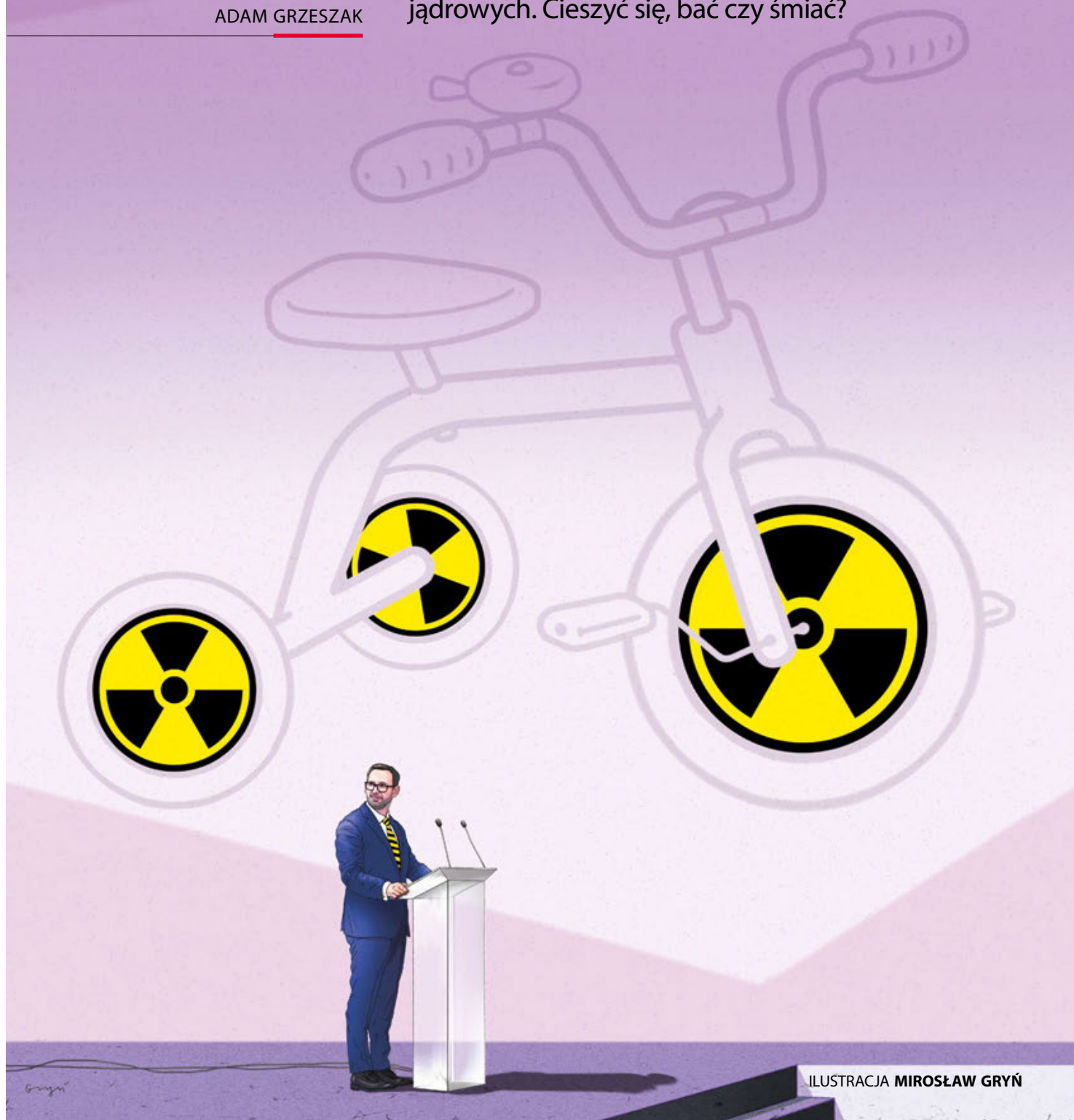
Max Czornyj jest właśnie w tournée po kraju. Promuje najnowsze dzieło o słynącym z bestialstwa hitlerowcu, pisane „stanisławskim”. W Warszawie spotkanie z Maxem odwołała znana kawiarnia literacka Big Book Cafe – napisała w necie, że robi to z przykrością, bo chciałaby być areną dyskusji, ale za dużo było negatywnych sygnałów od czytelników. Warszawa – jak mówi Czornyj. I szybko dodaje, że też wolałby mówić o swojej książce, niż być wybuczany.

Następnego dnia w Bibliotece Miejskiej w Wągrowcu spotkanie z autorem odbywa się bez przeszkód. Przychodzi około 20 osób. Max, elegancki, opowiada o swej metodzie twórczej, o współczuciu dla ofiar. Zbiera recenzje na żywo: wygadany jak adwokat. Panie dyrektorki biblioteki w Wągrowcu noszą w klapach żakietów żółte żonkile, bo to 80. rocznica powstania w getcie warszawskim. Panie dyrektorki fotografują się na pamiątkę z Maxem Czornyjem, pisarzem. ■

Atom na atomie

ADAM GRZESZAK

Polskich polityków i biznesmenów ogarnęła atomowa gorączka. Sypią obietnicami budowy elektrowni: dużych, małych i mikro. W Polsce miałyby powstać prawie sto elektrowni i elektrociepłowni jądrowych. Cieszyć się, bać czy śmiać?



ILUSTRACJA MIROSLAW GRZYŃ

Prezes Orlenu Daniel Obajtek, w obecności premiera Morawieckiego i polityków PiS, uroczystie wyliczał miejsca na mapie Polski, gdzie w ciągu najbliższych lat staną elektrownie jądrowe: Ostrołęka, Włocławek, Stawy Monowskie, Nowa Huta, SSE Tarnobrzeg, Stalowa Wola, Dąbrowa Górnicza, Warszawa. Będą wykorzystywały technologię SMR, czyli małych reaktorów modularnych (small modular reactor) BWRX-300 o mocy 300 MW amerykańskiej firmy GE Hitachi Nuclear Energy. Na razie trwają prace nad wyborem pierwszej lokalizacji. Nie wiadomo jeszcze, gdzie ruszy budowa, ale prezes jest pewien, że przed końcem tej dekady reaktor zostanie oddany do użytku. Równolegle będą prowadzone prace nad kolejnymi elektrowniami. W sumie Obajtek obiecuje stworzenie floty 76 reaktorów w 26 lokalizacjach.

O pieniądze się nie martwi. Właśnie po to Orlen połączył Energe, Lotos i PGNiG, aby dysponować kasą na takie projekty. Budowę elektrowni gotowe są finansować też państwowe banki – BGK, PKO BP, Pekao SA, a także jeden zagraniczny – Santander. Już podpisały w tej sprawie umowę. Umowę podpisały też dwie instytucje rządu USA wspierające amerykański eksport. EXIM Bank i Development Finance Corporation gotowe są udzielić kredytu 4 mld dol. na zakup dwóch pierwszych reaktorów. Jeden ma według wstępnych założeń kosztować 1,5 mld dol., ale z czasem cena ma spaść.

Atomowy przystup

Inwestorem będzie Orlen Synthos Green Energy (OSGE), spółka joint venture państwowego Orlenu i prywatnego Synthosu, czyli oświęcimskiej firmy chemicznej kontrolowanej przez Michała Sołowowa. To właśnie najbogatszy Polak już kilka lat temu zamarzył o małym atomie. Doszedł do wniosku, że państwowa elektroenergetyka w obecnym stanie nie gwarantuje jego zakładom stałych dostaw energii elektrycznej i ciepła po przewidywalnych cenach, więc lepiej zapewnić sobie własne źródło.

Sam pomysł nie był oryginalny, bo coraz więcej zakładów przemysłowych szuka sposobów na tańszą energię, głównie odnawialną, własnej produkcji. Ale Sołowow poszedł o krok dalej, bo postawił na atom, którego w Polsce jak na razie nie ma. Upatrzył sobie reaktor BWRX-300, także jeszcze nieistniejący, ale dający nadzieję, że powstanie i zapewni mu tanią, bezemisyjną energię. Dogadał się z Amerykanami, podpisał umowę na wyłączność i czekał. W tym czasie Daniel „wszystko mogę” Obajtek doszedł do wniosku, że po przejęciu wszystkiego, co można było przejąć, może teraz wprowadzić Orlen do atomowego klubu.

Zamiast szukać własnych ścieżek, postanowił wykorzystać te, które przetał już Sołowow. I się przyłączył. A ponieważ dysponuje dużo większymi pieniędzmi i politycznymi wpływami, więc szybko przejął pierwsze skrzypce.

Obajtek postanowił nie bawić się w detal, postawił na hurt. Nie jeden reaktor, ale blisko 80. Takie działanie z przystupem lubią politycy PiS. Milion samochodów elektrycznych? Proszę bardzo. Megalotnisko w szczerym polu, fabryka supersamochodów elektrycznych (made in China). To nic, że to głównie fantazje. Jedni się śmieją, ale inni podziwiają rozmach. To się liczy, zwłaszcza teraz przed wyborami. Obajtek o tym wie, więc działa jak polityk. Żeby nie mówić o cenach paliw czy gazu, woli rozmawiać o atomie i wiatrakach na morzu, które także Orlen postawi. Tak jak reaktory SMR.

– *Idea reaktorów SMR polega na tym, że są to jednostki dużo mniejsze niż klasyczne elektrownie jądrowe, o mniejszej mocy i zwartej, kompaktowej konstrukcji. Producent może je wytwarzać*

w całości we własnych zakładach i gotowe dostarczać na miejsce, gdzie będą montowane w podziemnych silosach. Można je łączyć jak klocki lego, zwiększając moc. Nie zajmują ogromnych powierzchni, jak klasyczna elektrownia, nie wymagają dużej ilości wody do chłodzenia, mogą dostarczać energię elektryczną i ciepło – wyjaśnia Grzegorz Onichimowski, twórca i pierwszy prezes Towarowej Giełdy Energii, dziś ekspert Instytutu Obywatelskiego.

Atom dobry na wszystko

Na program budowy małych reaktorów już się cieszy spółka Rafako, która w czasach PRL budowała instalacje dla reaktorów atomowych powstających w krajach RWPG. – *Wystąpiliśmy o powrotną certyfikację uprawniającą do produkcji na potrzeby energetyki jądrowej* – wyjaśnia Jacek Balcer, rzecznik Rafako. Spółka z Raciborza liczy, że jej inwestorem zostanie Michał Sołowow, a wtedy wejdzie w skład Grupy Synthos, co otworzy jej drzwi do uczestnictwa w programie atomowym. – *Jesteśmy przygotowani do wykonania dużej części prac przy budowie SMR, oczywiście poza samym reaktorem* – zapewnia Balcer.

Maciej Bando, były prezes Urzędu Regulacji Energetyki, też jest zwolennikiem energetyki jądrowej. Uważa, że w polskim miksie energetycznym jest dla niej miejsce. – *Kłopot w tym, że reaktor BWRX-300, który wybrała spółka Orlenu i Synthosu, to nie jest typowy SMR, który przyjedzie do nas z amerykańskiej fabryki w paczce, by szybko zostać wpuszczony do podziemnego silosu. To zmniejszona wersja normalnego reaktora, więc musi być tradycyjnie budowany na miejscu, co rodzi liczne ryzyka* – wyjaśnia Bando. Zastrzega, że trudno na razie przewidzieć, jak będzie wyglądała budowa i eksploatacja takiej elektrowni ani jaki będzie koszt energii. – *Żaden SMR jeszcze nigdzie nie powstał, więc wszelkie zachwyty wydają mi się przedwczesne. To jak mówienie o cudownym leku, który jeszcze jest w fazie prac w laboratorium.*

Pierwszy SMR ma zostać zbudowany w Darlington koło Toronto w Kanadzie, na miejscu wyłączanej tradycyjnej elektrowni jądrowej. Firma GE Hitachi zaczęła niedawno proces certyfikacji, a kanadyjski nadzór atomowy informuje, że procedura jest na bardzo wczesnym etapie. Oficjalnie mówi się dziś, że reaktor w Darlington ruszy w 2028 r., a polski, jako drugi, wkrótce po nim. Obajtek obiecuje, że stanie się to jeszcze przed 2030 r. – *Trudno mi to sobie wyobrazić. Być może same procedury formalne uda się przeprowadzić do końca dekady, ale budowa w optymistycznym uwariancie potrwa do 2033 r. Pamiętajmy też, że BWRX-300 musi jeszcze przejść europejską certyfikację, która jest ostrzejsza od amerykańskiej czy kanadyjskiej* – wyjaśnia Onichimowski. Podobnego zdania jest Dominik Brodacki, analityk Polityka Insight, który także wątpi w realność deklaracji Obajtka. Zwłaszcza że projekt obarczony jest sporym ryzykiem politycznym, bo nie wiadomo, co będzie po wyborach.

Atomowe nadzieje

Kompaktowe reaktory SMR i mniejsze MMR stały się dziś nadzieją przemysłu jądrowego na całym świecie. Po latach posuchy, kiedy więcej mówiono o zamykaniu elektrowni jądrowych niż budowaniu nowych, wojna w Ukrainie i kryzys energetyczny przywróciły wiarę w atom. Nie niszczy klimatu, a może współpracować z odnawialnymi źródłami energii. Dlatego w wielu krajach, głównie tych, które mają już energetykę jądrową, padają deklaracje o nowych inwestycjach. Sześć nowych elektrowni jądrowych zapowiedział we Francji prezydent Macron, o dwóch blokach myślał Holendrzy. Podobne deklaracje padają w Czechach i na Słowacji. W USA uruchomiono pierwszy od siedmiu lat nowy reaktor. Oczywiście wszystkich przebijają Chiny, gdzie planowana jest budowa 150 nowych reaktorów w ciągu najbliższych ▶

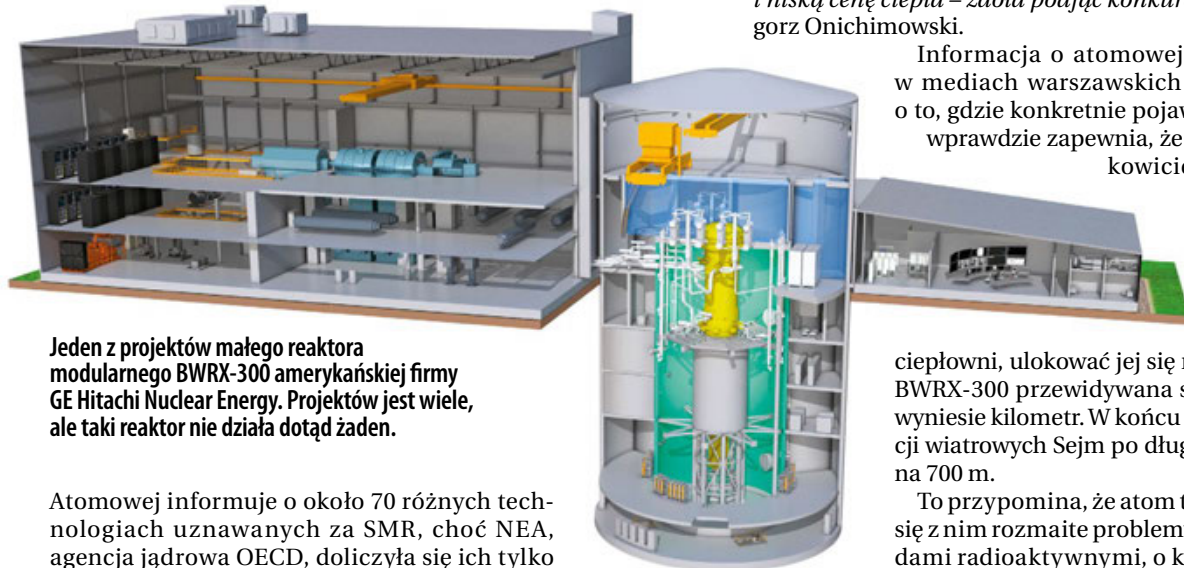
► 15 lat. Do listy atomoentuzjastów dopisywana jest oczywiście Polska, gdzie trwają przygotowania do budowy dwóch wielkich elektrowni w Lubiatowie-Kopalinie (3,7 GW) i Pątnowie (1,4 GW), a mówi się o trzeciej.

Jeśli jednak coś zniechęca do budowy wielkich reaktorów, to ich ogromny koszt i problemy techniczne. Certyfikacja i uzgodnienia środowiskowe pochłaniają wiele lat i masę pieniędzy (raport oddziaływania na środowisko dla elektrowni Lubiatowo-Kopalino liczy 19 tys. stron). A wymagania dotyczące jakości i bezpieczeństwa najnowszych reaktorów generacji III+ są tak wyśrubowane, że ich spełnienie staje się wyzwaniem nawet dla doświadczonych wykonawców. Przykładem Finlandia i jej reaktor Olkiluoto 3 o mocy 1,6 GW, który właśnie uruchomiono, choć pierwotnie zakładano, że stanie się to 14 lat wcześniej. Miał kosztować 3 mld euro, a kosztował 8 mld euro.

Podobnie wygląda sprawa z nowym reaktorem we francuskiej elektrowni Falmanville. Budowę zaczęto w 2007 r. i do dziś jej nie ukończono, choć budżet już przekroczone czterokrotnie. Ostatnio pojawiły się wątpliwości dotyczące jakości spawów, więc koncern EDF znów musiał termin uruchomienia przesunąć o pół roku i dopisać kolejne 500 mln euro do kosztorysu.

Atom przykładowy

Nic więc dziwnego, że wśród inwestorów rośnie zainteresowanie reaktorami SMR, prostszymi w budowie i eksploatacji, a także, jak się wydaje, bardziej przewidywalnymi, jeśli chodzi o proces inwestycyjny. Międzynarodowa Agencja Energii



Jeden z projektów małego reaktora modularnego BWRX-300 amerykańskiej firmy GE Hitachi Nuclear Energy. Projektów jest wiele, ale taki reaktor nie działa dotąd żaden.

Atomowej informuje o około 70 różnych technologiach uznawanych za SMR, choć NEA, agencja jądrowa OECD, doliczyła się ich tylko 20. Innowacyjne, małe reaktory tworzą nie tylko firmy doświadczone w branży wielkiego atomu, jak EDF, Westinghouse czy Rolls-Royce, ale także nowe, jak amerykańskie NuScale Power czy TerraPower. W te ostatnie inwestuje Bill Gates, przekonany, że SMR to rozwiązanie energetyczne dla najbardziej zagrożonych krajów. W nową technologię wierzy też Komisja Europejska, gotowa wspierać finansowo jej rozwój. NEA prognozuje, że SMR będą wypełniać lukę po dożywających swoich dni dużych reaktorach.

Tęsknota za małym atomem ogarnęła w Polsce nie tylko Obajka i Sołowowa. SMR chcą stawiać też inne polskie firmy, państwowe i prywatne. W reaktor firmy NuScale zamierza zainwestować KGHM, który złożył już do prezesa Państwowej Agencji Atomistyki wniosek o ocenę technologii tej firmy. Na SMR NuScale chce się też zdecydować firma Unimot, a Grupa Ciech, kontrolowana

przez Sebastiana Kulczyka, przymierza się do BWRX-300. Spółka Respect Energy, handlująca energią odnawialną, podpisała z koncernem EDF kontrakt na rozwój w Polsce francuskich reaktorów SMR NUWARD.

Mały atom stał się więc głównie nadzieją polskiego przemysłu energochłonnego, dla którego prąd z państwowej sieci, nieprzewidywalny cenowo i obciążony potężnym śladem węglowym, rodzi zbyt duże ryzyko biznesowe. Dlatego lokalizacja pierwszych małych reaktorów spółki OSGE wskazuje głównych odbiorców prądu: Stawy Monowskie to wieś koło Oświęcimia, w pobliżu zakładów Synthosu, Włocławek to z kolei orlenowski Anwil, Nowa Huta to zakłady ArcelorMittal, a Dąbrowa Górnicza to Huta Katowice. – *Własny reaktor SMR jako przemysłowe źródło energii to sensowny pomysł. Jeśli prywatna firma wszystko policzyła i ma pieniądze, to gorąco popieram. Ale w program kilkudziesięciu orlenowskich reaktorów zwyczajnie nie wierzę. To czysta polityka, a nie ekonomia* – przekonuje Maciej Bando.

Sprzątanie po atomie

Jest jeszcze jedna szczególna lokalizacja – Warszawa. Tu Orlen myśli o stworzeniu elektrociepłowni atomowej, która odciąży należące do niego jednostki PGNiG Termika. – *Nie jest dla mnie jasny sens budowy elektrociepłowni jądrowej. Jeśli powstanie, będzie konkurować z rozwiązaniami ciepłownictwa piątej generacji, przechodzącego na sieci niskotemperaturowe, zasilające pompy ciepła w budynkach. Takie są dziś megatrendy, ale być może SMR – o ile będzie miał ograniczoną strefę bezpieczeństwa i niską cenę ciepła – zdola podjąć konkurencję* – wyjaśnia Grzegorz Onichimowski.

Informacja o atomowej ciepłowni wywołała w mediach warszawskich niepokój. Zwłaszcza o to, gdzie konkretnie pojawi się reaktor. Obajtek wprowadzie zapewnia, że SMR to instalacja całkowicie bezpieczna, ukryta

pod ziemią, zajmująca obszar wielkości boiska piłkarskiego. Jednak w samym mieście, na terenie

którejs z elektrociepłowni, ulokować jej się nie da, bo dla reaktora BWRX-300 przewidywana strefa bezpieczeństwa wyniesie kilometr. W końcu dla banalnych instalacji wiatrowych Sejm po długich bojach zgodził się na 700 m.

To przypomina, że atom to jednak atom i wiąże się z nim rozmaite problemy. Na przykład z odpadami radioaktywnymi, o których w ogóle się nie mówi. Według naukowców Stanford University reaktory SMR będą wytwarzać do dziewięciu razy więcej odpadów radioaktywnych w przeliczeniu na jednostkę energii niż wielkie reaktory. Jest to związane ze stosowaniem nietypowych rozwiązań technicznych.

Dominik Brodacki z Polityki Insight radzi nie przywiązywać się nadmiernie do padających zapowiedzi atomowych. Jeśli uda się zrealizować choćby część tych planów, to i tak będzie dobrze. Nikt nie mówi też o kosztach inwestycji, o sposobie jej sfinansowania ani o cenach energii produkowanej przez elektrownie jądrowe. Nie wiadomo, jak te plany mają się do Polskiej Polityki Energetycznej do 2040 r., bo rząd wciąż nie może przyjąć nowej wersji tego dokumentu. Podobno chodzi o to, by nie denerwować górników. A to w polskiej polityce prawdziwa broń atomowa.

ADAM GRZESZAK

Dobre, bo tanie

Pięć krajów, na czele z Polską, dogadało się z Komisją Europejską w sprawie czasowego zakazu importu zbóż z Ukrainy. To pozorne zwycięstwo. Ukraina jest i będzie wielkim producentem żywności. Dla Polski to może być albo kłopot, albo okazja.

JOANNA SOLSKA

Politycy PiS chwala się, że polski rząd, wprowadzając szlaban na wjazd artykułów spożywczych, „wywrócił stolik” (unijny). Wraz z krajami, które się do nas przyłączyły, uzyskaliśmy bowiem zgodę KE, aby ukraińska pszenica, kukurydza, rzepak i ziarna słonecznika mogły przejeżdżać przez Polskę, Słowację, Węgry, Bułgarię i Rumunię tylko tranzytem. Ale Unia ograniczyła też zasięg wprowadzanego historycznie embarga.

Ogłoszony 15 kwietnia zakaz sprowadzania ukraińskiej żywności do Polski dotyczył m.in. zbóż, cukru, warzyw, owoców, wieprzowiny, drobiu, jaj, produktów mleczarskich. Został wprowadzony bez analiz, w kogo uderzy i jakie naprawdę skutki spowoduje. Powodem były protesty rolników, wściekłych, że nie mogą sprzedać swojego zboża, ponieważ ich dotychczasowi polscy odbiorcy obkupili się tańszym zbożem ukraińskim.

Polska wprowadziła totalny zakaz importu żywności z Ukrainy akurat wtedy, gdy cztery kontenery z beczkami ukraińskiego miodu firmy Marka Szewczyka dotarły do polskiej granicy w Hrebennem. – *Miód był przeznaczony dla klienta z USA, fracht wykupiłem z portu w Gdańsku, bałem się, że statek odpłynie. Trzy kontenery musiały na granicy czekać do czwartku, dopiero wtedy mogły przejechać przez Polskę tranzytem do portu, konwojowane na sygnale przez funkcjonariuszy Krajowej Administracji Skarbowej*

– opowiadał Szewczyk 25 kwietnia. Przedsiębiorca nie rozumiał zakazu, ponieważ o zalaniu polskiego rynku miodem nie było mowy. Nasze firmy przepakowywały miód i sprzedawały go nie tylko u nas, ale także w Niemczech oraz innych krajach UE. Dziś Szewczyk cieszy się, że nie zostaniemy wypchnięci z rynku i nie zastąpią nas importerzy z innych krajów, gdyż od 2 maja szlaban na miód już nie obowiązuje.

W polskich mleczarniach zakaz importu wywołał przerażenie, w ukraińskich złość. Arsenowi Didurowi, dyrektorowi Ukraińskiego Związku Przedsiębiorstw Mleczarskich, puściły nerwy. Zażądał zakazu sprowadzania

z Polski mleka. Didura wkurzyło, że Polacy nie umieją liczyć, przecież prawie połowa ukraińskiego importu produktów mleczarskich pochodzi z Polski. Tylko od stycznia do marca 2023 r. zostawili u nas 18,5 mln dol. W poprzednim roku polski eksport przetworów mlecznych do Ukrainy był wart ponad 50 mln dol., a import z Ukrainy do nas zaledwie 4,8 mln dol. To my na handlu z nimi zarabiamy więcej, polskie mleczarstwo jest bardziej konkurencyjne. Ukraina jest naszym najlepszym klientem spoza Unii, a nawet w UE więcej od niej naszych produktów mleczarskich kupują tylko Niemcy i Czesi. Ukraińcy sprowadzają żółte sery dojrzewające z Mlepolu, Mlekovity i innych mleczarni. Ostatnio wysyłamy tam i masło, też z logo polskiego producenta.

Prezes Polskiej Izby Mleka Agnieszka Maliszewska potwierdza: – *Na zakazie importu więcej stracimy, niż zyskamy. Także dlatego, że do Ukrainy wysyłamy żywność pod polskimi markami, a taki handel jest najbardziej opłacalny.*

Przed wydaniem zakazu nikt ich jednak o zdanie nie zapytał, a potem prośbę Izby o zdjęcie z listy ignorowano. Ale dzięki zastąpieniu polskiego zakazu przez unijne embargo na cztery produkty Ukraina nadal kupuje polskie sery.

Strach polskich rolników przed ukraińską żywnością zaczął się od zboża. Protestowali, że nie mogą go sprzedawać, ponieważ masowy napływ ukraińskiej pszenicy i kukurydzy spowodował gwałtowny spadek ▶



► cen na polskim rynku. To nie do końca tak. Grzegorz Kozieja, analityk rynku żywności Banku BNP Paribas, zapewnia, że ceny na światowym rynku rozhuścił Putin. Rosja wraz z Ukrainą są największymi eksporterami zboża na świecie. Udział obu krajów w światowym handlu zbożem wynosił przed wojną 25 proc., a teraz jest jeszcze większy. Putin najpierw postraszył świat głodem, w wyniku czego po 24 lutego ub.r. ceny światowe gwałtownie poszły w górę. Potem rzekomo pokazał ludzkie oblicze, godząc się na uruchomienie „solidarnościowego korytarza”, czyli transportu ukraińskiego zboża z portów Morza Czarnego.

– *Świat na początku się nie zorientował, że spokój na Morzu Czarnym jeszcze bardziej niż Ukrainie potrzebny jest Rosji* – zauważa Kozieja. W Rosji zbiory zbóż, także dzięki bardzo tanim nawozom, okazały się w ubiegłym sezonie aż o 25 proc. wyższe. Z portów czarnomorskich rosyjskie zboże przewieziono m.in. do krajów Afryki Północnej. Jednocześnie jednak Ukraińcy nigdy nie wiedzieli, kiedy i jakiego rodzaju ich zboże Rosjanie z Odessy wypuszczą. W przetargach, które ogłaszały państwa afrykańskie, nie byli więc w stanie zobowiązać się ani co do konkretnych terminów, ani rodzaju dostaw. Ich pozycja na tych rynkach wyraźnie osłabła, wypchnęli ich Rosjanie. Stąd zwiększony napływ taniego ukraińskiego zboża do Polski, ale też Hiszpanii i Turcji. Dla polskich producentów to kłopot, dla polskiego rynku żywności – niekoniecznie.

Weźmy przykład kukurydzy. W ubiegłym roku z Ukrainy sprowadziliśmy aż 1,8 mln ton kukurydzy, rok wcześniej tylko 6 tys. ton. W styczniu i lutym 2023 r. kukurydza przyjeżdżała nadal: 334 tys. ton. Zakaz jej importu ucieszył polskich rolników, którzy nie mogą sprzedać swojego ziarna, bo jest od ukraińskiego droższe. Ale uderzył we właścicieli rodzimych ferm drobiu. 70 proc. kosztów wyprodukowania brojlera stanowi bowiem cena paszy. Podstawowym składnikiem paszy dla drobiu jest kukurydza. Polskie kurczaki, karmione paszą z polskiej kukurydzy, są droższe od ukraińskich.

Przed wojną polski drób był tani, więc staliśmy się największym eksporterem w UE. Przed zalewem unijnego rynku przez jeszcze tańsze brojlery ukraińskie chroniły kontyngenty, zniesione po 24 lutego ub.r.

W ramach kontyngentu do krajów UE mogło wjechać tylko 90 tys. ton ukraińskiego mięsa z drobiu. – *W ubiegłym*



roku przywóz mięsa drobiowego na rynek unijny, według danych KE, zwiększył się aż o 80 proc., wjechało prawie 164 tys. ton. Najbardziej zwiększył się popyt na mięso mrożone: aż o 143 proc. – wylicza Grzegorz Kozieja. To była nasza specjalność, ale wiadać, że tracimy rynek.

W ciągu pierwszych ośmiu tygodni 2023 r. import mięsa drobiowego z Ukrainy do UE niemal się podwoił. Co zmienił zakaz importu ukraińskiej kukurydzy do Polski? To, że droższy polski drób zacznie tracić odbiorców nie tylko w kraju, ale też na całym rynku Wspólnoty, dokąd trafiało aż 50 proc. polskich brojlerów. To jedna z najważniejszych pozycji polskiego eksportu żywności, wartego obecnie już 48 mld euro.

Największym producentem brojlerów jest w Ukrainie agroholding MHP, kontrolowany przez oligarchę Jurija Kostiuka, który działa na 400 tys. ha. Od lat psuje interesy polskim hodowcom. – *Obchodził nawet limity kontyngentów* – wspomina Dariusz Goszczyński, szef Krajowej Rady Drobiarskiej. Do swojego zakładu w Holandii MHP wysyłał kurze piersi z kostką, których kontyngent nie obejmował. W Holandii kostkę wyjmowali i tanie piersi trafiały do obrotu. Teraz, gdy Unia przestała swój rynek chronić, fortelu z kostką już nie muszą stosować, a zakład w Holandii pracuje na dwie zmiany.

Ale to nie jest tak, że unijni, w tym polscy, rolnicy są bezbronni wobec bezcłowego importu żywności z Ukrainy. Od czego są standardy sanitarne?

Weźmy przykład jajek. Według GUS w styczniu i lutym 2022 r. polscy hodowcy wysłali za granicę 32 tys. ton jaj

za 43,3 mln euro, a w tym samym okresie 2023 r. za 35 tys. ton otrzymali już 87,5 mln euro. Jajka drożeją wszędzie, nasze fermy zarabiają. Na razie. Z danych Komisji Europejskiej wynika, że polscy producenci mają powody do niepokoju. W ub.r. przywóz świeżych jaj ukraińskich na rynek Wspólnoty zwiększył się aż o 446 proc. W ciągu pierwszych ośmiu tygodni 2023 r. import jaj z Ukrainy do UE wzrósł aż o 1370 proc. w porównaniu z tym samym okresem roku poprzedniego.

Tony jaj ze wschodu płyną także do nas. Właściciele kurników są pewni, że wytwórcy makaronów czy majonezu wolą kupować tańsze ukraińskie „jaja techniczne”, przeznaczone do przerobu. W przeciwieństwie do jaj świeżych nie muszą być oznakowane. Takie „techniczne jajka” możemy kupować na polskich bazarach jako rodzime jajka ekologiczne, nie ma na nich stempla, skąd pochodzą.

– *Dynamiczny eksport polskich jajek skończy się w połowie tego roku* – ostrzeża Paweł Podstawka, hodowca z województwa opolskiego. Sprzedawaliśmy tak dużo za granicę, ponieważ na Zachodzie stada zdziesiątkowała ptasia grypa. Tamtejsi hodowcy szybko je odbudowują, w czerwcu będą już mieli swoje jajka. Nasz eksport się skończy, import z Ukrainy będzie rósł. Ale unijne prawo nam sprzyja.

W kurnikach Pawła Podstawki na jednym metrze kwadratowym klatki nie ma prawa być więcej niż pięć niosek. Jeśli sprzedaje jajka z wolnego wybiegu, to oznacza, że każda kura miała do dyspozycji 4 m kw. Właściciele kurników ukraińskich europejskie standardy nie obowiązują, warunki hodowli nie są przez unijnych importerów kontrolowane. Wiadomo, że zwierzętom, nie tylko kurom, profilaktycznie podaje się antybiotyki, u nas jest to niedozwolone. Hodowcy tacy jak Paweł Podstawka żądają, aby ukraińska żywność musiała spełniać te same standardy dobrostanu zwierząt oraz bezpieczeństwa konsumentów.

Na straży bezpieczeństwa unijnych konsumentów stoi system RASFF (Rapid Alert System Food and Feed). Każdy rodzaj żywności, która przekracza granice Wspólnoty, podlega wyrzutowym badaniom. Są identyczne jak te, którym podlegają nasi producenci żywności. Kiedy Słowacja wykryła niedozwolone substancje w ukraińskim zbożu, natychmiast poinformowała o tym RASFF. Żywność zagrożająca zdrowiu konsumentów nie ma prawa wjechać do Unii. Eksperci uważają, że na polskiej granicy takich badań w ogóle się nie robiło.

– Polska aż do końca kwietnia tego roku nie wysłała do RASFF ani jednego ostrzegawczego sygnału. Dopiero teraz poinformowała o wykryciu w jednej próbce zboża zakazanych w UE pestycydów. Nie wiemy, ile próbek zbadano ani czy w ogóle coś badano, ponieważ nasze służby fitosanitarne i celne nie sporządzają takich raportów – twierdzi Jerzy Plewa, wieloletni szef dyrekcji generalnej ds. rolnictwa (DG AGRI) w Komisji Europejskiej, wybitny znawca Wspólnej Polityki Rolnej.

Nie wiemy więc, czy w ukraińskim zbożu były toksyny, czy nie znaleziono pozostałości niedozwolonych w UE pestycydów, czy w mięsie lub jajkach nie wykryto antybiotyków. O jakości ukraińskiej żywności, która wjechała do Unii przez nasze granice, nie wiemy nic. Pretekstem do niebadania było „zboże techniczne”, które w taryfie celnej nie istnieje. Brak egzekwowania przez Polskę europejskich standardów podważa zaufanie unijnych konsumentów także do polskiej żywności.

Niezbędne są badania ukraińskiej żywności, która wjeżdża do Polski.

Poprawi to poczucie bezpieczeństwa europejskich konsumentów, zmusi też ukraińskie firmy do przestrzegania naszych

standardów. Jerzy Plewa nie wątpi, że to zrobią, ponieważ bardzo zależy im na unijnym rynku. Wspólnotowi konsumenci również są coraz bardziej otwarci na ukraińską żywność, zwłaszcza że może być tania. Jeśli nasza żywność będzie droższa, ukraińska stopniowo wyprze nas z rynku. Naszego i europejskiego. Obecnie na wspólnotowy rynek trafia aż 80 proc. polskiego eksportu żywności. A bez eksportu polskie rolnictwo nie przetrwa.

Jerzy Plewa, obecnie ekspert Team Europe, przyznaje, że rolnictwo ukraińskie jest jednym z najbardziej konkurencyjnych na świecie. Nie tylko dzięki żyznym ziemiom i przyjaznemu klimatowi, ale także dlatego, że jest nowoczesne. Gospodarstwa są duże, wielkotowarowe – to jeszcze spadek poradziecki – nasze nie mogą mieć więcej niż 300 ha. – *Ukraińcy coraz powszechniej wprowadzają tzw. mapowanie satelitarne, czyli dokładnie wiedzą, ile i jakich składników wymagają uprawy. Precyzyjnie dawkuje nawozy i środki ochrony roślin, dzięki czemu ich pozostałości nie zanieczyszczają wód* – wylicza Plewa.

My trwamy w przekonaniu, że mniejsze oznacza ekologiczne. Na polskich producentach żywności mści się polityka

wspierania za ujemne pieniądze wiejskich wyborców zamiast rozwijania nowoczesnego rolnictwa i przetwórstwa. O rolników wielkotowarowych, którzy produkują żywność, rząd nie dba, to zaledwie 10 proc. mieszkańców wsi. Największe wsparcie uzyskują gospodarstwa małe, do 30 ha, bo takich jest w Polsce najwięcej, ich głosy mogą przesądzić o wyniku wyborów. O tym, że zderzenie małych polskich gospodarstw z wielkotowarowymi gospodarstwami ukraińskimi będzie dla nas bolesne, politycy dotąd nie myśleli. Embargo na cztery zboża ukraińskie może naszą sytuację dodatkowo pogorszyć.

Ukraińcy nie potrafią na razie produkować żywności z ujemnym paszportem. Czyli takiej, o której wiadomo, jak, z czego i gdzie powstała, bezpiecznej dla konsumenta. Zanim ten proces opanują, mamy jeszcze – mówią eksperci – dwa lata. Musimy – jak Włosi – zainteresować świat jakością i promocją polskich marek żywności. Hasło „dobre, bo polskie” świata nie przekona, a ceną konkurować już się nie da. Przydałaby się jakaś polityka rolna, inna niż proste wypłacanie pieniędzy mieszkańcom wsi oraz oburzonym producentom zbóż.

JOANNA SOLSKA

REKLAMA

NIERUCHOMOŚCI Z POTENCJAŁEM

Likwidatorzy **FOBOS INVEST sp. z o.o.** w likwidacji z siedzibą w Sztumie, ul. Żeromskiego 6, 82-400 Sztum

ogłaszają:

ustny przetarg nieograniczony na sprzedaż następujących nieruchomości:

A – Kompleks nieruchomości zabudowanych budynkami produkcyjno-magazynowymi umożliwiającymi wysokie składowanie, z zapleczem biurowo-socjalnym; ogrodzony, o łącznej powierzchni użytkowej **3.521,10 m²** usytuowany na działkach gruntu o łącznej powierzchni **10.206 m²** w miejscowości Sztum, ul. Żeromskiego 6;

cena wywoławcza wynosi **6.579.000 zł** (sześć milionów pięćset siedemdziesiąt dziewięć tysięcy złotych), kwota wadium wynosi **300.000 zł** (trzysta tysięcy złotych), postąpienie będzie wynosiło **100.000 zł** (sto tysięcy złotych); sprzedaż jest zwolniona z podatku VAT na podstawie art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy o podatku od towarów i usług w zakresie kwoty 6.484.000,- zł, natomiast w zakresie kwoty 95.000,- zł podlega opodatkowaniu stawką podstawową;

Informujemy, że sprzedający dopuszcza możliwość poddania opodatkowaniu podatkiem od towarów i usług sprzedaży całego kompleksu nieruchomości na podstawie art. 43 ust. 10 ustawy o podatku od towarów i usług.

B – Nieruchomość gruntowa niezabudowana o powierzchni gruntu **18.549 m²** usytuowana przy ul. Żeromskiego w Sztumie;

cena wywoławcza wynosi **1.417.000 zł** (jeden milion czterysta siedemnaście tysięcy złotych), kwota wadium wynosi **100.000 zł** (sto tysięcy złotych), postąpienie będzie wynosiło **50.000 zł** (pięćdziesiąt tysięcy złotych); sprzedaż podlega w całości opodatkowaniu stawką podstawową.

Część ustna przetargu odbędzie się w dniu **31 maja 2023 r.** w kancelarii notarialnej Piotra Lisa działającej pod adresem: 80-221 Gdańsk, ul. Romualda Traugutta 111

- 1) o godzinie 13:00 dla kompleksu nieruchomości zabudowanych,
- 2) o godzinie 14:00 dla nieruchomości gruntowej niezabudowanej.

Warunkiem udziału w przetargu jest wpłata wadium do dnia **29 maja 2023** roku oraz złożenie oświadczenia o zapoznaniu się i akceptacji regulaminu. Treść oświadczenia znajduje się w regulaminie, który wraz z dodatkowymi informacjami o przedmiocie przetargu znajduje się na stronie Fobos Invest sp. z o.o. w likwidacji pod linkiem: <https://fobosinvestwlikwidacji.com.pl/blog/przetargi>



Kontakt w sprawie przetargu:

jbogacz@fobosinvestwlikwidacji.com.pl, tel.: +48 504 165 934
wbuchalski@fobosinvestwlikwidacji.com.pl, tel.: +48 603 053 532

Zmiana bez zmiany?

Nawet jeśli Erdoğan straci władzę w niedzielnych wyborach w Turcji, autorytarne państwo, które stworzył, może przetrwać, bo okaże się wygodne dla jego ewentualnego następcy.



Kemal
Kılıçdaroğlu

ŁUKASZ WÓJCIK

Pierwszy był Recep Tayyip Erdoğan. Pierwszy obwołał się jedynym reprezentantem prawdziwego ludu. Pierwszy wskazał wrogów ludu i wyłączył ich ze wspólnoty narodowej. Pierwszy wykorzystał w praktyce zasadę podobieństwa, przekonując, że on i lud to w zasadzie jedno, że we wszystkim się zgadzają. Przy czym nie czytał zapewne żadnego Ernesto Laclau czy Jana-Wernera Müllera. Miał politycznego nosa i jako pierwszy z fali nowych populistów zdobył władzę. Teraz jako pierwszy może ją stracić.

Według ostatnich sondaży przed tureckimi wyborami prezydenckimi kandydat opozycji, 74-letni Kemal Kılıçdaroğlu (czyt. Kılıczdarolu), prowadził dwoma-trzema punktami procentowymi z Erdoğanem, co jest wynikiem w granicach błędu pomiarowego. Przy czym w obu przypadkach mowa o rezultatach nieznacznie przekraczających 40 proc. A to oznacza, że rozstrzygnięcie w pierwszej turze, już w najbliższą niedzielę, jest mało prawdopodobne, choć nie niemożliwe – do zwycięstwa potrzeba ponad 50 proc. głosów. Gdyby doszło do drugiej tury, 28 maja, w której wystartują dwaj kandydaci z najlepszymi wynikami, szanse Kılıçdaroğlu jeszcze wzrosną.

1 Na początku roku niewiele na to wskazywało, ale dziś – pierwszy raz od przejścia władzy ponad 20 lat temu – Erdoğan ma realną szansę przegrać. – *Prezydent Turcji nie poniósł wyborczej porażki od niepamiętnych czasów, a sondażowo politycy opozycji zbliżali się do niego tylko incydentalnie. Ale też nigdy jeszcze nie startował w wyborach w sytuacji kryzysu gospodarczego i szalejącej inflacji, która dopiero niedawno oficjalnie spadła poniżej 50 proc.* – zwraca uwagę Halil Berktaş, profesor historii na stambulskim Uniwersytecie Sabancı. – *Kılıçdaroğlu z kolei, od przejścia władzy w Republikańskiej Partii Ludowej w 2011 r., nie zdołał wyraźnie poprawić jej notowań. I choć w końcu udało mu się zjednoczyć antyerdoğanowską opozycję, przez lata ciągnęła się za nim opinia pocziwego nieudacznika.*

Przełomem w tej kampanii, według Berktaşy, było trzęsienie ziemi, które 6 lutego uderzyło w pogranicze syryjsko-tureckie. Ujawniło ono wszystkie słabości państwa Erdoğan, przede wszystkim niespotykaną skalę korupcji i bezradności urzędników. W efekcie już pierwsze komentarze zapowiadały nieodwołalną klęskę urzędującego prezydenta w nadchodzących wyborach. Zawiodło niemal wszystko: inspekcja budowlana (wciąż kieruje nią kolega Erdoğan, teolog), służby ratownicze, wsparcie państwa dla tych, którzy stracili domy itd.

Notowania prezydenta i jego partii rzeczywiście tapnęły, ale ostatecznie nie okazały się tak dramatyczne, głównie dzięki kontroli państwa nad mediami. Tu dwie wiele mówiące liczby: 90 proc. mediów jest kontrolowanych przez władzę lub jej biznesowych sprzymierzeńców i 80 proc. Turków nie zna ani jednego obcego języka. W rezultacie Erdoğan i jego ludzie stworzyli wokół skutków trzęsienia ziemi klasyczną bańkę informacyjną. A w niej dominowała opowieść o największym trzęsieniu ziemi w historii, z którym żadne państwo nie dałoby sobie rady.

2 To jest zresztą paradoks charakterystyczny dla wszystkich tzw. nowych populistów – z jednej strony skupiają w swoich rękach niemal pełnię władzy, ale z drugiej nie potrafią jej wykorzystać. Staje się ona dla nich celem samym w sobie, a nie narzędziem politycznym. Bo warto też zauważyć, że niedzielne wybory symbolicznie domykają ewolucję tureckiego systemu politycznego w kierunku autorytaryzmu.

Gdy w 2002 r. Erdoğan i jego Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) przejmowali władzę, Turcja była dość chaotyczną republiką parlamentarną, w której władza opierała się na piętrowych koalicyjach i słabej władzy wykonawczej. Silna pozycja i osobowość Erdoğan zmieniła ten układ sił w praktyce, lecz nieformalnie.

Etap przejściowy zaczął się w 2014 r., gdy Erdoğan, dotychczas premier, wygrał wybory prezydenckie. Po nieudanym wojskowym zamachu stanu z 2016 r. odbyło się referendum konstytucyjne, a w 2018 r. Erdoğan stanął na czele w zasadzie nowego państwa



Recep
Tayyip
Erdoğan

– formalnie wciąż demokratycznego, ale już z wszechpotężną władzą wykonawczą, niemającą swojego odpowiednika w żadnym zachodnim systemie.

Prezydent Turcji wedle uznania wyznacza ministrów (zlikwidowano stanowisko premiera), nie potrzebując do tego akceptacji parlamentu. Głowa państwa może w zasadzie rządzić za pomocą dekretów. I przede wszystkim własnoręcznie nominuje ponad 30 tys. urzędników, co w praktyce oznacza, że osobiście kontroluje państwo, od straży pożarnej w Konyi, poprzez inspekcję budowlaną, do Najwyższej Komisji Wyborczej.

– *Warto pamiętać, że po taką władzę sięgnął Erdoğan, wygrywając kolejne wybory wcale nie decydująco. Ale przez dwie dekady to wystarczało przy rozdrobnionej opozycji i systemie premiującym zwycięzców* – mówi Cinar Ozen, politolog z Uniwersytetu Ankarckiego. – *Teraz jednak zmiana systemu na prezydencki, która miała „ukoronować” Erdoğan, może go paradoksalnie zdetronizować. Wymusiła ona mianowicie sojusz sił opozycyjnych, od lewicy do nacjonalistów, bo tylko wspólny ich kandydat miał szansę wygrać z urzędującym prezydentem.*

3 Nominacja Kılıçdaroğlu na prezydenckiego kandydata od początku budziła kontrowersje wśród liderów opozycji. Jako szef największego ugrupowania antyerdoğanowskiego sojuszu, tzw. Stołu Sześciu, naturalnie pretendował do tej roli. Większą popularnością cieszyli się jednak opozycjni burmistrzowie dwóch największych miast kraju, Stambułu i Ankar – odpowiednio Ekrem Imamoğlu i Mansur Yavaş. Co ciekawe, to właśnie Kılıçdaroğlu wykreował obu wspomnianych burmistrzów, gdy przed wyborami lokalnymi w 2019 r. zbudował wokół nich szerokie koalicje, które były testem przed stworzeniem ogólnokrajowego sojuszu.

Imamoğlu i Yavaş to politycy wyraziści, dobrze czujący się w tłumie wyborców, sprawni mówcy. Słowem, zupełne przeciwieństwa Kılıçdaroğlu. Są jednak pod kilkoma względami „obciążeni” (nie mówiąc już o wyroku ciążyącym na Imamoğlu

za nazwanie członków komisji wyborczej „głupcami”, który może wyeliminować go z polityki). Po pierwsze, mówimy o politykach wyróżniających się w kategorii, w której mistrzem jest sam Erdoğan, zdecydowanie pierwszy trybun ludowy Turcji, choć coraz częściej zdarzają mu się słabsze występy.

Po drugie i ważniejsze, Imamoğlu i Yavaş, niewątpliwe talenty polityczne, są jednak przedstawicielami wielkomiejskich lewicujących elit. Doskonale poradzi sobie w Stambule i Ankarze, ale nie mieliby szans w Konyi czy Gaziantep. W tej kategorii Kılıçdaroğlu ma nad nimi wyraźną przewagę – to polityk, z którym mogą się identyfikować również mieszkańcy Turcji B. Pochodzi z Tunceli, głębokiej, górzystej prowincji na wschodzie kraju. Urodził się w biednej rodzinie, miał sześcioro rodzeństwa. W dzieciństwie zbierał arbuzy, sprzedawał jajka na twardo i chodził do szkoły na bosaka. Za to świetnie się uczył, dzięki czemu wyrwał się z biedy, skończył studia w Ankarze (księgowość).

Jako stateczny były już urzędnik z siwizną na głowie jest też chodzącą obietnicą zmiany politycznej, która stonowałaby nastroje społeczne, nakręcane w nieskończoność przez Erdoğan. „Spokój” – to słowo, które najczęściej przychodzi na myśl, gdy słucha się Kılıçdaroğlu, choć niektórzy mówią raczej o „nudzie”. – *Ale może właśnie takiej nudy Turcja potrzebuje? Może czeka na prezydenta, który na własnej stronie internetowej chwali się tym, że kiedyś zdobył nagrodę dla Biurokraty Roku. Którego trzy razy przemyśli każde słowo, zanim je wypowie* – mówi prof. Berktaş. A najczęściej wypowiada je do kamery w swojej własnej kuchni, nad wyraz skromnej, przy stole zawalonym papierami i filiżankami po herbatce. Żona powiedziała kiedyś o nim: „Kemal nigdy nie podnosi głosu, nigdy nie krzyczy. Nie można się nawet z nim porządnie pokłócić”.

Kılıçdaroğlu zapowiada, że gdy już jako prezydent odda parlamentowi należne mu kompetencje, od razu ustąpi z urzędu i „zajmie się wnukami”. Powiedział nawet, że „nie ma ambicji politycznych”, co w normalnym kraju byłoby samobójczą deklaracją. Ale Turcja po ponad dwóch dekadach rządów Erdoğan ▶

► jest tykającą bombą społeczną i wielu wyborców rzeczywiście ma dosyć polityki konfliktu. Czy to jednak wystarczy do wygranej?

4 Problem opozycji i siłę Erdoğan'a najlepiej widać w takich miejscach jak Konya, 2,3-milionowy region w samym centrum konserwatywnej Anatolii. Przez lata Erdoğan mógł w ciemno liczyć na poparcie wyborców tego „rolniczego spichlerza Turcji” – w 2018 r. zdobył tam 77 proc. poparcia. Pobożni i niezbyt bogaci mieszkańcy popierali jego konserwatywny i religijny zwrot. I trudno im się dziwić, bo zanim Erdoğan przejął władzę, tacy jak oni mogli się czuć jak obywatele drugiej kategorii, co oczywiście wprost wynikało z ofensywnie świeckiego modelu państwa. Jak powiedział mi kiedyś pewien mieszkaniec Konyi: – *Przed Erdoğanem moja córka nie mogła w szkole nosić chusty, teraz noszą je nawet policjantki.*

Jednocześnie Konya przeżyła za Erdoğan'a rekordowy boom gospodarczy – lokalne PKB per capita skoczyło z 4,2 tys. dol. w 2004 r. do 9,7 tys. w 2013 r. Nie inaczej było w innych anatolijskich regionach. Ale potem koniunktura się skończyła i dziś żyje się tam wyraźnie gorzej niż 10 lat temu. Tylko że anatolijscy wyborcy wciąż nie widzą alternatywy i choć są coraz bardziej rozczarowani Erdoğanem, raczej nie pójdą na wybory, niż zagłosują na opozycję – przede wszystkim z powodów światopoglądowych, co dobrze widać na przykładzie Kılıçdaroğlu.

Kandydat opozycji na prezydenta, jako dziecko kemalizmu i wyznawca arcyświeckiego modelu państwa, ma bowiem problem z islamem. Po pierwsze, dzięki swoim gafom dał pretekst rządowej propagandzie do zrobienia z niego kryptoateisty. Gdy przyjechał na grzyby jednego z miast zniszczonych przez lutowe trzęsienie ziemi, miejscowy urzędnik zaproponował mu, aby odmówił publiczną modlitwę za ofiary. Kılıçdaroğlu mylił się niemilościwie, ale brnął dalej, zmyślając kolejne zdania. Oczywiście wszystko zarejestrowały kamery, tak jak kilka dni później niezręczność, gdy kandydat opozycji wpakował się w butach na dywanik modlitewny.

Część Turków w ogóle nie uważa go za muzułmanina. Kandydat opozycji jest alewita, członkiem synkretycznej sekty w islamie, w praktyce będącej mieszanką szyzmu i sufizmu. Alewici, według szacunkowych danych, stanowią nawet 20 proc. społeczeństwa, ale się nie wychylają, bo wcześniej kemaliści, a teraz islamiści od Erdoğan'a uważają ich za zagrożenie dla ideologicznej integralności Turcji – takich Kurdów, tyle że w wymiarze religijnym. W efekcie alewici ze swoimi rytuałami i obrzędami zeszli do podziemia, co jednak tylko nakręciło wokół nich kolejne teorie spiskowe.

Kilka tygodni temu Kılıçdaroğlu zdecydował się na niestandardowy ruch i postanowił w jednej ze swoich internetowych pogadarek zrobić alewicki coming out. – *To chyba pierwszy raz w historii Turcji, gdy ktoś w mediach powiedział: „Jestem alewita”* – zauważa Roj Girasun, analityk i sondażowiec od lat współpracujący z Kılıçdaroğlu. – *Zaryzykował podwójnie. Po pierwsze, zakładając, że lepiej, jeśli sam o tym opowie otwarcie i rozbroi tę bombę, niż żeby władze wykorzystywały jego milczenie w tej sprawie. Po drugie, poszedł drogą, którą wskazywało mu już wielu doradców, i postanowił z przynależności do mniejszości uczynić w tych wyborach zaletę.*

Kılıçdaroğlu w razie wygranej obiecuje polityczną rewolucję na skalę porównywalną z tym, co zrobił z Turcją Erdoğan – tylko w przeciwną stronę. Zapowiada np. powrót Turcji na Zachód, choć nie do końca wiadomo, co to miałyby znaczyć. Powrót

do starań o członkostwo w Unii Europejskiej? To już przeszłość, choć nie ma zarówno po stronie unijnej, jak i wśród samych Turków. To jedna z kolein po Erdoğanie, który zdołał przekonać wielu z nich, że Europa jest nie tylko wrogo do nich nastawiona (to akurat nie było zbyt trudne), ale stanowi wręcz niekompatybilny z tureckim model cywilizacyjny.

Można tak iść dalej. Czy Turcja Kılıçdaroğlu wróciłaby duchem do NATO, szczególnie w kontekście tego, co się dzieje w Ukrainie? Zachodnie rządy oburzają się, że Turcja – przecież członek Sojuszu – nie przystąpiła do antyrosyjskich sankcji. Ale otwarte opowiedzenie się po stronie Ukrainy mogłoby się skończyć dla Turcji katastrofą gospodarczą ze względu na jej uzależnienie od rosyjskich surowców energetycznych. Ewentualna wygrana Kılıçdaroğlu niewiele tu zmieni.

Tak samo jak w sprawie relacji z Ameryką, które kiedyś stanowiły fundament bezpieczeństwa Turcji. Dziś jednak wsparcie Waszyngtonu dla kurdyjskiej partyzantki w Syrii jest w Ankarze postrzegane (na ile obiektywnie, to inna sprawa) jako zagrożenie dla integralności państwa. I tu prezydent Kılıçdaroğlu ugrzęźnie w koleinie pozostawionej przez Erdoğan'a. Również z powodu coraz silniejszych antyamerykańskich emocji w tureckim społeczeństwie, za pobudzenie których urzędujący prezydent odpowiada tylko częściowo.

Wniosek? Kılıçdaroğlu może wiele mówić w kampanii o powrocie Turcji na łono Zachodu. Ale jeśli zdobędzie władzę, sam zapewne dojdzie do wniosku, że wiele elementów polityki zagranicznej Erdoğan'a było może nie tyle słusznym, co jedynie możliwym w obecnych warunkach. Choć oczywiście można je było opakować w mniej konfrontacyjną retorykę.

5 To samo może dotyczyć zapowiadanej przez Kılıçdaroğlu rewolucji w sposobie rządzenia i demontażu autorytarnego państwa Erdoğan'a. Lider opozycji wywodzi się ze środowiska o silnych odruchach autorytarnych, które rządziło Turcją, zanim nastał Erdoğan. Zresztą oba te dominujące dziś w Turcji środowiska są pod wieloma względami podobne. Wpisują się w jakobińską tradycję wiary w skuteczną inżynierię społeczną, która z kolei wynika z przekonania, że oświecona władza wie lepiej, co dobre dla obywateli. Różnią się co do celów, ale niekoniecznie co do metody.

Oczywiście wizerunkowa odmiana środowiska Kılıçdaroğlu jest niezaprzeczalna – ze swojego ugrupowania, dawnej partii władzy, w ciągu dekady uczynił ruch w stylu europejskiej socjaldemokracji. Ale władza, jaką dostanie, jeśli zwycięży w wyborach, może się okazać obezwładniająca. Czy więc zdecydował się na jej demontaż, jak zapowiada, biorąc pod uwagę jego ambitne plany zbudowania w Turcji demokracji liberalnej na wzór zachodni?

Równie dobrze może dojść do wniosku, że tylko silna władza wykonawcza pozwoli mu wprowadzić te plany w życie. Szczególnie jeśli – co zapowiadają sondaże – w przeprowadzanych równocześnie wyborach parlamentarnych wygra partia Erdoğan'a. Wtedy pokusa, by wykorzystać narzędzia, które zostawił po sobie urzędujący prezydent, może się dla Kılıçdaroğlu okazać zbyt duża. A stworzony przez Erdoğan'a system władzy – zbyt wygodny dla zwycięzcy, aby go odrzucić. Koleiny erdoğanowskiego populizmu będą za głębokie, nawet jeśli zabraknie samego Erdoğan'a.

ŁUKASZ WÓJCİK

WSPÓŁPRACA AGATA WÓJCİK

Lider opozycji wywodzi się ze środowiska o silnych odruchach autorytarnych, które rządziło Turcją, zanim nastał Erdoğan.



REWOLUCYJNY KONSERWATYSTA



Za tydzień
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projektulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Pieprz, wywalaj, proteguj

Pięć lat minęło od afery Relotiusa, uznanego reportera „Spiegla”, który w swych nagradzanych tekstach zmyślał fakty, i niemiecki świadek dziennikarski ma kolejną zadymę. Tym razem literacką wokół koncernu Springera.

ADAM KRZEMIŃSKI

Książkę Benjamina Stuckrad-Barre „Jeszcze nie śpisz?”, o taśmowym molestowaniu kobiet w na półfikcyjnym berlińskim koncernie, wprowadzono na rynek koncertowo. Dziesięć dni przed ukazaniem się powieści „Die Zeit” opublikowała miażdżący portret faktycznego szefa Springera Mathiasa Döpfnera. Cytowano jego maile do redaktora naczelnego bulwarówki „Bild”, obwinianego w 2021 r. o molestowanie redaktorek i pospieszenie „za porozumieniem” zwolnionego ze stanowiska. W następnym tygodniu „Der Spiegel” miał – jako materiał okładkowy – sążnistą rozmowę ze Stuckradem-Barrem. A gazety codzienne – obszerne recenzje powieści oraz rozprawy o postępującej tabloidyzacji najważniejszych niemieckich mediów. Hałas jak znalazł. Miejsce na liście bestsellerów „Spiegla”

zapewnione. I – już po lekturze trzeba przyznać – w pełni zasłużenie.

Wtajemniczeni traktują książkę jako opowieść z kluczem, o ludziach znanych lub wręcz znajomych. Czytelnik z zewnątrz odbiera ją jako przypowieść uniwersalną, którą niemal każdy jakoś tam zna z mediów. Od „afery rozporkowej” Billa Clintona z Moniką Lewinsky, a potem całej fali #MeToo, po sprawę Harveya Weinsteina i kolejnych damskich agresorów. Stuckrad-Barre świetnie pisze. Ma doskonały słuch na środowiskowy slang. I będąc w koncernie Springera beniaminkiem Döpfnera, doskonale zna realia, zagrywki i rozgrywki zarówno bossów, jak i wielu kobiet wykorzystywanych przez szefowskie XX piętro.

Powieść zaczyna się od wpadki staryztyki w berlińskim skrajnie populistycznym koncernie medialnym, która na wizji pomyliła „paski” – nie te bojowe jak w TVP Info, lecz banalnie informujące, co widać

na ekranie. Koledzy złośliwie przygadują, bezpośredni szef opieprza. Ale najwyższy z bossów wzywa do gabinetu, bagatelizuje sprawę i owija sobie praktykantkę wokół palca. Koledzy patrzą na poły złośliwie, na poły z uznaniem, koleżanki przestrzegają, by w to nie wchodziła. Ale gadają o zdrowiu. Dziewczyna pisze do domu, jak to już dobrze zadomowiła się w Berlinie.

Ale to nie jej historia. Jest jedną z wielu, jeszcze bezimienną. Tytułowe esemesy „Nie śpisz jeszcze?” powieściowy Szefer czy naczelny wysyłają do wielu, także do Sophii oraz narratora – wypróbowanego przyjaciela Szefera. Oboje wylegują się w Los Angeles w ogrodzie elitarnego hotelu Chateau Marmont, w którym kilka lat temu Oliver Stone nakręcił „The Doors”.

Jest tu także aktorka Rose McGowan, która obnosi się z feministycznymi esejami Judith Butler. Gdy wybuchnie bomba, że oskarżyła producenta filmowego Weinsteina o gwałt, sprzedaje swój dom w Hollywood. I zniknie. Choć zdąży zaszczepić

Szefer Springera Mathias Döpfner.



narratorowi misję wspierania #MeToo. W Chateau niby nadal nic się nie dzieje. Ale odtrutka zaszczepiona przez Rose McGowan działa. Berliński narrator nagle zauważa, że przy wejściu do ogrodu w czasie każdej z nocnych imprez stoi czarny *fuck bus*, wokół którego kręcą się rozchichotane nastolatki. Inaczej też niż kolega z „Washington Post” reaguje na debatę Donalda Trumpa z Hillary Clinton, w której kandydat na prezydenta zasuwa, że jak jest się sławnym, to „można kobietę chwycić za cipę”. Amerykanin uważa, że koleś tym zwrotem właśnie przerznął wybory. Natomiast berlińczyk, że właśnie jej wygrał.

Nirwanę w Chateau przerywa wiadomość, że do Los Angeles zwała się Szefer z czołówką berlińskiego koncertu. Ma ambicje wejść na amerykański rynek i bardzo mu się podoba styl Fox News Channel, na którym wzorował swój berliński kanał. Budzić emocje, polaryzować, żonglować faktami. Myślowe skrótów w wewnętrznej nowomowie koncertu, pełnej anglicyzmów i niemieckich nowotworów językowych, są w tej opowieści znakomitą satyrą przedstawiającą wewnętrzne mechanizmy, hierarchie i reguły gry, w których w ostateczności chodzi jedynie o zysk i utrzymanie się przy władzy, w firmie i na rynku.

W czasie wspólnej podróży z L.A. do San Francisco dochodzi do duchowego zerwania narratora z Szeferem. Przesłanie Rose McGowan działa. Narrator wraz z Sophie, która w Berlinie jest spikerką w najlepszym czasie antenowym, ale ma dość codziennego fryzowania się pod kamerę, a także niemało pretensji do Szefera i siebie – postanawiają przenieść #MeToo do berlińskiego koncertu. Impulsem jest nie tylko Bill Clinton, Donald Trump i Harvey Weinstein, ale także odkrycie, że u szympanów bonobo, jeśli jakaś samica jest wbrew swej woli napastowana przez samca, wydaje z siebie określony krzyk, na który natychmiast zbiegają się inne samice i odpędzają intruza.

Jednak ludzie to nie bonobo. Napastowanych kobiet w berlińskim koncercie nie brakuje. I na wołanie Sophie część z nich zbiega się nawet na telekonferencję. Panie są gotowe – pod pseudonimami – opowiedzieć swe przejścia magazynowi „Trans-Atlantik”, który jest chętny rozrobić berlińską #MeToo. Publikacja ukazuje się w dniu przyznania przez koncert nagrody Elnowi Muskowi. Akurat jest w Niemczech, gdzie tuż przy granicy z Polską obiecuje zbudować gigantyczną fabrykę elektroaut. Premier Brandenburgii nadskakuje.

Jednak akcja #MeToo psuje widowisko. W czasie transmisji widać, że notable

siedzący w pierwszym rzędzie są wpatrzeni w smartfony. Afera na sto fajerek – redaktor naczelny kanału telewizyjnego musi odejść, ale robi to w taki sposób, jakby uniósł się honorem dla dobra koncertu, choć przecież na nic nie ma dowodu. A cała sprawa została namotana przez niezrównoważonego współpracownika, który wykorzystał małoduszność kilku koleżanek niebędących w stanie sprostać wymogom nowoczesnego koncertu medialnego. Ot, trochę hałasu, gdy kamień wpada w wodę...

To w powieści, bo u Springera hałas jest wielki. W 2021 r. za orgietkę z podwładnymi na brzegu jeziora stracił stanowisko naczelny „Bildu”, a teraz zachwiana jest pozycja szefa całego koncertu, któremu ślepo zawierzyła wdowa po założycielu koncertu Axelu Springerze.

To już trzeci literacki atak na wydawnictwo Springera. W 1975 r. Heinrich Böll – dziś zapomniane sumienie dawnej Republiki Federalnej – odplacił „Utracaną część Katarzyny Blum” bulwarówce Springera pięknym za nadobne. To dość plakatowe opowiadanie świetnie sfilowali Volker Schlöndorff i Margarethe von Trotta. Wkrótce potem krytykę „Bildu” docisnął w 1977 r. głośny wówczas reporter wcieleniowy Günter Wallraff. Zatrudnił się w lokalnej redakcji „Bildu”, po czym we „Wstępniaku” opisał metody manipulowania faktami, konstruowania sensacji i żerowania bulwarówki na najniższych instynktach. Bulwarówka była wtedy potęgą. Sprzedając ponad 4 mln egzemplarzy, pomiędzy seksem, zbrodnią i sensacją kształtował także polityczne odruchy.

W 2021 r. na fali #MeToo wybuchła u Springera afera. Grupa redaktorek anonimowo oskarżyła naczelnego „Bildu” przed komisją śledczą wydawnictwa o wprowadzenie w życie kryterium *fuckability* – pieprz, wywalaj, proteguj. Po czym Döpfner sam wywalił oskarżonego, swego wieloletniego kumpla. W dziennikarskim świecie zawrzało, gdy wyciekło, że zarząd Springera gwoli przejrzystości i ochrony pracownic chce wprowadzić zasadę rejestracji biurowych romansów. Znana publicystka lewicowej „taz” była oburzona nazywaniem kobiet sypiających z szefami „ofiarami” – taka klasyfikacja wręcz uwłacza godności kobiet. Przecież wiedziały, co robią. To był także ich wybór. Toteż Hanna Lakomy jedynie wzrusza ramionami na męsko-damskie obyczaje w koncercie. Ma z nim własne doświadczenie. Jest wysoce opłacaną „pracownicą seksualną” po filozofii i pisywała felietony między innymi do „Die Welt”. Nie ma nic

przeciwko nazywaniu jej mianem *Edelherre* – zacną kurwą. Swoje stowarzyszenie pomocy nielegalnym prostytutkom nazwała Hetera. I teraz bez żenady opowiada o swoich perypetiach u Springera.

Wygląda zatem na to, że „Jeszcze nie śpisz?” Stuckrada-Barrego to atrakcyjnie rozbełtana burza w szklance wody. W kilku punktach dobrze spuentował ją w „Berliner Zeitung” Tomasz Kurianowicz.

- Benjamin von Stuckrad-Barre sam jest tworem Springera, przez 10 lat hołubiony przez Döpfnera, z niebotyczną gażą, sam łowił w stawie Reichelta i nagle przeniósł się na feministę? Powieść jako „zemsta” rozczarowanego, jako obrachunek z systemem Springera, jako pomieszenie z poplątaniem zmyślenia i prawdy?

- Relacje Döpfner-Reichelt przez lata były wzorowe. W 2021 r. szef koncertu ochronił naczelnego „Bildu”, wywalił go dopiero wtedy, gdy afera #MeToo zagroziła „Politico”, multimedialnemu przedsięwzięciu Springera w USA. Wewnętrzne śledztwo nie było w stanie dowieść winy Reichelta. Wystarczył pretekst – „przemilczenie afery”. Czy rzeczywiście o to poszło?

- Tabloidyzacja zarówno lewicowego, jak i prawicowego dziennikarstwa polega w dużej mierze na personifikacji przekazu, a nie na rzeczowej analizie faktów i podtekstów. W komunikacji coraz bardziej dominuje skrótowe wyostrzenie. Pandemia i wojna w Ukrainie spowodowała na rynku medialnym dramatyczny spadek prenumerat i nakładów. Czyżby ceną była bulwaryzacja przekazu? Bo dla czego nawet media publiczno-prawne popadają we wrzaskliwe dziennikarstwo?

- Ruch #MeToo podważa kardynalną zasadę „wątpliwości przemawiają na rzecz oskarżonego”. Gdzie przebiega zatem granica między wyjaśnieniem a donosem? Jak dziennikarze obchodzą się z władzą, jaką posiadają, oraz z obowiązkiem równowagi między publicznym zaciekawieniem a prawem do prywatności?

- I na koniec. Jak w czasach coraz ostrzejszej polaryzacji media mogą chronić wolność i demokrację, nie wywołując zarazem przeciwnego efektu? Jak mogą ograniczać podziały bez wpadania w moralizujące pouczanie? Czy dla wypracowania nowej etyki mediów jest potrzebny okrągły stół? No i proszę. Zaczynało się od niuchania, kto z kim i za co na najwyższym piętrze medialnego wieżowca. A stanęło na „polskim meblu” – jak w 1989 r. w NRD nazywano nasz okrągły stół. Tym niemniej pocieszne „Jeszcze nie śpisz?” Stuckrada-Barrego warte jest lektury. Nikt z takich aferek nie wychodzi bez strat. ■



© SHUTTERSTOCK

Klucz krymski

Odzyskanie Krymu musi być celem zapowiadanej przez Ukrainę ofensywy. Tylko taki scenariusz daje szansę na koniec wojny.

PAWEŁ KOWAL

Kilka miesięcy po inwazji Rosji na Gruzję w 2008 r. w jednym z rosyjskich programów telewizyjnych jego prowadzący Władimir Pozner rozmawia z me-rem Moskwy Jurijem Łużkowem. Pozner opowiada, że w Ameryce z okazji rocznicy niepodległości USA ukazał się fikcyjny numer „New York Timesa” z wiadomościami, o których marzą Amerykanie, m.in. o końcu wojny w Iraku, o tym, że George W. Bush jest sądzony za jej wywołanie. W pewnym momencie prowadzący pyta Łużkova, co znalazłoby się w takiej gazecie z okazji święta niepodległości Rosji, gdyby to on ją redagował.

„– Rosja odebrała Krym i Sewastopol. – To wszystko? – A to mało?”.

Parę lat po tej rozmowie, 14 lutego 2014 r., Rosjanie anektowali Krym z Sewastopolem.

Łużkow powiedział tak, bo Krym jest jak niezatapialny lotniskowiec – pozwala kontrolować całe Morze Czarne i jego wybrzeża. Stąd też wywodzi się popularne dziś przeświadczenie, że jeśli dojdzie do nowej ofensywy ukraińskiej, to jej celem będzie

właśnie Krym. „Dla Ukrainy droga do zwycięstwa wiedzie przez Krym” – powiedział niedawno gen. Ben Hodges, były dowódca wojsk amerykańskich w Europie.

O ile w początkowej fazie wojny powszechne było na Zachodzie przekonanie, że Krym jest „nie do odbicia”, o tyle obecnie coraz częściej pojawiają się opinie, że Ukraińcy mają wolę walki, wystarczy tylko dostarczyć im odpowiednią broń, by odbili półwysep. I dlatego na pytanie, jak rozumieć zwycięstwo Ukrainy, coraz częściej pada odpowiedź *à rebours* w stosunku do tego, co Łużkow powiedział Poznerowi: „Ukraina odebrała Krym i Sewastopol”. Czy to jednak możliwe?

Tu trzeba się cofnąć o kilkanaście lat, a potem dalej. Przed obecną wojną gwarancją bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej w basenie Morza Czarnego miała być specjalna umowa Kijowa z Moskwą. Regulowała obecność rosyjskiej Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu. Jako ostatni ze strony Ukrainy przedłużył ją prezydent Wiktor Janukowycz, w związku z czym część Ukraińców oskarżyła go o zdradę. Szczególnie że – jak się później okazało – Rosjanom to nie wystarczyło.

W wydanej w 1997 r. „Wielkiej szachownicy” Zbigniew Brzeziński przewidział, że Krym i jego status stanie się czynnikiem załamania pokoju na terenach dawnego Związku Radzieckiego. Także Micheil Saakaszwili jako prezydent Gruzji po 2004 r. miał ostrzegać zachodnich polityków, że Rosjanie chcą siłą zająć Krym. I faktycznie sprawa Krymu stała się ostatecznie jednym z kluczowych elementów krwawej rozgrywki Rosji o utrzymanie imperialnej pozycji.

Już po zajęciu Krymu Władimir Putin usprawiedliwiał ten ruch, tłumacząc m.in., że przecież chrzest św. Włodzimierza, władcy Rusi Kijowskiej, odbył się w Chersonesie, na południowo-wschodnim krańcu Krymu, w 988 r. Z tym argumentem jest oczywisty problem – Chersones był w czasach św. Włodzimierza grecką kolonią i nie miał nic wspólnego z Rosją, której wówczas... nie było. Podobnie jak „chrzest Rusi” w Kijowie nie miał związku z Rosją. Nie ma więc żadnych „odwiecznych” praw Rosji do Krymu.

Rosjanie władali tu krótko. Katarzyna Wielka podbiła Chanat Krymski w 1783 r., czyli mniej więcej wtedy, gdy jej imperium połąkło Białystok. W połowie XIX w.

Rosja zaczęła stanowić zagrożenie dla Imperium Osmańskiego, czego efektem była wojna krymska (1853–56), w której Turcy dostali wsparcie Francji i Wielkiej Brytanii. Później jednym z mitów założycielskich mocarstwowej Rosji była 349-dniowa obrona Sewastopola przed turecko-zachodnią koalicją.

Po pierwszej wojnie światowej, gdy rozpadało się imperium Romanowów, Krym pojawił się na nowych mapach jako część Ukrainy. Jednak już w 1921 r. znów stał się częścią imperium, tym razem Związku Radzieckiego. W jego ramach półwysep funkcjonował jako republika autonomiczna. To właśnie wtedy Sowietci wypędzili z półwyspu Tatarów pod pretekstem ich współpracy z Niemcami. Minimum kilkadziesiąt tysięcy Tatarów straciło życie w maju 1944 r.

Nikita Chruszczow już jako radziecki gensek w 1954 r. włączył Krym do ukraińskiej sowieckiej republiki. W tle była jednak cicha rywalizacja między sowieckimi republikami, a Chruszczow był wcześniej szefem partii na Ukrainie, więc w tym kontekście jej sprzyjał.

Od końca XVIII w. przez cały okres imperium Romanowów i ZSRR Krym był kolonizowany przez Rosjan, a w okresie sowieckim zasiedlali go też Ukraińcy. Związek Radziecki rozpadł się w 1991 r. po liniach granic republik, więc Krym nie jako z automatu pozostał częścią Ukrainy. A szykujący się do powrotu na półwysep Tatarzy w oczywisty sposób woleli iść dalej z Ukrainą. Szczególnie że ze względu na specyfikę półwyspu Krym w ramach państwa ukraińskiego uzyskał autonomię. Do rosyjskiej aneksji Tatarzy stanowili jednak maksymalnie 10 proc. z 2 mln mieszkańców półwyspu. Rosjan było wówczas ponad 60 proc.

M.in. z tego powodu przynależność Krymu do Ukrainy była kwestionowana, choć Federacja Rosyjska do 2014 r. nie zgłaszała w tej sprawie zastrzeżeń. Wolna Ukraina nie zadbała dostatecznie o rozwój Krymu. W wyborach wygrywały tam ugrupowania prorosyjskie, jak Partia Regionów. Nie wzbudzało to jednak obaw Kijowa, bo przynależność półwyspu do Ukrainy zapewniało memorandum budapeszteńskie z 1994 r., gwarantowane przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Rosję, w którym w zamian za nienaruszalność swojej integralności Ukraina zobowiązała się oddać broń atomową.

W 2014 r. Rosja zajęła Krym, korzystając z kilku dni słabości państwa ukraińskiego po ucieczce prezydenta Janułowycza, który odpowiadał za próbę

siłowego zduszenia rewolucji godności. Następnie Kreml przeprowadził tam fałszywe referendum pod lufami karabinów i na oczach całego świata doszło do brutalnego pogwałcenia prawa międzynarodowego: Rosjanie siłą zmienili granice, ale nikt nie zdecydował się uznać tego Anschlussu.

Nie był to zresztą pierwszy taki przypadek w okresie postsowieckim – w 2008 r. Rosjanie siłą zajęli część Gruzji. Sprawa napaści na Krym ze względu na znaczenie półwyspu była jednak najbardziej spektakularna. Mimo to reakcja Zachodu była nieadekwatnie łagodna. Co ciekawe, nawet Turcja zachowała powściągliwość, chociaż działania Rosji poważnie uderzyły w jej interesy strategiczne.

Jeśli chodzi o reakcję mieszkańców półwyspu na aneksję, to w istocie w 2014 r. na Krymie opór przeciw Rosji nie był powszechny. Przyczyny tego były złożone: struktura ludności na Krymie, słabość armii ukraińskiej, obecność rosyjskiej Floty Czarnomorskiej, chaos polityczny w Kijowie. Jeszcze przed 2014 r. mówiło się o przejściach ukraińskich żołnierzy do rosyjskiej floty. I – co ciekawe – dowództwo nie traktowało tego jako zdrady. Prawdopodobnie też zachodni sojusznicy Ukrainy naciskali, aby nie podejmować „nerwowych ruchów” w sprawie Krymu.

Pytanie, czy nadal naciskają? Teraz jest inaczej – wszyscy rozumieją, że „krymskie ustępstwa” tylko rozzuchwiliły Rosję.

Krym stanowi klucz do zakończenia obecnej wojny. Nieformalnym warunkiem podjęcia negocjacji ze strony ukraińskiej jest powrót półwyspu pod faktyczną kontrolę Kijowa. Jednocześnie przeświadczenie o konieczności pogodzenia się z tym, że Krym należy do Ukrainy, pojawia się coraz częściej wśród potencjalnych pretendentów do władzy po Putinie. Nawet Aleksiej Nawalny zaczął zmieniać zdanie w tej sprawie. A jeszcze niedawno uznawanie Krymu jako części Rosji było testem na rosyjski patriotyzm.

Ukraińska ofensywa w kierunku Krymu wydaje się kwestią czasu. Dzięki wsparciu szkoleniowemu i sprzętowemu z Zachodu Ukraina prawdopodobnie posiada już wystarczający potencjał do tego typu operacji. Ale zachodni sojusznicy woleliby pewnie zaczekać, aż Rosja będzie już na tyle osłabiona, że sama odda Krym. Dziś wielu obserwatorów obawia się, że próba odzyskania przez Ukrainę Krymu siłą stanie się dla Putina pretekstem do uderzenia jądrowego, praktycznie takie ryzyko jest czysto teoretyczne.

Odzyskanie Krymu jest jednak konieczne, by jakiegokolwiek porozumienie pokojowe z Rosją zostało zaakceptowane w Ukrainie – straty ludzkie i materialne są już zbyt duże, by „odpuścić” półwysep. Jednocześnie, gdyby jednak przyszło do negocjacji w sprawie Krymu, prezydent Wołodymyr Zełenski ma przestrzeń, by rozmawiać o skali autonomii półwyspu, bo polityczna autonomia i tak była mu zagwarantowana w konstytucji Ukrainy. Ukraińcy mogą ją rozszerzyć.

Zakończenie rosyjskiej okupacji Krymu będzie też stanowić symboliczny koniec imperialnej Rosji. W takim wypadku pozostanie tam jakichkolwiek rosyjskich wojsk, np. w Sewastopolu, jak to było przed wojną, też będzie w zasadzie niemożliwe – przecież to właśnie ich obecność była jedną z przyczyn aneksji w 2014 r. i czynnikiem destabilizacji.

Ewentualne wyrzucenie sił rosyjskich z Krymu nabierze również niebagatelnej wymiaru międzynarodowego. Oznaczać będzie bowiem, że nie ma możliwości zmiany granic w Europie siłą. I w końcu Krym bez baz rosyjskich będzie też oznaczać symboliczny koniec ery postsowieckiej, czyli modelu, w którym co prawda państwa powstałe po rozpadzie ZSRR były formalnie niezależne, ale Rosja rościła sobie do ich terytorium „specjalne prawa”, jak do Krymu w ramach Ukrainy.

Być może Krym będzie także objęty jakimiś gwarancjami międzynarodowymi, na przykład związanymi z jego demilitaryzacją – tak jak to planowano po wojnie krymskiej. Można też sobie wyobrazić, że Krym dostanie dużą międzynarodową pomoc i pierwszy raz od wieków stanie się nie tyle polem rywalizacji militarnej, ile ośrodkiem szybkiego wzrostu gospodarczego, choćby ze względu na potencjał turystyczny.

Przy tym wszystkim warto też pamiętać, że będzie się to działo w kontekście negocjacji akcesyjnych Ukrainy z Unią Europejską, w otoczeniu jej czarnomorskich członków (Bułgaria, Rumunia) i pretendentów do członkostwa (Gruzja, Mołdawia). To stworzy dla Krymu nowy geopolityczny kontekst – w sensie mentalnym półwysep będzie „odpływał” od rosyjskiej tradycji imperialnej, a jego rosyjskojęzyczni mieszkańcy mogą w nowym położeniu półwyspu zobaczyć dla siebie szansę.

To wszystko wydaje się coraz bardziej możliwe. Trzeba tylko najpierw przepędzić z Krymu rosyjskie wojska. Ukrainy nie stać na inny scenariusz.

Paweł Kowal jest posłem Koalicji Obywatelskiej, profesorem Instytutu Studiów Politycznych PAN, w latach 2006–07 był wiceszefem MSZ.

„Zaklinacze słoń”, pierwszy dokument z Indii nagrodzony Oscarem, to hołd dla przyjaźni ludzi i tych wielkich ssaków. Ale indyjska codzienność więcej ma wspólnego z wojną gatunków.

PAULINA WILK

Ta scena poruszy każdego. Bellie, pochodząca z indyjskiego plemienia bezdzietna kobieta, opiekunka osieroconych słońiątek, oplakuje rozstanie z ukochanym samcem Raghu. To jej przybrany syn, który dorósł i właśnie został przeniesiony do innej części parku. Do łkającej kobiety podchodzi słońica Ammu, także jej wychowanka. I niedużą jeszcze trąbą delikatnie ociera jej lzy. Bellie i ciemnoskóry szczupły Bomman, który rolę wychowawcy słońi odziedziczył po przodkach, wspólnie żyją na terenie Theppakadu Elephant Camp, specjalnego obozu dla osieroconych dzikich słońi. Praca ze zwierzętami zbliżyła parę mimo późnego wieku. A w filmie mamy okazję oglądać ich ślub.

Dostępny na Netflixie dokument jest celebracją więzi pomiędzy ludźmi i wielkimi ssakami. Pełen jest wspólnych chwil, wzruszających i zabawnych: młode słońie są karmione z butelki, czesane, myte, przytulane, zabierane na spacer, uczone nie samego posłuszeństwa, ale bliskości. Zupełnie jak dzieci.

Oscarowy sukces tego obrazu świętowany był nad Gangesem z kilku powodów. To pierwsza statuetka dla indyjskiego dokumentu, no i film stworzony przez kobiety: reżyserkę Kartiki Gonsalves oraz producentkę Guneet Mongi. Znaczenie miało też to, że słońie są w Indiach – razem z tygrysami – zwierzętami o szczególnym statusie: służą jako emblemat tamtejszej kultury i przyrody. Oba gatunki są też szczególnie chronione, przynajmniej na papierze.

Gdy w Los Angeles rozdawano Oscary, Bomman – bohater dokumentu – krążył po lesie, szukając dwóch osieroconych słońiątek. Tydzień wcześniej trzy słońice zmarły po porażeniu prądem z ogrodzenia postawionego przez lokalnych rolników. Ich potomstwo zostało samo w lesie,

Zwierzę narodowe



Bellie, opiekunka osieroconych słońiątek i jedna z bohaterek „Zaklinaczy słoń”.

a Bomman musiał je znaleźć, nim słońiątko padną z głodu albo wycieńczenia.

Na terenie Indii żyje dziś 60 proc. wszystkich dzikich słońi azjatyckich.

Są one mniejsze niż afrykańskie i wyróżniają się pomarańczowo-różowym nakropieniem na łbie, trąbie czy uszach. Łącznie jest ich w kraju ok. 27 tys., żyją od położonego na północy górskiego Assamu po dżungle w Kerali nad Morzem Arabskim – w rozmaitych rezerwach i parkach narodowych. Do tego w Indiach jest jeszcze ok. 3 tys. słońi w niewoli, w tzw. sanktuariach (ośrodkach

opiekuńczych), ogrodach zoologicznych, ale także przy świątyniach, na plantacjach przypraw, w prywatnych gospodarstwach. Są to zwierzęta pracujące, wykorzystywane w turystyce (siodłane do przejażdżek) czy obrzędach religijnych (paradach oraz festiwalach) i do noszenia ciężarów. Wszystkie żyją w rzeczywistości napięć i otwartych konfliktów z homo sapiens. I choć „Zaklinacze słońi” są opowieścią prawdziwą, bo takich rezerwatów i trwających dziesięciolecia związków wychowawców ze zwierzętami jest wiele, to film pokazuje tylko ten piękniejszy wycinek słoniowej codzienności.

Sportretowany w filmie opiekun słoń Boman pochodzi z plemienia Kattunayakan, społeczności myśliwych-zbieraczy, której nazwa przypomina, że jej członkowie są panami lasów. Żyją głównie w Tamil Nadu, Kerali i Karnatace, na południu kraju. Są najuboższymi z ubogich. Porozumiewają się własnym dialektem, nie mają języka pisanego. Tylko co czwarty z plemienia umie czytać i pisać w jednym z oficjalnych języków Indii. Prawo zalicza ich do grona 75 plemion szczególnie narażonych, wymagających opieki państwa. Ich los w wielu aspektach jest więc podobny do sytuacji słoń – żyją na kurczących się terenach, zależni od środowiska naturalnego. Potrzebują ochrony, by przetrwać.

Dwa słońciątka, których Boman poszukiwał w dniu rozdania Oscarów, były wówczas już od tygodnia same w lesie. Właściciel nielegalnego ogrodzenia elektrycznego, które zabiło ich matki, został aresztowany i oskarżony o zabójstwo zwierząt chronionych. Zaledwie dwa tygodnie później w tym samym okręgu w podobnych okolicznościach zmarł dorosły samiec o dorodnych kłach, który regularnie wychodził z lasu i krążył po polach, niszcząc uprawy.

Doniesienia o podobnych konfliktach wynikających z przecinania się obszarów przyrodniczych z wiejskimi wypełniają indyjskie gazety regularnie. W końcu lutego w stanie Karnataka pojmano słoń, który zdeptał dwoje ludzi. W tym samym czasie na wschodzie kraju, w stanie Jaharkhand, trwała oblawa na słoń obwołałego przez lokalne media „łajdakiem”. Jego ofiarą padł na przykład rolnik, który wyszedł z domu o poranku za potrzebą. Innego mężczyznę słoń wybrał z tłumu obrzucających go kamieniami ludzi.

Ale słoń w Indiach odgrywają też zupełnie inną rolę. Wiele z nich, bardzo kosztownych w utrzymaniu, żyje w świątyniach – stanowią symbol ich powagi i zamożności. A zatrudniane są do rozmaitych zadań: od stania w bramie świątynnej i błogosławienia każdego, kto im na trąbie położy datek, po uczestnictwo w ogromnych paradach, gdy słoń wylądowane i ubrane w specjalnie szyte stroje są ujeżdżane przez mahutów, czyli trenerów. Obrońcy praw zwierząt nie mają wątpliwości, że dla słoń takie warunki – przebywanie w hałaśliwym tłumie, wśród odpalanych fajerwerków, bębnienia i krzyków – są ekstremalnie stresujące. Czasem zdarzają się wypadki, podrażnione lub wystraszone słoń traktują wiernych.

Częstszym problemem jest jednak niegodne i okrutne traktowanie zwierząt

przez ludzi. W połowie marca sąd w Kerali skazał dwóch świątynnych mahutów z Trissuru, dużego ośrodka religijnego, za torturowanie, bicie, wielokrotne zranienie i zakuwanie w kajdany dorosłego słońa o imieniu Abhimanyu. Tego samego dnia we wschodnim stanie Odisha znaleziono zwłoki dorosłej samicy – to ósme zabite zwierzę w ciągu roku w tej samej okolicy. Podejrzani są kłusownicy.

Ofiar przybywa więc po obu stronach konfliktu.

Status słoń w Indiach jest dwoisty. Z jednej strony napełniają Indusów dumą. Od 2010 r. mają status zwierzęcia kluczowego dla dziedzictwa narodowego; od 1992 r. działa rządowy program opieki nad dzikimi słońiami. Wizerunki słoń znajdują się na oficjalnych symbolach. Dla wyznawców hinduizmu słoń pozostaje najpopularniejszym i najbardziej lubianym bogiem. Ganeśa, w sanskrycie – pan zastępów – to bóg ukazywany jako



Na mapach obszary dla słoń są rozległe. W praktyce do końca stulecia słoń mają stracić ponad 40 proc. obecnie przyznanym im terenów.

pulchny młody mężczyzna z głową słońa i jednym kłem.

Formalnie dzikie słoń żyją w 33 specjalnie utworzonych rezerwach. Tyle że określenie „rezerwat” jest mylące, ponieważ wedle prawa nie narzuca obowiązku ochrony terenów, np. przed wycinaną czy budową dróg. To po prostu tereny leśne, mające przynosić dochód. A największym problemem słoń indyjskich jest brak niezakłóconej przestrzeni do życia.

Dorosły słoń potrzebuje ok. 800 km kw. terenu, po którym może swobodnie wędrować i żerować. Tymczasem słoń muszą pokonywać trasy szybkiego ruchu,

choć między zabudowaniami powstałymi na drodze ich tradycyjnych szlaków, przemieszczać się wzdłuż torów kolejowych. Często dochodzi do wypadków – słoń atakują samochody, wykolejają pociągi i same giną w kolizjach. Problem jest też z dostępem do wody – dla słoń trzeba kopać specjalne zbiorniki.

Na mapach obszary dla słoń są rozległe. W praktyce, według raportu magazynu „The Wire” z 2019 r., do końca stulecia słoń mają stracić ponad 40 proc. obecnie przyznanym im terenów: ich lasy będą wycinane, a w ich miejsce – szczególnie na północy kraju – mają powstać m.in. kopalnie węgla i innych surowców. Już dziś tereny leśne, które słoń mają do dyspozycji, są niewystarczające, a ze względu na zmiany klimatyczne coraz słabiej zabezpieczają ich olbrzymie potrzeby żywnościowe. Z tego powodu całe stada nawiedzają pola uprawne, plantacje kawy i herbaty, a także wsie. Szukają jedzenia. Szacuje się, że co roku niszczy 1 mln ha upraw i zabijają 500 osób. Trudniej oszacować, ile z nich umiera w odwecie: łapanych przez rolników, rażonych prądem, wpadających w pułapki – ginie tak nie mniej niż 100 zwierząt rocznie.

Wiele z tych zwierząt oddało Indiom ogromne przysługi.

Niedawno na emeryturę przeszedł 65-letni słoń (to prawie ustanowiony wiek zwalniający te zwierzęta z pracy), który wspierał policję w akcjach ratunkowych. W uznaniu rozwinięto czerwony dywan, salutował mu cały oddział. Ale jeszcze pięć lat temu 86-letnia słońca, notowana w Księdze rekordów Guinnessa jako najstarsza wśród słoń żyjących w niewoli, pracowała wciąż podczas festiwali religijnych w Kerali.

Szczęśliwą starość miał za to Rajan, jeden ze słoń przetransportowanych w 1970 r. na Andamany, archipelag w Zatoce Bengalskiej. Razem z rodzeństwem samiec pracował ciężko przy wycince drzew. Był wśród dziesięciorga słoń, które zmuszono, by nauczyły się pływać w słonej wodzie, podrażniającej ich oczy i skórę. Zwierzęta ciągnęły ciężkie bale i ładowały je na barki. Dopiero w 2002 r., gdy zakazano wycinki na wyspach, Rajan mógł odpocząć. Spędzał dni ze swoim mahutem, ich czuła więź przypominała tę ukazaną w „Zaklinaczach słoń”. Każdy dzień zaczęli od spaceru na plażę, gdzie słoń oddawał się zabawom i kąpielom w oceanie, które wyraźnie polubił. Zanurzał się cały, potrafił przepłynąć kilka mil. Na zdjęciach uwieczniła go kanadyjska fotografka Jody Macdonald. Rajan, ostatni na świecie pływający słoń, zmarł w 2016 r. Miał 66 lat. ■

Wcześni chrześcijanie: baranki czy wilki

Książka „Ciemniejszy wiek” Catherine Nixey to odważna polemika z mitem chrystianizacji pogańskiego Rzymu jako triumfu łagodności i tolerancji. Czy trafna? Pytamy dwóch badaczy historii – dr. Sławomira Poloczka i dr. Michała Baranowskiego.

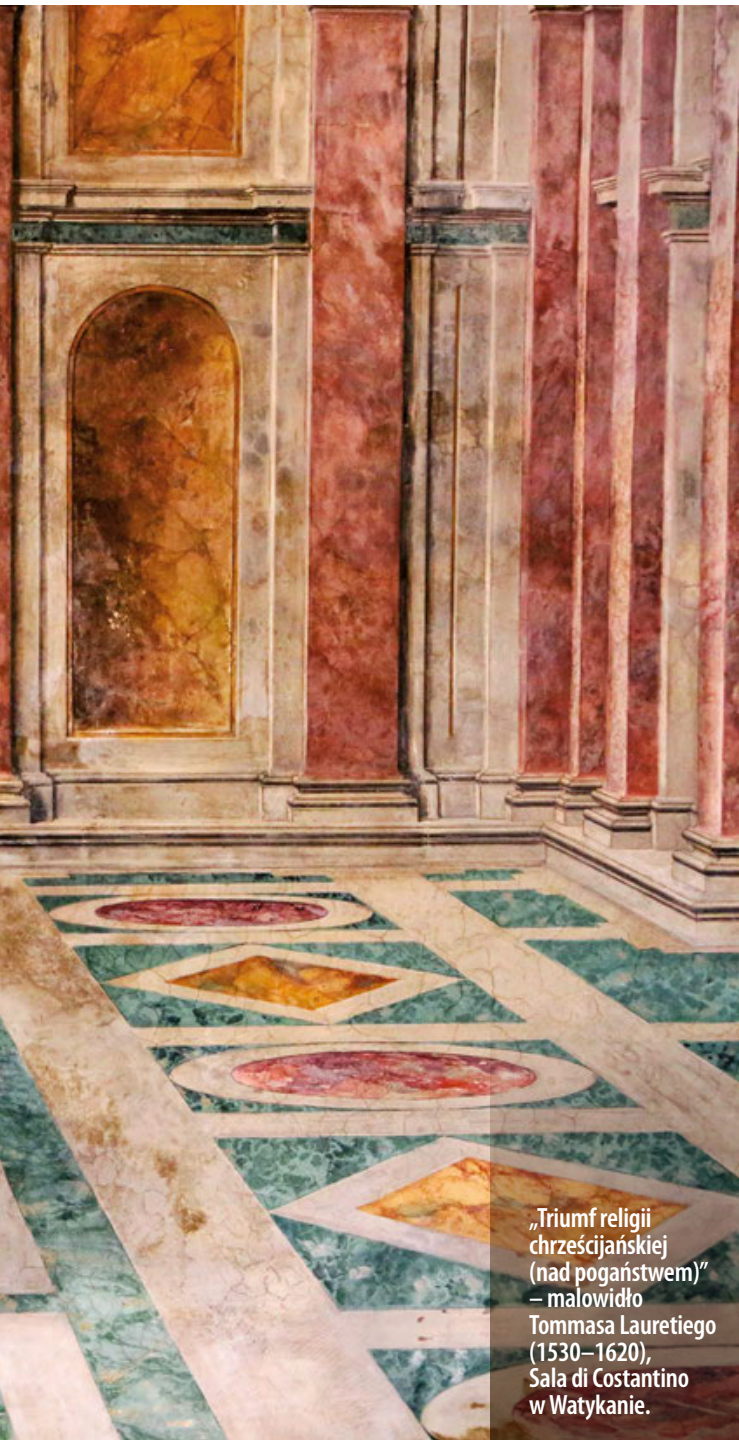


AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

ch prymitywne, bandyckie napady odznaczały się niezwykłą skutecznością. Za cel brali świątynie, a ich ataki okazały się zadziwiająco szybkie. (...) Palmirska świątynia Ateny-Allat stała się oczywistym celem napaści. (...) Zaraz po wejściu do sanktuarium mężczyźni wyjęli broń i jednym silnym uderzeniem zadali cios w potylicę Ateny, tak potężny, że głowa spadła na posadzkę. Nos bogini się złamał, gładkie niegdyś policzki pokruszyły, zostały tylko oczy spoglądające z oszpeconej twarzy. Samo ścięcie głowy nie wystarczyło napastnikom. Padały

kolejne ciosy, bogini została pozbawiona włosów i hełmu, który rozbito na drobne kawałki. Ciosy nie ustawały. Rzeźba zwała się z postumentu, odrąbano jej ramiona. Pozostał tylko leżący w pyłe korpus”.

W ten sposób Catherine Nixey, absolwentka studiów antycznych (*classic*), a dziś dziennikarka tygodnika „The Economist”, przedstawia pierwsze zdewastowanie Palmiry przez fanatycznych wyznawców Jezusa w 385 r. Opis ten, pochodzący z jej wydanej właśnie w Polsce książki „Ciemniejszy wiek. O niszczeniu świata klasycznego przez chrześcijan” (Wydawnictwo Filtry), mógłby jednak równie dobrze dotyczyć działań bojowników ISIS w 2016 r. Porównanie jest mocne, ale nie bezpodstawne.



„Triumf religii chrześcijańskiej (nad pogaństwem)” – malowidło Tommasa Lauretiego (1530–1620), Sala di Costantino w Watykanie.

© BE&W

Cień

Chrześcijańscy kronikarze ze szczegółami opisywali prześladowania współwyznawców za panowania Nerona, Decjusza, Waleriana i Dioklecjana. Nie wspominali za to, jak przebiegało wynoszenie ich Boga na ołtarze. W ten sposób myślenie o kresie antyku i początkach naszej ery zdominował obraz klasycznego Rzymu jako okrutnego i rozwiązłego, a wczesnochrześcijańskiego jako pryncypialnego i odważnego, ale też życzliwego i inkluzyjnego. Późniejsi historycy przejęli tę optykę. Pierwszym, który starał się przywrócić równowagę, był XVIII-wieczny starożytnik brytyjski Edward Gibbon. Dał jednak upust swojemu oświeceniowemu umiłowaniu antyku: idealizował antycznych Rzymian.

Widział w nich jedynie świadomych obywateli, bardziej zainteresowanych stabilnością państwa niż narzucaniem swoim poddanym religijnej ortodoksji. Za kryzys i upadek kultury klasycznej obwinił chrześcijan. Pilnymi uczniami Gibbona są m.in. autor 10-tomowej solidnie udokumentowanej „Kryminalnej historii chrześcijaństwa” Karlheinz Deschner i właśnie Nixey.

Także według niej na współczesny obraz nawrócenia Cesarstwa Rzymskiego nadal długim cieniem kładzie się triumfalizm chrześcijan. „Ciemniejszy wiek” to świetnie napisany, pełen emocji manifest, którego zadaniem jest obnażenie przewin wczesnego Kościoła wobec kultury pogańskiej. Książka wzbudziła ponowną debatę. Tym bardziej że krytyczne pisanie o przemocy chrześcijaństwa jest arcytrudne, ponieważ starożytne źródła są nieliczne, rozproszone i kwestionowane, a tłumy czytelników bezlitosne. Chociaż Nixey już we wstępie uczciwie zapowiada, że skupia się na opisie pogańskiej optyki, bo ta chrześcijańska doczekała się już całych bibliotek – zarzuca się jej błędy i nadinterpretacje.

Ból

Dr Sławomir Poloczek, starożytnik i badacz historii religii związany z Wydziałem Historii UW, nie zgadza się z Nixey, że ściganie pogan zaczęło się zaraz po nawróceniu Konstantyna Wielkiego w 312 r. Co prawda można powołać się na słynny „edykt mediołański”, który pozwalał na swobodę wyznawania chrześcijaństwa oraz nakazał zwrócić budynki i grunty kościelne gminom. Dokument ten był jednak jedynie reskryptem, czyli odpowiedzią w formie listu na zapytanie urzędników. Większe znaczenie zapisowi nadano dopiero w XV w.

Problematyczny jest też wydany przez syna Konstantyna Wielkiego, Konstancjusza II, dokument zakazujący – ponoć pod groźbą śmierci – składania ofiar starym bogom. – *Tymczasem nie ma w nim informacji o jakimkolwiek wymiarze kary, stąd wielka dyskusja, czy ustawodawstwo za tych władców znajdowało w ogóle zastosowanie w praktyce* – mówi dr Poloczek. – *Faktem natomiast jest, że Euzebiusz z Cezarei pisał, jakoby cesarz ten nakazał zburzenie kilku świątyń. Archeolodzy nie znaleźli jednak na to potwierdzenia. Dlatego nawet jeśli na Bliskim Wschodzie rzeczywiście dochodziło wówczas do lokalnych pogromów pogan, to pierwszy przypadek, w którym władza państwowa wsparła burzenie świątyń, miał miejsce w Apamei w 386 r. Do pomocy w burzeniu tego monumentu wysłano wojsko, bo garstce fanatyków na pewno by się to nie udało.*

Z tym ostatnim stwierdzeniem nie zgadza się dr Michał Baranowski z Centrum Badania Ryzyka Systemowego „Artes Liberales” na UW, znawca późnego cesarstwa. Twierdzi, że większość świątyń zaczęła niszczyć już podczas kryzysu gospodarczo-politycznego w III w., a rosnące wpływy chrześcijaństwa tylko istniejący problem pogłębiły. – *Ponieważ Julian Apostata – cesarz, który wrócił do pogaństwa – uważał, że ludzie zapomnieli, jak to się robi, w 362 r. napisał list z instrukcją, w jaki sposób składać ofiary bogom. Może mówienie, że pierwsze represje zaczęły się za Konstantyna to nadużycie, ale nawet jeśli za składanie ofiar nie groziła kara śmierci, to zakaz ich składania i walk gladiatorów musiały pogan zabość.*

Systemowe represje wobec nich zaczęły się za Teodozjusza I (zm. 395). Wcześniej nie były możliwe także dlatego, że większość obywateli cesarstwa była pogańska. – *Sam Konstantyn był dzieckiem swoich czasów. Jedną z jego ustaw głosiła, że jeśli piorun uderzy w publiczny budynek, to należy skonsultować się z haruspikami, czyli pogańskimi wróżbitami* – mówi dr Poloczek. A dr Baranowski zwraca uwagę, że jeszcze w 382 r. w senacie rzymskim istniało silne stronnictwo pogańskie, które minimalnie przegrało w głosowaniu o zachowanie ołtarza bogini Wiktorii ►

► w Kurii Rzymskiej. – *Doszło do tego zapewne tylko dzięki głosom tych pogan, którzy chcieli wkuścić się w łaski chrześcijańskiego cesarza Gracjana. Bo trzeba podkreślić, że ogromny sukces nowej wiary wziął się głównie stąd, że na tronie cesarskim zasiadli wyznawcy Chrystusa.*

Fanatyzm

Z końcem IV w. zaczęło się niszczenie pogańskiego dziedzictwa kulturowego. Stąd atak na świątynię i zombicie posągu Ateny-Allat z Palmiry w 385 r. czy zrównanie z ziemią sanktuarium boga Serapisa w Aleksandrii siedem lat później. Rzeźbom obfukiwano nosy i uszy, wydlubowano oczy, na czołach wykuwano krzyże. Ten apetyt na niszczenie wiązał się z lękiem przed demonami. Wielu starożytnych chrześcijan wierzyło bowiem, że świat jest miejscem pełnym złowrogich istot nadprzyrodzonych, które mieszkają w posągach starych bogów. Uważali zatem, że ich obowiązkiem jest niszczenie „pogańskich” rzeźb. I palenie ksiąg. Według fanatycznych chrześcijan były to akty nie większej przemocy niż amputacja kończyny objętej gangreną.

Dr Poloczek przyznaje, że wcześni chrześcijanie rzeczywiście mieli poważny kłopot z posągami bóstw pogańskich. Z jednej strony w Księdze Psalmów czytamy, że „bóżki pogańskie to srebro i złoto, dzieło rąk ludzkich. Mają usta, ale nie mówią, mają oczy, ale nie widzą”, z drugiej to, że bogowie pogan to demony, sugeruje sam św. Paweł. – *W religijności ludowej zwyciężyła ta druga opcja, ponieważ sposoby unieszkodliwiania tych rzeźb miały charakter czysto magiczny, a takie praktyki były znane gdzie indziej. Dlatego nie wszystkie zniszczenia można przypisać chrześcijanom. Wymłotkować twarze faraonów czy bóstw mogli inni ikonoklaści, np. muzułmanie. Na pewno jednak nie ma żadnej przesady w opisach wyczynów parabolanów, czyli mniszych bojówek, które w imię boże dopuszczały się zniszczeń i rozbojów. Problem z nimi był tak duży, że wprowadzano przepisy zakazujące im wchodzenia do miast.*

Jednym z takich fanatyków był żyjący na przełomie IV i V w. Szenute, opat Białego Klasztoru w Sohag (dziś Sauhadz w południowym Egipcie). Jego zapalczywa pobożność przejawiała się tym, że stojąc na czele bandy parabolan, włamywał się do domów pogan i niszczył i rozkradał ich własność. Nie przeszkodziło mu to zostać obwołanym świętym Kościoła koptyjskiego i uznanym za reformatora życia monastycznego.

Nieciągłość

Masy chrześcijańskie na pewno nie mówiły jednym głosem, skoro nawet w antypogańskim zbiorze praw z późnego cesarstwa zwanym „Kodeksem Teodozjańskim” jest zapis nakazujący, by zostawić świątynię starych bogów w spokoju, ponieważ mają wartość zabytkową i odbywają się w nich zgromadzenia miejskie. To pokazuje, że chrześcijańskim ustawodawcom wcale nie podobały się działania fanatyków. – *Z punktu widzenia pogańskiego arystokraty chrześcijaństwo wyracało utrwalony od wieków porządek: rzywało z religią przodków i pax deorum [jeśli Rzymianin postępował w zgodzie z przykazami bogów, oni mieli mu sprzyjać – przyp. red.] – podkreśla dr Poloczek. – Historyk Zosimos za inwazję barbarzyńców i zdobycie Rzymu w 410 r. przez wizygocką armię Alaryka obwiniał chrześcijan, którzy złamali przymierze ze starymi bogami. Najwyraźniej nawet oni musieli czuć się niewswojo, skoro w „Państwie Bożym” św. Augustyn tłumaczy, dlaczego nie jest to wina jego współwyznawców.*

Za koniec antycznej myśli słusznie uznaje Nixey zamknięcie w 529 r. przez cesarza Justyniana reaktywowanej przez Plutarcha z Aten w IV w., a założonej przez samego Platona Akademii. Symbolem „zamachu” na neoplatonicką filozofię jest uwięzienie, torturowanie, a nawet zabicie przez chrześcijan myślicieli związanych z tym ośrodkiem, a w końcu ucieczka z Aten ostatniego jego kierownika Damascjusza do Persji. W VI w. uprawianie filozofii i lektura ksiąg antycznych stwarzały ryzyko. Św. Hieronim, który nie był w stanie wyzwolić się z miłości do literatury klasycznej, miewał koszmary, w których słyszał zarzut, że nie jest dobrym chrześcijaninem, tylko wielbicielem Cycerona. Czyżby wyznawcy Jezusa bali się filozofii antycznej, bo nie zgadzała się z ich poglądami? Według dr. Poloczka nie każdy z nich palił książki, by celowo doprowadzić do destrukcji spuścizny antycznej. Tym bardziej że niektórzy wybitni chrześcijanie mieli takie same wykształcenie jak ich pogańscy koledzy: biegle pisali po łacińsku i grecku, znali retorykę, filozofię i klasyczną literaturę. – *Wiele dzieł, w tym wspomniane „Państwo Boże”, jest upstrzonych cytatami filozoficznymi i odniesieniami do antycznych autorów. Wczesnochrześcijański intelektualista Orygenes podejmował wręcz polemikę z poglądami filozofa i krytyka chrześcijaństwa – Celsusa. Nie po to, by zniszczyć dziedzictwo filozofii pogańskiej, tylko chcąc wykazać jej słabości.*

Z tym że św. Augustyn, św. Hieronim czy Orygenes to intelektualiści, tymczasem zwykli chrześcijanie w zdecydowanej większości byli niepiśmienni. To spośród nich rekrutowało się najwięcej zelotów, którzy burzyli świątynie, niszczyli posągi i palili księgi. Listy św. Cezarego z Arles z VI w., który opisuje, że chrześcijanie, z którymi się modli w kościele, i tak nadal wznoszą toasty ku czci Diany czy Jowisza, podobnie jak ich dziadowie. Wszyscy mieli po prostu „pogańskie dusze”, podkreśla Baranowski. – *Gdy za namową biskupa Aleksandrii Teofila tłum fanatyków zburzył Serapejon, kościoła nie zbudowano na jego miejscu, tylko tuż obok. Z powodu przesądów bano się wznieść „dom Pana” na ziemi, na której jeszcze niedawno modlono się i składano ofiary „demonom”. To też przyczyna, dla której tak niewiele świątyń starych bogów przerobiono na kościoły. W późnym antyku chrześcijanie i pogan łączyła ta sama mentalność. Intelektualiści chrześcijańscy też byli ludźmi swojej epoki. Przykładem jest chociażby kwestia niewolnictwa – Kościołowi nie zależało na jego zniesieniu, bo jego hierarchowie i ich rodziny byli właścicielami olbrzymich włości, na których ktoś musiał pracować.*



Przemoc

„Pewnego dnia, w marcu 415 r., Hypatia wyszła z domu, żeby odbyć swoją codzienną przejażdżkę po mieście. Nagle drogę zatarasowała jej »rzesza wyznawców Boga«. Zażądali, aby zeszła z wozu. (...) Gdy tylko stanęła na ulicy, parabolanie pod wodzą Piotra Lektora – »pod każdym względem nienagannego wyznawcy Chrystusa« – rzucili się na nią ze wszystkich stron i pojмали »pogankę«. Następnie zawlekli największą żyjącą matematyczkę przez ulicę Aleksandrii do kościoła. Wewnątrz świątyni zdarli z niej szaty, a następnie za pomocą fragmentu potłuczonego naczynia glinianego obdarli ze skóry. Mówiono, że gdy jeszcze żyła, wyłupiono jej oczy. Ciało Hypatii zostało rozerwane na kawałki, a szczątki »światlistego dziecięcia rozumu« złożono na stosie pogrzebowym i spalono» – tak pojmanie i egzekucję filozofki opisuje Catherine Nixey. Do tego czynu w płomiennych kazaniach namówił podatnych na sugestie parabolan biskup Aleksandrii Cyryl.



Palenie ksiąg arianskich – ilustracja z kompendium prawa kanonicznego opracowanego w północnych Włoszech ok. 825 r.

– Inicjowanie aktów przemocy nie było jednak dominującym mechanizmem – twierdzi dr Poloczek. – O wiele powszechniejsze było ciche przyzwolenie biskupów na tumulty i wandalizmy. Przykładem mogą być pisma św. Augustyna, w których wyraża aprobatę dla niszczenia świątyni Junony Caelestis w Kartaginie. Zdarzało się też, że poganie dostawali rykoszetem, gdy dochodziło do starć między różnymi odłamami chrześcijaństwa, spierającymi się o sprawy doktrynalne. Przykładem jest zabójstwo biskupa Georgiosa z Kapadocji w 361 r., który sprofanował świątynię pogańską, by postawić kościół arianski – w linczu na nim wzięli udział zarówno poganie, jak i chrześcijanie.

Ojcowie Kościoła swoimi srogimi odezwaniami nie każdego nakłonili do niszczenia wszystkiego, co antyczne. Piętnujący pogan język kładł jednak fundamenty pod narastający ucisk chrześcijańskiej teokracji. – Niezależnie od tego, jak byśmy próbowali tłumaczyć chrześcijaństwo, jak każdy monoteizm było ono przemocowe, a jego mariaż z władzą nie dawał szans religiom tradycyjnym – stwierdza dr Baranowski.

Gdy św. Szenute wprowadzał porządkę w zakładanych przez siebie klasztorach, karał mnichów chłostą do krwi za posiadanie mogących prowadzić do grzechu przedmiotów zbytku. Ograniczenia dotyczyły też zwykłych ludzi. Za teologiem Tertulianem powtarzano, że szatan zastawia na cnotliwych pułapki w postaci zmysłowych przyjemności, dlatego należy unikać łaźni, uczt i spektakli teatralnych. Czy można zatem zarzucić chrześcijaństwu, że zakazało ludziom śmiać się i korzystać z fizycznych, artystycznych i intelektualnych przyjemności? – *I tu można się spierać, bo upadek*

teatrów oraz łaźni wiązał się nie tylko z rządami chrześcijańskich władców, ale z sięgającym III w. kryzysem miast. Z humorem też bywało różnie. Satyra Lukiana z Samosaty, który w II w. wyszydzał współczesne sobie fenomeny religijne, w tym chrześcijaństwo, przetrwały, bo mnisi kopiowali jego teksty. Najwidoczniej i oni go doceniali – przypomina dr Poloczek.

Dr Baranowski uważa, że Cesarstwo Wschodniorzymskie słusznie czuło się prawdziwym dziedzicem Imperium Romanum, bo to tam długo jeszcze stały na ulicach nagie posągi, działały teatry, pisano satyry i czytano literaturę erotyczną z wątkami homoseksualnymi. – *Tylko w Bizancjum miały szansę zachować się dzieła Lukiana, bo zachodnie chrześcijaństwo taką klasykę zupełnie odrzuciło. Błędem Nixey jest, że zupełnie nie zauważa tej ogromnej różnicy między greckojęzycznym Cesarstwem Wschodniorzymskim a łacińskojęzycznym Zachodem.*

Nixey przyznaje, że długo w późnoantycznych i średniowiecznych chrześcijanach widziała oświeconych kuratorów klasycznej dziedzictwa, pilnie kopiujących w klasztorach skrytoriach teksty antycznych filozofów i pisarzy, aby ocalić je od zapomnienia. Jej poglądy uległy zmianie, gdy odkryła, że pierwsi chrześcijanie znacznie częściej zamykali i płałowali akademie i świątynie, niszczyli dzieła sztuki i zabraniali tradycyjnych praktyk, niż je chronili.

– *Faktem jest, że choć chrześcijanie w Bizancjum starali się kontynuować tradycje antyczne, wyszło im średnio, bo zachowało się z nich zaledwie kilka procent. Z tym że tak naprawdę główną przyczyną było nie tyle intencjonalne niszczenie wszystkiego co klasyczne, tylko brak zainteresowania, aby to pielęgnować – uważa dr Poloczek. Według dr. Baranowskiego chrześcijaństwo antyk stopniowo „skubało” i z czasem jednak kompletnie zmieniło świat. – Zgadzam się z opinią francuskiego starożytnika Paula Veyne’a: podczas gdy średniowiecze nadal istnieje – bo średniowieczne kościoły działają, a myśli ówczesnych filozofów są żywe – antyk zanikł.*

Niejasność

Prof. Tim Whitmarsh, badacz antyku z Cambridge, napisał w 2017 r. w „Guardianie”, że słabością książki Nixey są jej oświeceniowo-gibboniśkie korzenie i pokazywanie antyku jako bardziej dobrotliwego i racjonalnego niż chrześcijaństwo, które oznaczało początek tytułowej „ciemniejszej epoki”. Zauważa, że z jej książki można wywnioskować, iż chrześcijaństwo było reakcją konserwatywną, podczas gdy pod pewnymi względami było bardzo postępowe, a z początku wręcz rewolucyjne – gdy do wspólnoty na zasadach równościowych przyjmowano kobiety i niewolników. Co prawda Kościół już w III w. zaczął marginalizować znaczenie kobiet, długo też dojrzywał, by w końcu potępić niewolnictwo, ale dokonał pewnej epokowej zmiany. – *Każdy wierny – również niewolny – miał prawo wejść do kościoła i wysłuchać nauk, co nie było możliwe w żadnym kulcie tradycyjnym. Dzięki temu rzesze ludzi pierwszy raz miały kontakt ze słowem, nie tylko z praktyką religijną. Ale faktem jest też, że to samo słowo mogło zachęcać do przemocy w imię boga – zwraca uwagę dr Baranowski.*

Obydwaj rozmówcy przyznają, że autorka „Ciemniejszego wieku” doskonale zna źródła, ale traktuje je dość wybiórczo, co sprawia, że przedstawiony w niej obraz późnego antyku jest nazbyt uproszczony. Prof. Whitmarsh też podkreślał, że Nixey nie pokazuje niezwykle złożonych dziejów wczesnego chrześcijaństwa i jego związku z Cesarstwem Rzymskim. I nie tłumaczy subtelności świata, który znajdował się w stanie nieustannej metafizycznej wojny. Jej książka jest odważną polemiką z niezwykle utrwalonym mitem, który przedstawia chrystianizację Rzymu jako triumf łagodności i tolerancji. A przecież każdy monoteizm ma kłopoty zarówno z jedną, jak i z drugą.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Podróż z dołka

Ketamina może być wybawieniem dla chorych na depresję, którym tradycyjne leki nie przynoszą ulgi.

PAWEŁ WALEWSKI

Każdy lek jest trucizną, każda trucizna lekiem – nauczał w XVI w. Paracelsus, wytrawny badacz roślin leczniczych i twórca alchemii. Chodzi o wielkość dawki: musi zostać właściwie dobrana. Ta uniwersalna reguła zbyt rzadko bywa przywoływana w kontekście związków zmieniających stan świadomości. Doskonałym przykładem jest ketamina, lek wynaleziony w 1963 r. na potrzeby lekarzy frontowych w Wietnamie, by mogli szybko na polu walki znieczulać rannych żołnierzy. Od tamtego czasu anestezjologowie potwierdzają, że jest to środek bezpieczny, jeśli stosowany zgodnie z zaleceniami i pod opieką lekarza.

W drugiej dekadzie XXI w. ten psychodelik (od greckiego „odślaniać umysł”) zdobywa zaś coraz większe uznanie w przerywaniu lekoopornej depresji. Kłopot w tym, że od 60 lat miliony ludzi stosują ketaminę również w celach rekreacyjnych, jako klubową używkę, po której doznają przyjemnych halucynacji. Wpisano ją więc na listę substancji szkodliwych i obwarowano restrykcjami. Za taką decyzją przemawia też przykład Chin, z ponad milionem osób uzależnionych od tego specyfiku, albo Stanów Zjednoczonych, w których dziesiątki pacjentów z objawami depresji stosuje ją w zawyżonych dawkach bez lekarskiego nadzoru.

Tylko czy z tego powodu należy utrudniać dostęp do skutecznej terapii nawet tym, którzy mogliby z niej bezpiecznie skorzystać? Depresja lekooporna, z którą zmagają się na świecie kilkadziesiąt milionów ludzi niereagujących na klasyczne przeciwdepresanty, jest dziś jednym z najdotkliwszych problemów zdrowotnych i społecznych. – *Najgorszym postępowaniem w takim przypadku jest wielotygodniowe żonglowanie lekami, które nie przynoszą efektów. Dlatego nie warto odrzucać żadnej strategii leczenia, która wyrwie pacjenta z matni* – mówi prof. Wiesław Jerzy Cubała, kierownik Kliniki Psychiatrii Dorosłych Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, który od ponad dekady prowadzi badania nad różnymi formami podawania ketaminy.

Krajowy konsultant ds. psychiatrii prof. Piotr Gałecki, zazwyczaj ostrożnie wypowiadający się na temat nowatorskich terapii, w tym wypadku potwierdza: – *To nie jest humbug!*

Otwieranie umysłu

Dr Piotr Marcinowicz prywatną praktykę, w której podaje chorym ketaminę, otworzył w Warszawie w 2020 r., sześć lat po zakończeniu studiów i niedługo po zdanym egzaminie specjalizacyjnym: – *Byłem pierwszym w Polsce psychiatrą, który*



już miesiąc po zarejestrowaniu na polskim rynku donosowej odmiany zaczął oferować dużo tańszą, dożylną.

Dziś nie jest jedyny, choć gdy przyjmuje zaproszenia na wykłady, odnosi wrażenie, że większość lekarzy jego specjalności wciąż nie słyszała o przeciwdepresyjnym potencjale tego środka. Na studiach ani stażach raczej się o tym nie mówi – choć badania pod tym kątem rozpoczęto na świecie pod koniec XX w. Najwięcej doświadczeń mają anestezjolodzy, ratownicy medyczni i weterynarze. Dla nich jest nie tylko względnie bezpieczną, ale też wygodną substancją o działaniu znieczulającym. Choć nie korzysta się z niej powszechnie w mainstreamowej medycynie, nadaje się do zabiegów krótkotrwałych: nastawiania złamanych kości, hamowania bólu porodowego, bolesnych zmian opatrunków, a u zwierząt do znieczulania przedoperacyjnego.

Skąd działanie przeciwdepresyjne? Może ono wynikać ze wzrostu aktywności glutamianu (jednego z neuroprzekazników w mózgu; coraz więcej prac badawczych wskazuje na spadek jego przekazywania w trakcie depresji). Przede wszystkim chodzi jednak o zdolność ketaminy do wpływania na niemal wszystkie receptory ośrodkowego układu nerwowego, w które klasyczne leki przeciwdepresyjne nie celują (głównie regulują poziomy serotoniny i noradrenaliny). Brytyjski psychofarmakolog z Imperial College w Londynie, badacz psychodelików, prof. David Nutt twierdzi, że dodatkowa użyteczność tego środka przy leczeniu depresji wynika właśnie z tego, że zniekształca czas i przestrzeń. – *Psychodeliczne podróże, które odbywają pacjenci pod jej wpływem, uwalniają z uścisku negatywnych myśli. Później na codzienne problemy można spojrzeć z innej perspektywy, co ma ogromną wartość psychoterapeutyczną* – potwierdza opinię brytyjskiego eksperta dr Marcinowicz.

Ważne jednak, że ketamina nie działa w pojedynkę. We wszystkich zaleceniach wyraźnie zaznaczono, że należy ją dołączać do wcześniejszego schematu leczenia z wykorzystaniem typowych antydepresantów. Jej wpływ ujawnia się nadszybczo – według prof. Gałęckiego już w ciągu 1–2 dni przynosi redukcję nasilenia objawów depresyjnych. Jednocześnie przyspiesza działanie leków, które dałyby efekty dopiero po 3–4 tygodniach albo wcale.

Dr Marcinowicz, który w swojej placówce przeprowadza 100 zabiegów miesięcznie, zaobserwował, że treści psychodelicznych podróży są dużo ciekawsze i bardziej optymistyczne u pacjentów, którzy zażywając ketaminę, pozostają przy klasycznym leczeniu niż u tych, którzy z niego nie korzystają. – *Ten środek intensywnie wyrwa ze schematów odbioru rzeczywistości* – zaznacza. Ale akurat u chorych na uporczywą depresję przynosi to dobry skutek. – *Jeśli ktoś nieraz od kilkunastu lat jest w epizodzie depresyjnym, to jego drogi neuronalne w mózgu są nastawione głównie na cierpienie. Ketamina uwalnia od myślenia tunelowego i chory odczuwa nagły przyływ optymizmu, poczucie, że może wiele zmienić.*

Odbieranie nadziei

Amerykańskie i europejskie urzędy zarejestrowały ketaminę w leczeniu depresji lekoopornej i stanów nagłych (gdy chory grozi samobójstwem) odpowiednio w 2019 i 2020 r. Ale tylko dla formy donosowej – esketaminy. – *Wytwórca tego leku podjął ogromny wysiłek, który doprowadził do największego przełomu w farmakologii depresji od 30 lat. W Polsce miesięczna terapia może kosztować kilka tysięcy złotych, ale mam nadzieję, że doczekamy się refundacji* – mówi prof. Cubała. Co dzieją się pacjenci, którzy byli uczestnikami badań klinicznych ►

ILUSTRACJE MIROSLAW GRYN



► doprowadzających do rejestracji tego leku na świecie, pochodził właśnie z Polski i stosował esketaminę w gdańskiej Klinice Psychiatrii Dorosłych UW.

Dr Marcinowicz z kolei stosuje ketaminę dożylną, czyli działa tak jak w anestezjologii (choć w dawce przeważnie dwukrotnie mniejszej) – wychodzi dużo taniej i według niego bezpieczniej. Zdaniem prof. Gałęckiego, krajowego konsultanta ds. psychiatrii, stosowanie dożylną ketaminy u chorych z depresją lekooporną jest co prawda obarczone większym ryzykiem prawnym, ale – mimo rejestracji wyłącznie formy donosowej – dozwolone. Formalnie nazywa się to zastosowaniem leku *off-label*, co bywa coraz częstszą praktyką, kiedy lek z danej klasy zdobył już licencję w jakimś wskazaniu, ale nie dla każdej postaci (dla wszystkich wymagane są oddzielne badania). Na lekarzu ciąży osobista odpowiedzialność w przypadku pojawienia się nieprzewidzianych działań niepożądanych. – *Wciąż testujemy w Gdańsku bezpieczeństwo esketaminy, ale też sprawdzamy pozarejestrowane zastosowanie ketaminy dożylną oraz podskórnej i doustnej w postaci roztworu* – mówi prof. Cudała.

Tymczasem, jak pisał niedawno „The New York Times”, ketamina stała się łatwym do zdobycia na czarnym rynku narkotykiem „na depresję i nie tylko”. A ponieważ większość Amerykanów pozbawionych ubezpieczenia leczy się nią na własną rękę, coraz częstsze stało się nadużywanie ketaminy. Doprowadza to nie tylko do uzależnienia, ale i poważnych następstw zdrowotnych. Zauważyli to już w 2010 r. także brytyjscy lekarze rodzinni, zaniepokojeni wzrostem liczby młodych mężczyzn poszukujących pomocy, u których pojawiały się – powiązane z przyjmowaniem ketaminy – kłopoty z układem moczowym. Ich pęcherz się kurczył, odczuwali więc nieprzyjemne parcie i ból, a w skrajnych przypadkach dochodziło do wrzodzących zapaleń wymagających rekonstrukcji lub całkowitego usunięcia tego narządu. Dziś Stany Zjednoczone borykają się z identycznym problemem – wśród poszkodowanych są również osoby chore na lekooporną depresję, które przyjmują ketaminę na własną rękę.

– *Dlatego kwalifikacja ma tak istotne znaczenie* – podkreśla dr Więckiewicz, zapowiadając, że w Tarnowskich Górach będą ten lek podawać jedynie przy niepowodzeniach innych terapii przeciwdepresyjnych lub u chorych z bardzo wysokim ryzykiem

Trzeba być dobrze przygotowanym, aby móc przeżyć psychodeliczne podróże, w które zabiera ketamina.

W Tarnowskich Górach, na tutejszym Oddziale Klinicznym Psychiatrii (działającym przy Wydziale Nauk Medycznych w Zabrzu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego), nie czekano na zakończenie tych badań i w marcu również rozpoczęto podawanie ketaminy dożylną. – *Doświadczenia z różnych miejsc na świecie wskazują na lepsze efekty tej formy leku* – mówi dr Gniewko Więckiewicz, który nadzoruje ten program w jedynej na Śląsku publicznej placówce.

Ale nie tylko cena leku i brak doświadczenia lekarzy utrudniają do niego dostęp w publicznych szpitalach. Organizacja systemu leczenia psychiatrycznego w Polsce nie przewiduje podawania takiego specyfiku w ambulatorium bez hospitalizacji. Mogą sobie na to pozwolić ośrodki prywatne, w których pacjent sam finansuje leczenie. Na przykład w ośrodku dr. Marcinowicza po lekarskiej i psychologicznej kwalifikacji oraz skompletowaniu wyników badań ogólnego stanu zdrowia chory otrzymuje 6 dawek w ciągu pierwszych trzech tygodni, a następnie – w zależności od rezultatów kuracji – częstość zabiegu systematycznie spada. Dodatkowo po każdym zabiegu prowadzona jest sesja integrująca doświadczenie psychodeliczne. – *Kontrakt z NFZ takiego trybu leczenia nie przewiduje* – wyjaśnia dr Więckiewicz. – *Leczenie podtrzymujące ma jednak bardzo istotne znaczenie i najlepiej je kontynuować w formie ambulatoryjnej* – przyznaje prof. Cudała.

Oswajanie ryzyka

Interesująco zapowiada się zastosowanie doustnych tabletek o spowolnionym uwalnianiu. W USA już teraz dostępna jest ketamina w pastylkach oraz drażetkach do ssania. Takie rozwiązanie nie okazało się jednak bezpieczne w czasach pandemii, gdy recepty wystawiano podczas teleporad. Liczba pacjentów z rozpoznaną depresją, którym w ten sposób zaordynowano ketaminę, wzrosła w USA dwukrotnie.

próby samobójczej. – *Chcemy, aby była to dodatkowa forma leczenia, tak jak stosowane przy depresji lekoopornej elektrowstrząsy. Byle nie wszystko naraz, bo później nie wiadomo, co faktycznie przyniosło dobry efekt lub wywołało działania niepożądane.*

Dr Piotr Marcinowicz utrzymuje, że choć Polskie Towarzystwo Psychiatryczne zaleca ketaminę jedynie w depresji lekoopornej, są liczne badania na temat jej skuteczności w innych chorobach. – *Dopuszczamy do terapii pacjentów z zespołem stresu pourazowego, lękami, natręctwami, zaburzeniami psychosomatycznymi. Był nawet chory z lekkimi zaburzeniami ze spektrum autyzmu, który dzięki ketaminie zaczął patrzeć ludziom w oczy, choć nie robił tego przez 40 lat.*

Zdaniem dr. Marcinowicza amatorzy używki, którzy chcą się po prostu oderwać od rzeczywistości, do jego placówki nie mają po co przychodzić – zostaną wykluczeni przez lekarza i psychotherapeutów. – *Nie dopuszczę do niej tych, którzy wybierają drogę na skróty, błędnie uważając, że odmieni im życie i wykona za nich ciężką pracę psychoterapeutyczną. Trzeba być dobrze przygotowanym, aby móc przeżyć psychodeliczne podróże, w które zabiera ketamina.*

Dla tych osób, które działają w porozumieniu z medykami, lek jest bezpieczny. Prof. Wiesław J. Cudała: – *Moi koledzy po fachu nie powinni się jej obawiać, bo to może być nieraz najskuteczniejszy ratunek dla pacjenta.*

Polska psychiatria jest jeszcze zbyt zachowawcza, ale rozkwit prywatnego sektora, w którym pracuje młode pokolenie lekarzy, bardziej otwartych na nowatorskie metody, może przynieść tu zmiany. Dr Marcinowicz podsumowuje: – *Choć klasyczne leki przeciwdepresyjne są w wielu sytuacjach doskonałe, nie każdemu potrafią pomóc. Dlatego trzeba leczyć po nowemu.*

I znów wspomnijmy Paracelsusa: gdzie są choroby – tam są odpowiednie lekarstwa. Trzeba tylko umieć je stosować.

PAWEŁ WALEWSKI

Monarcha nieoświecony

Księżę Karol jako następca brytyjskiego tronu wielokrotnie atakował współczesną naukę, medycynę i wartości oświecenia. Czy będzie tak robił również jako **król Karol III**?

MARCIN ROTKIEWICZ

The British Medical Association to szacowana organizacja zawodowa skupiająca ponad 170 tys. lekarzy. Gdy w 1982 r. obchodziła 150-lecie istnienia, jej członkowie powołali na roczną kadencję nowego i wyjątkowego przewodniczącego: Karola, księcia Walii i następcę tronu. Miało to dodać splendoru obchodom okrągłej rocznicy, m.in. dzięki przyciągnięciu uwagi mediów. Lekarze nie oczekiwali od 34-letniego księcia niczego wyjątkowego, jedynie wygłoszenia kilku kurtuazyjnych przemówień i uświetnienia swoją obecnością jubileuszowych imprez.

Jedna z nich odbyła się pewnego grudniowego wieczoru 1982 r., kiedy grupa reprezentantów medyków należących do BMA zebrała się na uroczystej kolacji, którą miał zaszczyścić wystąpieniem księżę Karol. Przypuszczano, że podsumuje w nim osiągnięcia i historię stowarzyszenia, tymczasem następca tronu zaserwował słuchaczom zimny prysznic. Pod adresem medycyny padły zarzuty zamykania się na inne „niekonwencjonalne i tradycyjne” nurty leczenia. Karol zauważył też, iż to, co dziś wydaje się nieortodoksyjne, jutro może stać się „kanoniczne”, oraz pouczył w kwestii dążenia do bardziej holistycznego traktowania pacjentów.

Gdyby jego wystąpienie wynikało wyłącznie z troski o podmiotowe podejście do ludzi i całościowe analizowanie ich problemów zdrowotnych, pewnie nie wywołałoby zdziwienia i negatywnych reakcji. Krytyka ze strony brytyjskiego arystokraty miała jednak znacznie głębsze ideologiczne podłoże. Karol podsumował swoją postawę kilkanaście lat później, w 2010 r., gdy wyznał publicznie, iż dumny jest z bycia nazwanym „wrogiem oświecenia”. Rzeczywiście, w ciągu swojego dorosłego życia wielokrotnie udawał, jak bliskie są mu idee w stylu ruchu New Age, czyli wiara w dokonującą się na naszych oczach przemianę: wychodzenie ludzkości z epoki rozumu i wkraczanie w wiek duchowości. Dlatego zaczął energicznie promować pseudonaukowe nurty tzw. medycyny alternatywnej.

Choć o księciu Walii napisano już tysiące tekstów (nie licząc książek biograficznych), powyższy aspekt jego życia nie jest dobrze znany. I pewnie można by go traktować jako dziwactwo arystokraty, gdyby nie fakt, że członkowie brytyjskiej monarchii stali się globalnymi celebrytami mającymi wpływ na opinię publiczną nie tylko w swoim królestwie. Karol jest też dziś królem Karolem III, który 6 maja założył na głowę koronę władcy ▶



► Wspólnoty Narodów podczas podniosłej uroczystości w Opacwie Westminsterskim. I choć brytyjska monarchia to dziś niemal wyłącznie symboliczna instytucja (a złośliwi powiedzą: wyłącznie kosztowna dekoracja), stojący na jej czele człowiek nie będzie pozbawiony pewnych zakulisowych wpływów. A próbował już ich używać jako następcy tronu. Dlatego jego głośno manifestowana wrogość wobec oświecenia jest nie tylko medialną ciekawostką z życia arystokratycznych elit.

Mroczny guru

Laurens van der Post (1906–96) to południowoafrykański pisarz, wieloletni przyjaciel słynnego psychoanalityka Carla Gustava Junga, a także badacz jednego z najstarszych ludów świata – afrykańskiego plemienia San z kotliny Kalahari (o którym nakręcił serial dokumentalny dla BBC). Przez długi czas uchodził wręcz za współczesnego mędrca czy guru, ale media (już po śmierci van der Posta) ujawniły, że bardzo często mieszał fikcję z rzeczywistością, zwłaszcza opowiadając o swoim życiu. Miał te mroczne sekrety – na początku lat 50. wykorzystał seksualnie 14-letnią dziewczynkę, którą miał się opiekować podczas podróży morskiej do Anglii. Owocem romansu była córka, którą się specjalnie nie interesował i której nigdy nie uznał oficjalnie za swoje dziecko. Jedyne, na co było go stać, to wpłacanie matce niedużej zapomogi finansowej.

Karol, w młodości zaczytujący się książkami południowoafrykańskiego pisarza, poznał go osobiście w latach 70. Charyzmatyczny van der Post wywarł ogromne wrażenie na młodym księciu i szybko stał się jego duchowym mentorem (był również doradcą Margaret Thatcher do spraw RPA). Ich relacja stała się tak bliska, że Karol m.in. spisywał swoje sny, których znaczenie van der Post objaśniał według psychoanalitycznych teorii Junga. Pisarz został ojcem chrzestnym najstarszego następcy tronu, Williama. Miał też odbyć z Karolem siedmiodniową „formującą” podróż do ojczyzny ludu San, ale skończyło się na wypełnionym długimi spacerami i rozmowami kilkudniowym pobycie w Kenii.

To najprawdopodobniej van der Post pchnął księcia Walii w kierunku „nowej duchowości”, twierdząc m.in., że ma on jako osoba publiczna ogromną szansę przekonać społeczeństwo do odnowy. Wszyscy biografowie Karola zgadzają się, że południowoafrykański pisarz miał na niego najsilniejszy intelektualny wpływ, zaraził go m.in. swoim pretensjonalnym mistycyzmem i krytyką współczesnej zachodniej medycyny.

Pod wpływem tych idei młody książę postanowił energicznie działać. W 1993 r. powołał do życia organizację Foundation for Integrated Health (która kilkakrotnie zmieniała nazwę), mającą wspierać „włączenie bezpiecznych i skutecznych metod leczenia, ale alternatywnych wobec głównego nurtu medycyny”. Brzmiało to jak ciekawie brzmiący program badawczy, jednak aktywność FIH skupiała się niemal wyłącznie na promowaniu tzw. medycyny niekonwencjonalnej oraz lobbowaniu, by stała się częścią brytyjskiego systemu refundowanej opieki zdrowotnej.

Organizacja zakończyła swój żywot w niesławie w 2010 r., kiedy okazało się m.in., że jej dyrektor finansowy zdefraudował prawie ćwierć miliona funtów. Jednak to nie ów skandal był główną przyczyną bardzo negatywnych ocen działalności fundacji. Środowisko medyczno-naukowe zarzucało FIH, że promuje w społeczeństwie fałszywy podział medycyny na alternatywną/niekonwencjonalną oraz tę głównego nurtu. Tymczasem medycynę mamy obecnie tylko jedną: skuteczną. Nie ma bowiem znaczenia, czy zastosuje się w niej konwencjonalne leki, czy też zioła, wbijanie igieł (akupunktura) czy uciskanie kręgosłupa.

Aczkolwiek pod jednym warunkiem: metody te muszą udowodnić swoją skuteczność i bezpieczeństwo w trakcie rzetelnych badań klinicznych. Kłopot z tzw. medycyną niekonwencjonalną polega na tym, że nie jest w stanie zdać tych testów.

Karol i jego zwolennicy wydawali się głusi na te argumenty, naginając do swoich przekonań wyniki badań lub zastępując rzetelną wiedzę własną wiarą. Prof. Edzard Ernst, lekarz i pierwszy na świecie naukowiec, który otrzymał tytuł akademicki profesora medycyny niekonwencjonalnej (w University of Exeter), napisał na łamach dziennika „The Independent” krótki tekst poświęcony upadkowi FIH. „Czy powinniśmy być z tego powodu smutni?” – pytał. „Nie sądzę. Przez ostatnie lata organizacja ta stała się narzędziem służącym urzeczywistnianiu dziwacznych idei księcia Karola dotyczących opieki zdrowotnej” – kontynuował Ernst. Np. FIH przygotowała, sponsorowany przez Ministerstwo Zdrowia, przewodnik dla pacjentów, który wprowadzał w błąd, gdyż nie podawał kluczowych informacji o skuteczności alternatywnych terapii. Nie były to zresztą jedyne zmarnowane publiczne pieniądze, gdyż fundacja Karola otrzymała kilka dużych rządowych grantów i obracała milionami funtów (ze środków pochodzących również od producentów alternatywnych medykamentów).



Szpital New Age

Innym przedsięwzięciem, w które Karol zaangażował swój autorytet, była próba stworzenia „integracyjnego szpitala”, gdzie lekarze uczyliby się, jak łączyć konwencjonalne leczenie z homeopatią, medycyną ajurwedyjską (pochodzącą z Indii) czy akupunkturą. Nie był to nowy koncept, gdyż w latach 1934–41 funkcjonował w Dreźnie, pod szyldem Nowej Medycyny Niemieckiej, szpital włączający alternatywne metody, m.in. homeopatię. Ze zrozumiałych względów Karol wolał się nie odwoływać do (nieudanych zresztą) doświadczeń z hitlerowskich Niemiec.

Brytyjska placówka miała pomieścić sto łóżek i być nadzorowana przez Mosarafa Alego. To kolejna ciekawa postać z kręgu Karola. Urodzony w Indiach lekarz przebył długą drogę do Wielkiej Brytanii, m.in. udając się na stypendium medyczne do ZSRR, gdzie uczył się również akupunktury, irydologii (metody opartej na pseudonaukowej teorii, że stan zdrowia człowieka można zdiagnozować na podstawie wyglądu tęczyówki) czy hipnozy. W 1991 r. przybył do Londynu i po kilku latach założył Integrated Medical Center. Został też członkiem zespołu królewskich lekarzy, choć nie figuruje w rejestrze brytyjskich medyków. A kiedy w 2001 r. wydał książkę „The Integrated Health Bible”, przedmowę do niej napisał sam książę Karol.

Szpital pod nadzorem Alego nigdy jednak nie powstał, m.in. z powodu wydarzeń z 2005 r. Został wówczas oskarżony przez rodzinę pacjenta po przebytych udarze, którego przez kilka dni „leczył” wyłącznie masażem marmar (medycyna ajurwedyjska) oraz bogatym w potas jedzeniem. Terapia skończyła się amputacją obydwu nóg chorego z powodu ich długotrwałego niedokrwienia.

Jednak to nie historia ze „szpitalem New Age” (jak go niektórzy trochę złośliwie określali) wywołała największe kontrowersje. W 2004 r. książkę zaszokował członków stowarzyszenia Royal College of Obstetricians and Gynaecologists, kiedy przemawiając do nich, zaczął promować tzw. dietę Gersona (stworzoną ponad wiek wcześniej przez niemieckiego medyka Maxa Gersona) jako remedium na raka. Zaleca ona zjadanie wyłącznie ekologicznych surowych warzyw i picie wyciśniętych z nich soków (nawet do 13 szklanek dziennie).

Choć nie ma dowodów jej skuteczności (jedyne przeprowadzone badanie kliniczne wskazuje na coś wręcz przeciwnego),

następca tronu zaserwował lekarzom opowieść o kobiecie, która chorowała na zaawansowany nowotwór i nie przeżyłaby kolejnej chemioterapii, gdyby nie wyleczyła ją właśnie ta dieta. Od tamtego czasu miało minąć siedem lat, a ona nadal żyła i miała się dobrze. Na wystąpienie to zareagował oburzeniem m.in. prof. Michael Baum, wybitny brytyjski onkolog, publikując list otwarty na łamach „British Medical Journal”. W ostrym tonie zaapelował w nim do następcy tronu o zaprzestanie propagowania niepotwierdzonych, więc potencjalnie szkodliwych, pseudoterapii nowotworów.

Karol nie ograniczał się jedynie do głoszenia kontrowersyjnych poglądów na temat metod leczenia. W 2009 r. w sprzedaży pojawił się suplement diety The Duchy Herbals Detox Tincture, czyli wyciąg z karczochów i mniszka lekarskiego. Miał rzekomo oczyszczać organizm z toksyn, co było całkowicie fałszywą obietnicą. Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że ów specyfik produkowała należąca do księcia Karola firma, zajmująca się głównie sprzedażą żywności ekologicznej. Kiedy media zaczęły o tym mówić, najpierw zmieniono opis suplementu, usuwając obietnice „detoksukacji organizmu”. Później zaś w ogóle wycofano go ze sprzedaży z powodu obaw o publiczny wizerunek księżęcego przedsiębiorstwa.

Uporczywe nudziarstwo

W 2005 r. Karol zamówił specjalny raport, którego głównym autorem został Christopher Smallwood, ekonomista bez doświadczenia w kwestiach ochrony zdrowia. Tymczasem dokument ów, rozdany m.in. członkom parlamentu, dotyczył roli alternatywnych terapii w publicznej opiece medycznej. Jego autorzy twierdzili, że budżet państwa mógłby zaoszczędzić – dzięki włączeniu niekonwencjonalnych metod, takich jak homeopatia – ogromne sumy, gdyż przyniosłyby one duże korzyści zdrowotne pacjentom.

Raport Smallwooda został gremialnie skrytykowany przez ekspertów. Np. Richard Horton, redaktor naczelny „The Lancet”, jednego z najbardziej prestiżowych czasopism medycznych na świecie, stwierdził bez ogródek, że zawiera on groźne nonsensy. Skrytykował go również prof. Edzard Ernst, który otrzymał do przejrzenia i oceny wstępną wersję dokumentu, ale wycofał swoje nazwisko jako recenzenta. A gdy zadzwonili do niego dziennikarze z prośbą o komentarz, ostro skrytykował konkluzje zawarte w projekcie dokumentu.

Gniewnie zareagował na to książkę Karol za pośrednictwem swojego osobistego sekretarza, który złożył oficjalną skargę do władz University of Exeter, czyli pracodawcy prof. Ernsta. Oskarżył w niej naukowca o złamanie zasady poufności poprzez ujawnienie treści raportu przed jego oficjalną publikacją. Wprawdzie w wyniku trwającego rok wewnętrznego postępowania oczyszczono prof. Ernsta z zarzutów, ale jego katedra, od lat krytycznie analizująca metody medycyny alternatywnej, została rozwiązana, a profesor odesłany na emeryturę.

Nie był to jedyny przypadek wywierania pośrednio lub bezpośrednio nacisków przez Karola. W 2015 r. dziennikarz gazety „The Guardian” otrzymał, po pięcioletniej batalii prawnej, kopię korespondencji następcy tronu adresowanej do ważnych brytyjskich polityków, przede wszystkim rządowych ministrów. Okazało się, że często lobbował w niej m.in. w sprawie medycyny alternatywnej i jej finansowania. Sprzeciwiał się np. obcinaniu funduszy na szpitale homeopatyczne (choć w licznych badaniach wykazano, że homeopatia nie działa, więc należałoby ją uznać za medyczne oszustwo).

Dziennikarze pisali wówczas o wątpliwościach, czy owe listy nie były formą angażowania się członka rodziny królewskiej w bieżącą politykę, co nie jest w Wielkiej Brytanii akceptowane.

Owe pisma nie odniosły jednak żadnego namacalnego skutku – dziś nie ma już w Wielkiej Brytanii żadnego działającego szpitala homeopatycznego, a jeszcze kilka dekad wcześniej było ich pięć. Dziennik „The Guardian” stwierdził też, że listy Karola raczej przypominają uporczywe nudziarstwo, niż są wyrazem niebezpiecznych zapędów politycznych przyszłego monarchy.

Niebezpieczny król

Trudno jest ocenić, jak duży wpływ na opinię publiczną miało uporczywe wspieranie przez następcę tronu tzw. medycyny alternatywnej. Czy tylko wzmacniało jej wyznawców, czy też poszerzało ich krąg? Można natomiast przypuszczać, że jego głos miał spore znaczenie w zupełnie innej sprawie. W czerwcu 1998 r. książkę Karol stwierdził na łamach poczytnej konserwatywnej gazety „The Daily Telegraph”, iż poprzez stosowanie „genetycznych modyfikacji człowiek wkroczył na teren zarezerwowany dla Boga i tylko dla Niego”. Dlatego rośliny ulepszone za pomocą nowoczesnych narzędzi inżynierii genetycznej (tzw. GMO) są niepotrzebne, niezgodne z rolnictwem „działającym w harmonii z naturą” oraz prawdopodobnie niebezpieczne. „Nie zamierzam jeść cokolwiek genetycznie zmodyfikowanego ani serwować tego mojej rodzinie czy gościom” – ogłosił książkę Karol w gazecie.

Ta opinia była nie tylko sprzeczna z wiedzą naukową, ale również wprowadzała w błąd w tym sensie, że codziennie zjadamy zmodyfikowane genetycznie rośliny, aczkolwiek za pomocą starszych i mniej precyzyjnych narzędzi, które nie podpadają pod prawną (a nie naukową) definicję GMO. Wzmacniała za to nieufność wobec biotechnologii rolniczej w brytyjskim społeczeństwie, którego obawy doprowadziły do praktycznego zakazu upraw roślin ulepszonych dzięki inżynierii genetycznej.

Karol zaatakował rolniczą biotechnologię także podczas wizyty w New Delhi w 2008 r., kiedy stwierdził publicznie: „Obwiniam genetycznie zmodyfikowane nasiona o spowodowanie samobójstw rolników”. Owe samobójstwa indyjskich farmerów to jeden z największych mitów rozpowszechnianych przez przeciwników GMO. Tymczasem badania wykazały, że ulepszona bawełna (bo właśnie o tę roślinę w całej sprawie chodziło) wręcz poprawiła sytuację ekonomiczną wielu drobnych rolników w Indiach i zmniejszyła zużycie środków owadobójczych.

Kiedy książkę Karol stał się królem Karolem III, niektórzy publicyści i naukowcy wyrażali obawy, czy nie będzie korzystał ze swojej nowej, znacznie silniejszej pozycji do propagowania sprzecznych z nauką poglądów. Kiedy w 2010 r. przyszły brytyjski monarcha wydał książkę „Harmony. A New Way of Looking at Our World”, będącą wykładem jego „filozofii”, znany brytyjski dziennikarz Max Hastings napisał na łamach „Daily Mail”, że książkę Walii „jest zbyt niebezpieczny, by zostać królem”. Nie tylko on odebrał „Harmony” jako frontalny atak na wartości oświecenia, propagowanie „mesjanistycznych” przekonań w stylu New Age oraz nachalną reklamę pseudonaukowych terapii. Dlatego przyszły monarcha, silnie wierzący w taką ideologię, budził poważne obawy.

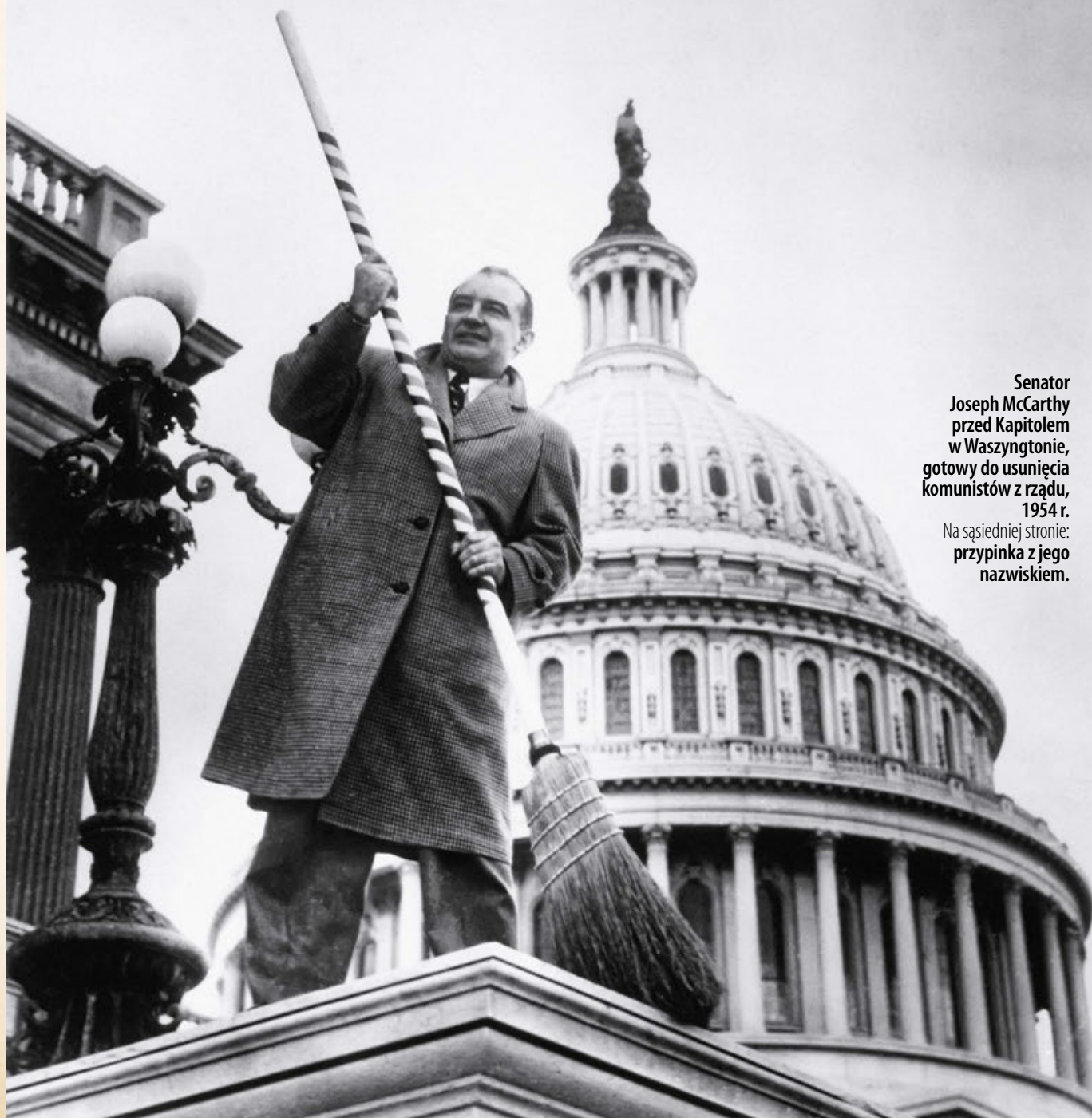
W programie dokumentalnym BBC, przygotowanym z okazji swoich 70. urodzin, Karol zadeklarował jednak, że jako król przestanie aktywnie działać nawet w kwestiach, które są bardzo bliskie jego sercu: m.in. ochrony środowiska i klimatu. Zapewne ta powściągliwość miałaby również dotyczyć medycyny alternatywnej czy biotechnologii rolniczej. Czy tak rzeczywiście się stanie, przekonamy się już w najbliższych miesiącach, latach.

MARCIN ROTKIEWICZ



Polowanie na agentów

Komisja, która miała tropić niszczycielskie wpływy Rosji na inne państwo, już kiedyś działała – w USA przewodniczył jej **Joseph McCarthy**.
Zniszczyła i jego, i zaufanie obywateli do rządu.



Senátor
Joseph McCarthy
przed Kapitołem
w Waszyngtonie,
gotowy do usunięcia
komunistów z rządu,
1954 r.

Na sąsiedniej stronie:
przypinka z jego
nazwiskiem.

G

łęboki polityczny podział dziesięcioletniej Ameryki z jego eskalacją demagogii i manipulacji prawdą – zwłaszcza na prawicy – ożywił w USA pamięć pierwszych lat zimnej wojny. Wtedy w tamtejszej polityce, mimo całej odmienności ówczesnej sytuacji od obecnej, pojawiły się podobne

zjawiska i mechanizmy. Przypomniła o tym postać Donalda Trumpa, w młodości ucznia prawnika Roya Cohna, byłego doradcy republikańskiego senatora Josepha McCarthy'ego, tropiciela komunistów w strukturach władzy we wczesnych latach 50., organizatora kongresowych przesłuchań Amerykanów oskarżanych o sympatie dla ZSRR i komunistycznej ideologii. Parlamentarne komisje, przed którymi miały się stawić podejrzane osoby, w przeważającej większości nie udowodniły im żadnej agenturalnej działalności, ale wielu niewinnym ludziom zniszczyły życie.

Makkartyzm, jak w Ameryce określa się metodę bezwzględnej walki z politycznym przeciwnikiem

z użyciem wymaginowanych, nieopartych dowodami, ale publicznie ogłaszanych zarzutów, zawdzięcza swoją nazwę osławionemu senatorowi, ale fenomen jest wcześniejszy. McCarthy kierował od 1950 r. komisją dochodzeniową w Senacie zajmującą się „czerwonymi”. Zanim został jej szefem, śledzeniem komunistycznych wpływów w rządzie i innych segmentach społeczeństwa zajmowała się w Izbie Reprezentantów House Un-American Activities Committee, (HUAC), co najlepiej przetłumaczyć: Komisja do badania działalności antyamerykańskiej. Powstała ona w 1938 r. jako organ mający tropić wpływy nie tylko komunizmu, lecz i niemieckiego nazizmu, ale rozwinęła skrzydła już po wojnie, kiedy po opadnięciu żelaznej kurtyny jedynym zagrożeniem dla bezpieczeństwa USA pozostał Związek Sowiecki i jego obóz.

Sprzyjała temu atmosfera lęku przed stalinowską Rosją i szerezeniem się komunizmu na świecie, czego dobitnym sygnałem było zwycięstwo maoistów w Chinach. Rząd i liczne prywatne organizacje, pragnąc pozbyć się pracowników podejrzanych o sympatie dla Sowieców, wprowadziły programy testowania patriotycznej lojalności. Szkoły i uniwersytety zwalniały tych, którzy odmawiali złożenia przysięgi, że nie należą do partii.

Prawdziwych lub domniemych komunistów usuwały ze swych szeregów nawet organizacje walczące o prawa Afroamerykanów, jak NAACP. W klimacie rosnącej psychozy komisja HUAC opracowała projekt ustawy radykalnie ograniczającej swobodę działania partii komunistycznej i zainicjowała dochodzenia celem wykrycia „commies” w środowiskach mających szczególnie wpływ na opinię publiczną.

Na celowniku śledczych znalazły się gwiazdy Hollywood

– kilkuset aktorów, reżyserów i scenarzystów podejrzanych o komunistyczne poglądy. Dziesięciu z nich, m.in. znany reżyser Edward Dmytryk („Żegnaj, laleczko”, „Krzyżowy ogień”) i wybitny scenarzysta Dalton Trumbo („Exodus”, „Rzymskie wakacje”, „Spartakus”), odmówiło zeznań przed komisją Izby Reprezentantów, powołując się na pierwszą poprawkę do konstytucji

i z oskarżenia o obrazę Kongresu dostało wyroki kilkumiesięczne więzienia. Wielu amerykańskich filmowców rzeczywiście przejawiało lewicowe sympatie, a niektórzy należeli – zwykle tylko w młodości, przed wojną – do partii komunistycznej (należenie do niej nie było nielegalne). Ukrywali ten fakt, gdyż na podstawie informacji z HUAC wytwórnie filmowe sporządziły „czarne listy” tych, z którymi z racji podejrzeń o sympatie do ZSRR, a więc brak patriotycznej lojalności, zrywano profesjonalne kontrakty. Wielu pracowało potem pod zmienionymi nazwiskami albo wyjeżdżało za granicę. Zdarzały się jednak tragedie – popularny aktor i reżyser telewizyjny Philip Loeb po oskarżeniu o członkostwo w partii komunistycznej, czemu zaprzeczał, popełnił samobójstwo.

Po fabryce snów przyszła kolej na rząd. Dominujący do 1949 r. w obu izbach Kongresu Republikanie korzystali z okazji, żeby uderzyć w demokratyczną administrację prezydenta Harry'ego Trumana, którą oskarżali o pobłażliwość dla komunistów. Komisja ds. działalności antyamerykańskiej – pozostająca pod kontrolą Partii Republikańskiej – uznała, że głównym gniazdem sowieckich wpływów jest Departament Stanu i jako agenta wskazała weterana, dyplomatę i doradcę prezydenta F.D. Roosevelta – Algera Hissa. Powołany na świadka dziennikarz „Time'a”, były komunista i agent Moskwy Whittaker Chambers, obciążył go jako swego dawnego współpracownika w komunistycznym podziemiu w USA.

Komisja HUAC, w której pierwsze skrzypce grał kongresmen Richard Nixon, przekazała swoje ustalenia federalnej prokuraturze. Hiss stanął przed sądem i na początku 1950 r. został skazany na pięć lat więzienia. Dyplomata do końca życia utrzymywał, że jest niewinny, ale dokumenty sowieckiego wywiadu z otwartych po zakończeniu zimnej wojny archiwów potwierdziły, że niemal na pewno był sowieckim agentem.

Wiadomość, że ZSRR przeprowadził swój pierwszy test z bombą atomową, w sierpniu 1949 r., była szokiem. Nie spodziewano się, że nastąpi to tak prędko – jedynym wytłumaczeniem mogło być wykradzenie technologicznych tajemnic przez komunistycznych szpiegów. Klimat podejrzeń, że Ameryka jest obiektem wywiadowczej sowieckiej penetracji na ogromną skalę, jeszcze się zagościł. Agentów, którzy zdobyli sekrety amerykańskiej broni nuklearnej, wkrótce znaleziono i aresztowano. Jeden z nich, Julius Rosenberg wraz z żoną Ethel – której udział w szpiegowskiej siatce był marginalny – został skazany na śmierć i stracony.

Dopiero wtedy, po skazaniu Hissa i egzekucji Rosenberga, na arenę wkroczył Joseph McCarthy. W lutym 1950 r. mało dotąd znany senator z Wisconsin wygłosił w Wheeling w Wirginii Zachodniej przemówienie, w którym oznajmił, że w Departamencie Stanu pracuje 205 komunistycznych agentów, i wymachiwał przy tym kartką papieru, na której miały być ich nazwiska. W senackiej komisji spraw zagranicznych McCarthy nie potrafił jednak później przedstawić żadnych dowodów, że ktokolwiek z listy był członkiem partii. Wspomniany przez niego dokument okazał się listą opracowaną przez komisję Kongresu sprzed kilku lat, zawierającą nazwiska pracowników departamentu, co do których nie dopełniono procedur bezpieczeństwa i których część określano tylko jako „skłaniających się ku komunizmowi”. Senator nie bawił się w takie niuanse i wszystkich napiętnował jako ►



► komunistów, a w kolejnym wystąpieniu oświadczył, że również CIA pełna jest sowieckich agentów.

McCarthy atakował demokratyczną ekipę Trumana, mówiąc o „20 latach zdrady”, czyli rządach w Białym Domu prezydenta i jego poprzednika F.D. Roosevelta. Oprócz Departamentu Stanu i agencji wywiadu wzięła na cel także Pentagon, z jego ówczesnym szefem George’em Marshalllem, byłym sekretarzem stanu. Demokraci, którzy mieli wtedy większość w obu izbach Kongresu, przystąpili do kontrofensywy – senacka komisja pod kierownictwem Millarda Tydingsa orzekła, że oskarżenia sproszone przez McCarthy’ego to paranoiczny wymysł i „oszustwo”.

Republikanie w komisji protestowali, twierdząc, że ich demokratyczni koledzy lekceważą „czerwone niebezpieczeństwo”. Zarzut ten nie wytrzymał krytyki, bo antysowietyzm w okresie wojny koreańskiej (1950–53), w szczytowym nasileniu zimnej wojny, był programem obu partii i administracja Trumana czyściła wszystkie branże rządu, zwalniając z nich podejrzanych o komunistyczne sympatie i agentalne działania.



Hollywoodzcy scenarzyści i reżyserzy w drodze do sądu okręgowego. Od lewej: Samuel Ornitz, Ring Lardner Junior, Albert Maltz, Alvah Bessie, Lester Cole, Herbert Biberman i Edward Dmytryk.

McCarthy jednak nie odpuszczał, wyolbrzymiając wszystkie podobne przypadki jako dowód, że Ameryce grozi przejęcie władzy przez agentów Stalina i Mao. Jego kampania cieszyła się poparciem ogromnej części społeczeństwa, która w klimacie zagrożenia przez „czerwonych” widziała w senatorze bohatera, niezłomnego amerykańskiego patriotę dostrzegającego niebezpieczeństwo i dzielnie stawiającego czoła mięczakom z demokratycznej administracji. Co ciekawe, McCarthy, praktykujący katolik, miał za sobą m.in. rodzinę Kennedych – przyjaźnił się z nim patriarcha rodu Joseph Kennedy, a jego syn John, przyszły prezydent, nie ośmielił się go publicznie krytykować. Największy jednak entuzjazm działalność senatora budziła w skrajnej rasistowskiej i antysemickiej prawicy; sekundowali mu liderzy Ku-Klux-Klanu i neonaziści.

Kiedy Republikanie wygrali wybory w 1952 r., McCarthy został przewodniczącym senackiej podkomisji ds. dochodzeń i zarządził w niej serię przesłuchań domniemych komunistów w rządowej rozgłośni Voice of America i potem w podległej Departamentowi Stanu International Information Agency. O uleganie sowieckim wpływom oskarżał, kogo się dało – nawet duchownych Kościołów protestanckich. Nowemu prezydentowi

Dwightowi Eisenhowerowi zarzucił, że niedostatecznie naciska na Mao Tse-tunga, by ten wyjaśnił, co się stało z amerykańskimi pilotami zestrzelonymi w czasie wojny koreańskiej nad Chinami. Slogan oskarżający Demokratów o „20 lat” zdradzieckich rządów został zastąpiony nowym: „21 lat zdrady” – a więc piętnującym również prezydenta-bohatera wojny, byłego dowódcę sił alianckich.

Kłeską McCarthy’ego i gwoździem do jego politycznej trumny okazało się prowadzone przez jego komisję śledztwo w sprawie rzekomego komunistycznego spisku w dowództwie wojsk lądowych (Army). Wzywani na dywanik członkowie kierownictwa Army i ich doradcy stali się obiektem szczególnie napastliwych ataków i wysysanych z palca oskarżeń. Ponieważ Pentagon odrzucał zarzuty, wiosną 1954 r. sprawa znalazła epilog na publicznych przesłuchaniach przed komisją. Po raz pierwszy w całości transmitowała je na żywo telewizja, więc miliony Amerykanów nauce przekonano się, jak zachowuje się McCarthy. Kluczowym fragmentem posiedzeń był moment, kiedy powołany na świadka prawnik z Pentagonu Joseph Nye Welch rzucił mu w twarz: „Czy nie ma pan, senatorze, żadnego poczucia przyzwoitości?”

Pod koniec tego samego roku przytłaczającą większością głosów Senat udzielił McCarthy’emu nagany za „systematyczne nadużycia wobec członków Senatu (jego przeciwników w wyższej izbie Kongresu)” oraz „działalność hańbiącą i niszczącą reputację Senatu”. Jeden z jego krytyków porównał go do Hitlera, zauważając, że swoimi wyczynami zaszkodził tylko sprawie walki z komunizmem. Kariera McCarthy’ego była skończona. Senator zmarł w 1958 r., prawdopodobnie na marskość wątroby spowodowaną alkoholizmem.

Komisja Izby Reprezentantów ds. Działalności Antyamerykańskiej istniała jeszcze przez jakiś czas, zmieniła nazwę na Komisję ds. Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a w 1975 r. została wchłonięta przez Komisję ds. Sądownictwa. Tendencja do poszukiwania wroga wewnętrznego na lewicy osłabła wraz z odwilżą w relacjach z ZSRR i wciągnięciem Chin do gry przeciw Moskwie. Makkartyzm, czyli obsesyjne tropienie komunistów i stawianie pod pręgierzem podejrzanych bez dowodów winy, nie stał się w USA narzędziem istotnych partyjnych rozgrywek. Przede wszystkim dlatego, że antykomunizm łączył oba główne stronnictwa i można było jedynie licytować się deklaracjami i czynami, kto lepiej walczy z czerwonym zagrożeniem.

I chyba także dlatego, że amerykańska demokracja niepełna 70 lat temu zdała egzamin – system check-and-balance, czyli kontroli i równowagi (rozdzielenia władzy między wzajemnie kontrolujące się organy) nie pozwolił na polityczną instrumentalizację instytucji powołanych do ochrony państwa i jego stabilizacji. Komisje Kongresu, jak przypominał o tym w okresie makkartyzmu wybitny radiowo-telewizyjny dziennikarz Edward R. Murrow, są potrzebne, bo uchwalanie ustaw wymaga ich skrupulatnego przygotowania, ale nie mogą zamieniać się w prokuraturę lub sąd, pochopnie oskarżające publicznie osoby bez wyraźnych dowodów. A niebezpieczeństwo takie grozi, gdyż, jak powiedział Murrow, „linia dzieląca parlamentarne śledztwo od przesładowania jest bardzo cienka”. Władza ustawodawcza nie może jednak zastępować aparatu sprawiedliwości.

Ryzyko przekroczenia wspomnianej linii zwiększa się, kiedy zaostrzają się polityczne podziały i kiedy w siłę rosną ekstremalne prądy, które zaczynają lekcewać uzgodnione reguły liberalnej demokracji. Jak ostatnio w USA ruch prawicowego populizmu skupiony wokół Trumpa.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

CZERWCOWE
WYDANIE DOSTĘPNE
TAKŻE Z NATURALNYM
KOSMETYKIEM
Z NOWEJ LINII
ALOESOVE

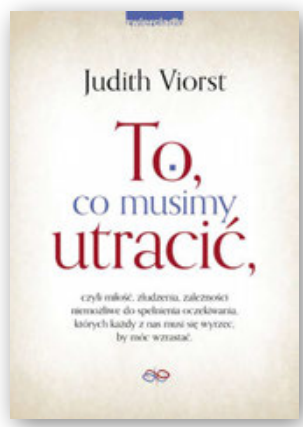
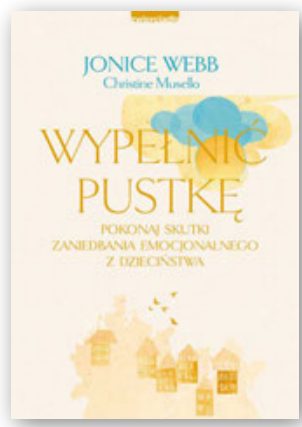
BIO+
organiczny
sok z aloesu

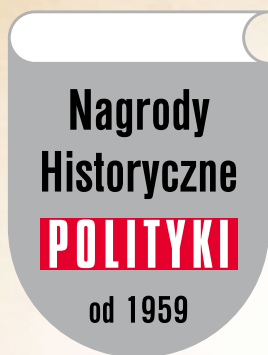


JUŻ W SPRZEDAŻY



WYDAWNICTWO ZWIERCIADŁO POLECA





NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI 2023 ZA ROK 2022

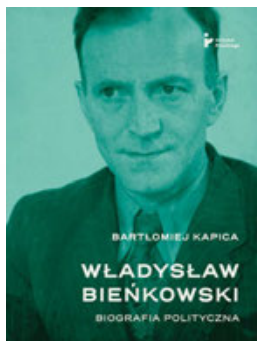
Poniżej prezentujemy nominacje w kategoriach: Prace naukowe, Prace popularnonaukowe oraz Debiuty w tych kategoriach. W ubiegłym tygodniu ogłosiliśmy nominacje w kategoriach Pamiętniki i Źródła (można się z nimi zapoznać na polityka.pl/nagrodyhistoryczne). Za tydzień, 17 maja, ujawnimy laureatów.

KATEGORIA PRACE NAUKOWE, MONOGRAFIE

**Bartłomiej Kapica,
Władysław Bieńkowski.
Biografia polityczna,**
Instytut Pileckiego, Warszawa 2022

Biografia polityka, człowieka niezwykle. Komunista, jeden z liderów okupacyjnej PPR, bliski współpracownik Władysława Gomułki. Po wojnie wysoki rangą dygnitarz partyjny i rządowy, po 1948 r. odsuwany w ramach walki z „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym”. Po Październiku '56 wrócił do wielkiej polityki, ale na krótko, nie mieścił się w coraz bardziej dogmatycznym kursie Gomułki. Kiedyś jeden z najważniejszych ideologów partyjnych; został z tej partii usunięty w 1969 r. za poglądy i publikacje u Jerzego Giedroycia. Ta ewolucja doprowadziła Bieńkowskiego do pozycji demokratycznej. Autor w swojej nadzwyczajnie sumiennej książce dał znakomitą wgląd w kulisy polityki tamtych czasów, w gąszcz intryg i personaliów, w grę interesów i zawirowań taktycznych.

WIESŁAW WŁADYKA



Nie było chęci wniknięcia w ich motywację, kulturę polityczną, socjalizację do polityki. Przeważały stanowiska łatwo generalizujące bądź studia przyczynkarskie, biografie jednostek. Inna sprawa, że przedwojenni komuniści w mniejszym stopniu przyciągali uwagę niż ci powojenni. Dominowała diagnoza zacczadzenia, zakażenia rewolucyjną chorobą, etykieta żydokomuny. Łukasz Bertram, badając trajektorię poszczególnych losów, stworzył grupowy portret polskich komunistów. Byli dziećmi swojej epoki. Nie diabłami, nie aniołami, ludźmi z krwi i kości.

MARCIN ZAREMBA

**Łukasz Bertram,
Bunt, podziemie, władza.
Polscy komuniści i ich
socjalizacja polityczna
do roku 1956,**

Wydawnictwo Naukowe Scholar
i Kultura Liberalna, Warszawa 2022

Temat komunistów nie miał w Polsce szczęścia do autorów. W okresie PRL stosunek do nich był jednocześnie afirmatywny i zafaszowany. Po 1990 r. wahadło wychyliło się w drugą stronę, znów nie brakowało zafałszowań, dawał się odczuć deficyt socjologicznego rozumienia.



**Sławomir Łotysz,
Pińskie błota. Natura,
wiedza i polityka
na polskim Polesiu
do 1945 roku,**

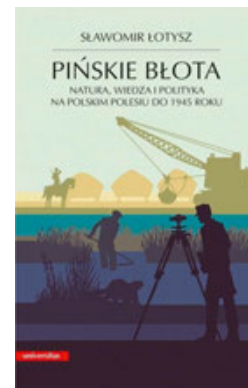
TAiWPN Universitas,
Kraków 2022

To nowatorskie spojrzenie na dzieje Polski i regionu z perspektywy historii środowiskowej, czyli splecionych dziejów człowieka i przyrody. To fascynujące dzieje politycznych zmagania o losy nieistniejącego już dzisiaj świata mokradł Polesia i żyjących w symbiozie z nimi Poleszuczków.

Sławomir Łotysz pewnie porusza się tak w obszarach historii medycyny, jak historii wojskowości czy wyobrażeń społecznych. Równie uważnie przygląda się procesom orientalizacji Polesia jako regionu „na kresach”, także politycznym przepychankom i naukowym debatom wokół niezrealizowanej ostatecznie w II RP idei nowej „poleskiej Holandii”.

W książce wybrzmiewają nasze współczesne lęki. Przed suszą, ociepleniem klimatu, wreszcie – błędnymi decyzjami ludzi, którzy myślą wciąż w kategoriach „postępu” albo tylko własnego politycznego zysku.

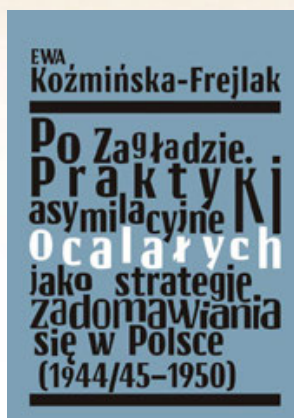
BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA



Ewa Koźmińska-Frejlik,
**Po Zagładzie. Praktyki
asymilacyjne ocalałych
jako strategię zadomawiania się
w Polsce (1944/45–1950),**

Żydowski Instytut Historyczny, Kraków 2022

Wyjątkowa i interesująca opowieść o „żydowskich Polakach” na progu powojennego świata. W jej centrum jest zrozumienie decyzji, które podejmowali w „długim cieniu Zagłady”. Wojna się skończyła, ale bohaterowie tej książki nie doświadczają spokoju i bezpieczeństwa, życia „u siebie”,



w swoim Domu. Zamiast tego muszą podjąć kolejne wyzwania, nowy wysiłek „zadomawiania się”. Książka opisuje praktyki asymilacyjne, które mają złagodzić poczucie obcości. Po raz pierwszy poznajemy zjawisko powojennych konwersji w oparciu o nowe, niewykorzystane dotąd źródła, historię zmiany nazwisk i nadzieję na „nowe życie” czy losy małżeństw mieszanych. Autorka pokazuje, że część bohaterów podjęła wszystkie przedstawione praktyki. Jednak w sytuacji, kiedy o przynależności decydowała „zbiorowość dominująca”, konkluzją badań jest także stwierdzenie o ich umiarkowanej skuteczności czy wręcz fiasku.

BOŻENA SZAYNOK

KATEGORIA **PRACE POPULARNONAUKOWE**

Andrzej Brzeziecki,
**Kocio, Kozioł, Senator. Biografia
Krzysztofa Kozłowskiego,**

Wydawnictwo ZNAK,
Kraków 2022

Był politykiem, ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, senatorem kilku kadencji. Ale przede wszystkim redaktorem z ulicy Wiślniej, czyli w „Tygodniku Powszechnym”. Piśmie, które w PRL odegrało wielką rolę jako głos



katolików świeckich, jako swoista legalna opozycja, jako schronienie dla wielu autorów i wielu tekstów. Krzysztof Kozłowski był centralną postacią w prowadzeniu takiej polityki. Jak sam mówił, „Tygodnik” był instrumentem politycznym. Andrzej Brzeziecki napisał świetną książkę, przedstawiając kompletną biografię Redaktora, z historią rodzinną, osobistą, zawodową i przyjaźnielską. Dając wyraz swojemu szacunkowi, obrazu nie przesłodził, niczego nie kamuflował, a życie przyniosło Kozłowskiemu także wiele przykrości i rozczarowań.

WIESŁAW WŁADYKA ►

REKLAMA

PRZEZ 22 LATA WSPARLIŚMY 362 NAUKOWCÓW KWOTĄ PONAD 6 MLN 875 TYS. ZŁ.

23
NAGRODY NAUKOWE
POLITYKI

JESTEŚ MŁODYM AMBITNYM NAUKOWCEM?
PROWADZISZ NIEBANALNE, WAŻNE SPOŁECZNIE PROJEKTY BADAWCZE?

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Czekamy do 14 czerwca!

Partnerzy
Nagród Naukowych
POLITYKI 2023

zaiks
sprzyjamy wyobraźni

Dr Irena Eris

FUNDACJA ONKOLOGII
DOŚWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ
Onkologia-Foch.org

Patron
medialny

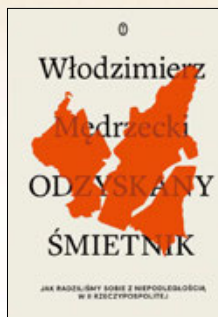
TOK FM

Włodzimierz Mędrzecki, Odzyskany śmietnik. Jak radziliśmy sobie z niepodległością w II Rzeczypospolitej,

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

To oryginalna synteza dziejów Polski międzywojennej. Umiejętnie wyważa ich społeczno-gospodarcze i polityczne aspekty, stawiając na pierwszym planie warunki cywilizacyjne, które zakreślały pole możliwości nowego państwa i jego mieszkańców. Podkreśla wewnętrzne zróżnicowanie kraju: etniczne, regionalne, ekonomiczne i polityczne. Pokazuje także realia „Polski lokalnej i drobnotowarowej”, w której żyła większość obywateli. Napisana bogatą polszczyzną, w klarowny sposób prowadzi nas poprzez zaślony historii dwudziestolecia, daje pogłębioną analizę głównych wydarzeń politycznych, pokazuje długofalowe skutki ówczesnych decyzji. Nie lukruje obrazu II RP, ale potrafi docenić jej osiągnięcia. Autor, znawca historii II RP, łączy spojrzenie z wysokiej perspektywy ze zbliżeniami na detale; pokazuje też ówczesną Polskę na tle innych krajów, zwłaszcza w naszej części Europy.

DARIUSZ STOLA



kołchozie” w Krakowie na Krupniczej w 1945 r. Nowa władza w sposób jawny i nieskrępowany korumpowała: kupowała pi-sarzy mieszkaniami (a nawet domami), przywilejami (gospo-sie), wysokimi nakładami publikacji. Byli – jak herbertowscy or-namentatorzy – usługowi. Książkę Tomasza Potkaja o Związku Literatów Polskich czyta się jednym tchem, pełno w niej ane-gdot i facecji w rodzaju menu literackiego: Pigoń w sosie, Brezy w śmietanie, Kisiel katolicki. Ale i ze smutkiem, bowiem wielu z tych luminary została „heglowsko ukąszonych”, ale też zwy-czajnie kupionych.

MARCIN ZAREMBA

Aleksandra Szarłat, SPATiF. Upajający pozór wolności,

Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2022

Historia wyjątkowego miejsca na ma-pie powojennej Warszawy opowie-dziana od lat 50. do współczesności. Opisuje świat, z którego przychodzono do klubu, pokazuje, jak potrzeba wspólnoty, rozmowy, trudna w pe-erelowskich ciasnych mieszkaniach, doprowadziła do stworzenia „wyspy wolności”. Za jej drzwiami zo-stawiano „biedną i niewesołą” rzeczywistość i wkraczano w świat „kolorowych ptaków”, artystów, pisarzy („Jakby sam Mickiewicz przyszedł na kieliszek”). Książkę zapełniają zdarzenia, ciekawi ludzie, ich rozmowy, osobiste historie, przyjaźnie, miłości, drama-ty, sprawy zawodowe. Rzetelna kwerenda, wywiady pozwalają odtworzyć nieuchwytną atmosferę, setki bon motów, anegdot. Książka pokazuje także ciemniejszą stronę klubu: donosy, osobi-ste dramaty. Fascynująca opowieść o ważnym fragmencie historii społecznej Warszawy.



BOŻENA SZAYNOK

Tomasz Potkaj, Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich w PRL,

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

„Tutaj każdy sobie siurka ze swojego Jalu Kurka”, „Tu w spokoju co niedziela czytam felieton Kisiela” – te i inne rymy „zrobiły” drzwi łaźienki w słynnym „literackim

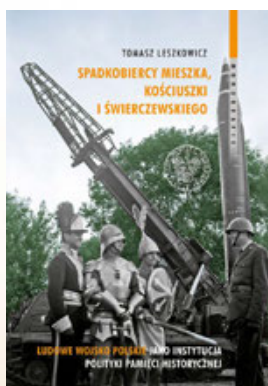


DEBIUTY W PRACACH NAUKOWYCH I POPULARNONAUKOWYCH

Tomasz Leszkowicz, Spadkobiercy Mieszka, Kościuszki i Świerczewskiego. Ludowe Wojsko Polskie jako instytucja polityki pamięci historycznej,

Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2022

Obecne w publicznym dyskursie krytykowanie przeciwników politycznych za ich rzekomy nihilizm narodo-owy czy antygermańska fobia nie wzięły się znikąd. Stanowiły esencję „wychowania na tradycjach”



w ludowym Wojsku Polskim. Główny Zarząd Poli-tyczny WP (jego szefami byli m.in. generałowie Piotr Jaroszewicz, Edward Ochab i Wojciech Jaruzelski) robił wiele, by żołnierze, oficerowie, a także cywile żyli w przekonaniu, że w czasie drugiej wojny świa-towej byliśmy „zieloną wyspą”, że Polacy nic innego nie robili tylko „walczyli za naszą i waszą”. Pokazaniu polskiej drogi od Lenino do Berlina służyły obchody rocznic, gabloty pamięci, artykuły w prasie, publi-kacje książkowe i produkcje filmowe. Tomasz Lesz-kowicz przebadał w sposób rzetelny i wyczerpujący całą tę politykę historyczną. Zaskakujące, jak długo pozostaje ona „wiecznie żywa”.

MARCIN ZAREMBA

Paweł M. Mrowiński, Egzekucje publiczne w okupowanej Warszawie. Ujęcie performatywne,

Instytut Pileckiego, Warszawa 2022

To próba nowego spojrzenia na przemoc w okupowanej Polsce. Zazwyczaj uwaga historyków koncentruje się na ofiarach i sprawcach przemocy. Autor wybrał inną perspektywę. Inspirując się pracami Michela Foucault oraz teoretykami performatyki, skupia się na samym akcie publicznej egzekucji oraz świadkach tego swoistego teatru śmierci. Stara się szczegółowo odtworzyć przebieg poszczególnych egzekucji, poszukując w nich elementów rytualizacji: od czerwonych plakatów na murach i ogłoszeń wykrzykiwanych przez uliczne szczekaczki, poprzez kondukt skazanych i egzekucję aż po upamiętnienie. Zwraca uwagę na wszystkie detale decydujące o teatralizacji: czas egzekucji, zatrzymanie ruchu na ulicach, ubiór skazańców. Analizowane przykłady każą nam zastanowić się nie tylko nad problemem odwetu, ale także oswojenia z publicznym rytuałem karania śmiercią, który zniknął z ulic Warszawy w XIX w.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA



widzimy butnych Niemców i upodlonych Żydów. Żydów w przedostatniej chwili życia: wyciąganych z bunkrów, upokorzonych, skaczących z pięter płonących domów. Kilka z tych zdjęć jest szczególnie ikonicznych. Chyba najbardziej to, na którym – z dużą grupą w tle – na pierwszym planie widzimy chłopczyka w czapce z daszkiem, w krótkich spodenkach, z podniesionymi rączkami. Tomasz Zyśko wykonał pracę detektywa. Zebrał (chyba) wszystkie dotychczasowe publikacje, sam dotarł do wielu źródeł i napisał książkę o postaciach widocznych na zdjęciu. Spróbował odtworzyć ich przeszłość, rodowód i ich los. Również esesmana z karabinem wycelowanym w chłopca. Świetnie napisana książka. W sam raz na właściwy czas.

MARIAN TURSKI

Jakub Gałęziowski, Niedopowiedziane biografie. Polskie dzieci urodzone z powodu wojny,

Wydawnictwo Krytyki
Politycznej, Warszawa 2022

To przejmująca, odważna opowieść, wprowadzająca do naszej wiedzy o wojnie nowy, ważny, zmarginalizowany dotąd temat. Na początku była wojenna przemoc seksualna, cierpienie i samotność kobiet nią doświadczonych. A potem rodziły się dzieci wrogów, dzieci wojennych, zakazanych miłości, dzieci niechciane albo kochane mimo wszystko. Książka spogląda na samotne matki i dzieci z wielu perspektyw: państwa, Kościoła, środowiska, rodziny, prawa, systemu opieki, trudnej codzienności. Za ponad 600-stronicową opowieścią stoi wielka praca, znalezione w archiwach odpryski informacji, poszukiwania w kulturze. Pozbierane wywiady oddają głos wojennym dzieciom. Wrażliwość autora dobrze prowadzi czytelnika po dramatycznych, intymnych historiach, częścią książki są opowieści o powojennych aborcjach. Autor nie ucieka od kwestii etycznych. Pokazuje także, jak ważni są ludzie, którzy wbrew społecznemu tabu potrafią zawsze dostrzec skrzywdzonego człowieka.

BOŻENA SZAYNOK



Tomasz Zyśko, Siłą wyciągnięci z bunkrów. Wszystkie sekrety pewnego zdjęcia z getta warszawskiego,

Wydawnictwo ZNAK HORYZONT,
Kraków 2022

Jürgen Stroop, generał SS, który zmiażdżył powstanie w getcie warszawskim – na zakończenie wysadził w powietrze wielką synagogę. Potem sporządził raport o swoim „zwycięstwie” dla przełożonego Heinricha Himmlera. Dołączył do niego 52 zdjęcia. Słynne, na których



Nominowało Jury w składzie: dr hab. **BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA**, prof. dr hab. **DARIUSZ STOLA**, dr hab. **BOŻENA SZAYNOK**, red. **MARIAN TURSKI**, prof. dr hab. **WIESŁAW WŁADYKA**, dr hab. **MARCIN ZAREMBA**.

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są:

zaKS
sprzyjamy wyobraźni

Dantex

ABUR
Systemy automatyki



Zaprzysiężenie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, Warszawa, 23 grudnia 1995 r.

„Ta książka to nie jest biografia, ale jakaś summa życia” – napisał Aleksander Kwaśniewski na końcu wywiadu rzeki (pt. „Prezydent”), jakiego udzielił Aleksandrowi Kaczorowskiemu. Były prezydent przedstawia kolejne etapy swojego życia i politycznej kariery, przywołuje mnóstwo zdarzeń, tych o największej wadze, ale także anegdotycznych, opisuje wiele postaci, analizuje rzeczywistość. W tej „summie” przegląda się najnowsza historia Polski, ale i świata. Wybraliśmy początkowy fragment dotyczący wojny w Ukrainie i spotkania Kwaśniewskiego z Władimirem Putinem.

Obsesja Putina

Panie prezydencie, spodziewał się pan, że Putin wywoła wojnę z Ukrainą?

Nigdy nie miałem wątpliwości co do jego polityki względem Ukrainy. Podczas spotkania w Moskwie w 2002 r. powiedział mi parę rzeczy, które wyjaśniają jego obecną postawę.

Wracałem z mundialu w Korei, Polska zagrała tam inauguracyjny mecz z drużyną gospodarzy w Pusan. Z tego przegranego meczu najbardziej zapamiętano nasz hymn w wykonaniu Edyty Górniak.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Omsku, gdzie gubernatorem był Leonid Draczewski, olimpijczyk, wioślarz, a przy okazji były ambasador Rosji w Warszawie. Mile nas przyjęto i umówiono spotkanie z Putinem w Moskwie.

Tak po drodze?

Putin był wtedy na takim etapie, że podobne spotkania były możliwe. A ja miałem z nim dobre kontakty.

Nie spóźnił się?

Nie, ta cecha rozwinęła się u niego później. Mało tego – choć wizyta była nieoficjalna, przyjął mnie na Kremlu. Pokazał mi swoje prywatne apartamenty, zajmowały całe piętro. Największe wrażenie zrobiła na mnie kaplica. Czuć było zapach świec i kadzideł. Powiedział, że jego ówczesna żona Ludmiła, bardzo zaangażowana w działania Cerkwi, często z niej korzysta. Rozmawialiśmy w cztery oczy po rosyjsku, więc czuł się swobodnie. Zapytałem: „Jakie są twoje cele?”

Byliście na ty?

Przeszliśmy na ty już przy naszym pierwszym spotkaniu. Putin jest tylko dwa lata starszy ode mnie. Można powiedzieć, że reprezentujemy to samo pokolenie, choć mamy zupełnie inne doświadczenie formacyjne. Odpowiedział: „Moim celem jest odbudowa Wielkiej Rosji”.

I co pan wtedy pomyślał?

Potraktowałem jego słowa jako wyraz ambicji czy marzenie stosunkowo

młodego polityka – miał wtedy 50 lat – nie zaś plan działania czy obsesje. Tym bardziej że mówił o odbudowaniu Wielkiej Rosji metodami pokojowymi, przez takie koncepcje jak Unia Euroazjatycka.

Był w tym także element humorystyczny. Gdy zapytałem, którzy przywódcy w dziejach Rosji najbardziej mu imponują, odpowiedział: „Jest ich troje: Piotr Wielki, Katarzyna Wielka i Józef Wissarionowicz”. Nie powiedział Stalin, tylko Józef Wissarionowicz. To jest ciepłe określenie, *otczestwo*. Słowo Stalin źle się kojarzy.

„Rozumiem, że chciałbyś być czwarty na tej liście?” – zażartowałem. „Ale jakkolwiek by patrzeć, byłbyś dopiero drugim Rosjaninem w tym gronie”. Bo Katarzyna była ze Szczecina, a Stalin z Gori w Gruzji.

To było trochę złośliwe, ale wtedy mogliśmy jeszcze tak rozmawiać. On od niedawna był prezydentem, a ja

zostałem wybrany na drugą kadencję, więc w gronie głów państw mogłem uchodzić za seniora.

Jakie zrobił na panu wrażenie?

Nie było po nim znac tej wielkorozyjskiej buty, która wcześniej pojawiała się na przykład podczas współpracy z Jelcynem. Uważam Jelcyna za postać pozytywną – w końcu zgodził się na wyprowadzenie wojsk radzieckich z Polski i zaakceptował, chociaż bardzo niechętnie, nasze wejście do NATO. Nie był demokratą, ale jak miał na stole rozwiązanie bardziej lub mniej demokratyczne, to skłaniał się ku temu pierwszemu. Cokolwiek by jednak powiedzieć, był bardzo „wielkorosyjski”, choćby ze względu na swoją posturę, tubalny głos, sposób zachowania.

Putin wtedy taki nie był. Sprawiał wrażenie wycofanego. Wydawał się zainteresowany rozmową, zadawał ciekawe pytania, ale głównie słuchał. Myślę, że to wynikało z jego charakteru, ale i z ukształtowania – najpierw rozpoznać teren, a potem decydować.

Mimo to powiedział mi, choć nie wprost, że upadek komunizmu to największa geopolityczna katastrofa wieku. Nie zostawił suchej nitki na Gorbaczowie; w stosunku do Jelcyna był ostrożniejszy, w końcu to z jego ręki dostał władzę. Stwierdził też, że Rosja znowu musi się znaleźć pośród wielkich graczy polityki międzynarodowej, nie może być dłużej marginalizowana.

Co do tej ostatniej kwestii – każdy na jego miejscu chciałby tak zrobić. Ale odbudowa Wielkiej Rosji, zwłaszcza z naszego punktu widzenia, stanowiła problem. Było przecież jasne, że to musi dotyczyć krajów byłego bloku wschodniego, a już na pewno byłego Związku Radzieckiego. Kwestionowałyby to ich świeżą niepodległość i suwerenność uprawianą politykę.

Obserwowałem potem jego przemianę od marzenia przez plan aż do obsesji. Plan zaczął się krystalizować w 2004 r.

Pomarańczowa rewolucja w Ukrainie?

Bardzo ją przeżył. Raz, że kompletnie jej nie rozumiał, a dwa – uważał, że to jest dla niego śmiertelne zagrożenie. Okazało się, że ulica, społeczeństwo mogą nie tylko protestować przeciw sfałszowanemu wyborom, lecz także wymuszać decyzje polityczne. To był dla niego szok. Wtedy nasze drogi się rozeszły. Normalne, otwarte kontakty stały się nienaturalne.

Ale spotykaliście się jeszcze?

W styczniu 2005 r. w Oświęcimiu i 9 maja w Moskwie, w sześćdziesiątą rocznicę zwycięstwa, dokąd pojechałem

mimo protestów w Polsce. Uważałem, że trzeba wykonać jakiś gest, by nie zamrozić stosunków polsko-rosyjskich. Ale od czasu pomarańczowej rewolucji z Putinem wyłącznie się kłóciliśmy, nie potrafiliśmy już znaleźć wspólnego języka. Od 2014 r., czyli od drugiego Majdanu, to już była jego obsesja.

Pojawiły się też sygnały, których wagi nie doceniłem. W 2021 r. Kreml opublikował jego esej dotyczący Ukrainy – propagandowy tekst, którego sens sprowadza się do tego, że Ukraina nie jest państwem, Ukraińcy nie są narodem, a większość terytorium zawdzięczają głupim gestom ze strony Rosji, takim jak przekazanie Krymu w rocznicę ugody perejaśławskiej z 1654 r. A skoro tak, to trzeba zbudować Wielką Rosję, bo Rosjan i Ukraińców więcej łączy, niż dzieli.

To był nie tylko program agresywnych działań wobec Ukrainy, lecz także ich usprawiedliwienie. Putin mógł później powiedzieć każdemu przywódcy: „Czemu się dziwisz, przecież o tym pisałem. Twoja wina, że jesteś nieoczytany”.

Jeśli zaś chodzi o sam wybuch wojny, to mieliśmy informacje od Amerykanów. Przez kilka miesięcy byliśmy bombardowani wiadomościami, że będzie wojna.

Ma pan na myśli informacje dostępne w mediach?

Amerykanie mają bardzo dobry wywiad i pierwszy raz użyli go w ten sposób, publicznie. Tak więc właściwie nikt na świecie nie powinien być zaskoczony, że wojna wybuchła. A jednak większość z nas ona zaskoczyła.

Ja także miałem nadzieję, że w Putinie przeważa pragmatyk. Idee ideami, pomysły pomysłami, ale przecież trzeba skalkulować, czy opłaca się rozpocząć coś, co może się niedobrze skończyć. Myślałem, że on tylko straszy, że chce uzyskać koncesje, zwłaszcza ze strony Zachodu, stąd ta akcja z gromadzeniem wojsk przy granicach. Równoległe Siergiej Ławrow przekazał Zachodowi swoje ultimatum. Miał to być pomysł na bezpieczeństwo światowe – chodziło o to, żeby strefa wokół Rosji była neutralna, żeby żaden sąsiad nie był członkiem NATO, żeby doprowadzić do demilitaryzacji Ukrainy i tak dalej. Mało tego – w tych dokumentach strategicznych oni pisali o powrocie do stanu sprzed 1991 r., a to by znaczyło, że i dla Polski nie ma miejsca w NATO.

Ale ja to potraktowałem jako próbę zmiękczenia niektórych krajów Zachodu, uzyskania jakichkolwiek ustępstw.

Kiedy zmienił pan zdanie?

Zrozumiałem, że dojdzie do wojny, gdy Putin uznał niepodległość tak zwanych Republik Ludowych – Donieckiej i Ługańskiej. Posłużył się wtedy językiem pełnym agresji: werbalnej, emocjonalnej, intelektualnej... każdej. To był język przemocy, od którego nie ma odwrotu.

To było kilka dni przed wybuchem wojny.

Dzwoniłem wtedy do różnych zagranicznych przyjaciół i mówiłem: „Słuchajcie, będzie wojna”. Oni wciąż nie wierzyli. Więc jeśli pan pyta, czy myślałem, że dojdzie do wojny, to powiem, że po części tak, a po części nie. To, że Putin chce mieć w swoich rękach Ukrainę, było oczywiste, ale myślałem, że spróbuje to zrobić w sposób inteligentniejszy, politycznie, przez nacisk ekonomiczny, oddziaływanie międzynarodowe, destabilizowanie Kijowa, różne działania hybrydowe.

Z jego perspektywy wygląda to pewnie tak, że on już tego wszystkiego próbował. Bezskutecznie.

Przerobienie Ukrainy na Rosję było niemożliwe co najmniej od 1991 r. Putin nie docenił tego, że nostalgia za dawnym, za pozycją mniejszego partnera Rosji słabła tam z roku na rok. To był nieodwracalny proces, który wzmocniła pomarańczowa rewolucja. To, że nie zostali wtedy rozpedzeni, rozstrzelani, posadzeni do więzień czy wywiezieni do łagrów, przekonało Ukraińców, że mogą mówić własnym głosem. Kolejni prezydenci, włącznie z Wiktorem Janukowyczem, zdawali sobie z tego sprawę.

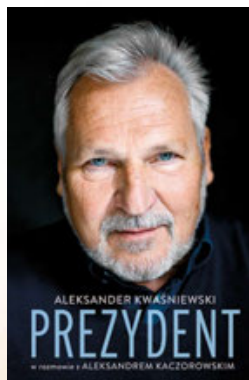
A kiedy pan to zrozumiał?

Na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy zacząłem podróżować do Ukrainy jako poseł. Zauważyłem wtedy niezwykłą wolę bycia niepodległym, suwerennym państwem. W kraju, który wydawał się zniewolony i mocno zrusyfikowany

– bo przecież słowo „Ukraina” znaczy tyle, co prowincja, kraj na uboczu. Poznałem wtedy mnóstwo ludzi, w których była wielka duma i przywiązanie do kultury ukraińskiej.

Oni to odkrywali krok po kroku.

Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim, Wydawnictwo Znak Literanova, Kraków 2023 r.





na ekranie

Siła dokumentu

Millennium Docs Against Gravity, 12–21 maja stacjonarnie i 23 maja–4 czerwca online, Warszawa, Wrocław, Gdynia, Poznań, Katowice, Łódź, Bydgoszcz, Lublin

Hasto jubileuszowej, 20. edycji festiwalu filmów dokumentalnych „Nie bądź obojętny_a” to odwołanie do credo Mariana Turskiego, które stało się także symbolem obchodów 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim. Imprezę otworzy „Pianoforte” Jakuba Piątka, pasjonująca opowieść o uczestnikach Konkursu Chopinowskiego, oklaskiwana w Sundance. W programie mnóstwo atrakcji – z najnowszym dziełem Nikolause Geyrhaltera „Nie na miejscu” o globalnej nadprodukcji śmieci na czele. Fanów Wernera Herzoga ucieszy „Scena myśli”, wędrowka po ludzkim mózgu i roli neurobiologii we współczesnym świecie. Laureatka weneckiego Złotego Lwa i nominowana do Oscara Laura Poitras („Citizenfour”) w „Całe to piękno i krew” opowie o Nan Goldin – fotografce, która zdobyła sławę, dokumentując życie osób LGBT+ w Stanach Zjednoczonych i epidemii AIDS w latach 80. i 90., a obecnie walczy z koncernem farmaceutycznym odpowiedzialnym za kryzys opioidowy. Anna Hints, nagrodzona za reżyserię w Sundance, w „Siostrzeństwie świętej sauny”

zaprasza do estońskiej sauny, gdzie kobiety dzielą się swoimi najbardziej intymnymi historiami. Na uwagę zasługuje także „Apolonia, Apolonia” Lei Glob, ciekawy portret malarki Apolonii Sokol walczącej o zaistnienie w świecie sztuki (zwycięzca festiwalu IDFA). Temat kobiecej solidarności, tworzenia bezpiecznych przestrzeni, szukania swojej drogi oraz wspólnego działania wobec przemocy i nierówności podejmują też głośne filmy zgrupowane w dwóch nowych sekcjach: Siła siostrzeństwa oraz Se_x Work, poświęconej pornografii i pracy seksualnej. Oprócz tytułów prezentujących środowisko queerowe czy portrety wielkich postaci świata kultury, takich jak Elfriede Jelinek, Annie Ernaux, Stanisław Lem, Guy Debord, Umberto Eco, David Lynch, Jane Campion, warto polecić warsztaty m.in. o sztuce tańca i debaty poświęcone palącym problemom współczesności, np. jak rozmawiać z ludźmi o przeciwstawnych światopoglądach z udziałem prof. Anny Gizy i prof. Moniki Kostery oraz wykład Bartka Chacińskiego o znanych piosenkach funkcjonujących w różnych popkulturowych kontekstach.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Jeden za wszystkich 4/6

Trzej muszkietierowie: D'Artagnan
(Les Trois Mousquetaires: D'Artagnan),
reż. Martin Bourboulon, prod. Francja,
Niemcy, Hiszpania, 121 min

Choć można mieć wrażenie, że przygody muszkietierów trafiają na ekrany regularnie, francuska kinematografia nie mierzyła się z powieścią Alexandre'a Dumasa od ponad pół wieku. Nowa ekranizacja (podzielona na dwie części, druga ma trafić na ekrany francuskich kin pod koniec roku) dostała z tej okazji wysoki budżet i gwiazdorską obsadę, w której błyszczą Eva Green, Vincent Cassel oraz Vicky Krieps. Realizacja jest zaś z jednej strony godna superbohaterskiego widowiska, z efektownie kręconymi scenami pojedynków, z drugiej zaś dochowuje względnej wierności historycznym realiom. Sama fabuła została nieco przycięta – choć wciąż jej osią jest walka D'Artagnana (**François Civil**) i przyjaciół ze spiskowcami kardynała Richelieu – i odświeżona z myślą o współczesnej widowni. To wciąż awanturczo-przygodowa opowieść o facetach skorych do pojedynków o byle głupstwo, ale już relacje damsko-męskie naszkicowane zostały subtelniejszą niż w prozie Dumasa kreską, a postaci kobiece – nie tylko złowieszczą Milady, lecz także Konstancja (**Lyna Khoudri**) i królowa Anna Austriaczka – są ciekawsze i bardziej niezależne niż w oryginale. Czy ten dyskretny retusz wystarczy, by kolejne pokolenie widzów (i czytelników – powieść, co dość zaskakujące, jest wciąż lekturą uzupełniającą w polskich podstawówkach) odkryło dla siebie prozę Dumasa? To wątpliwe, ale widowiskowy film radzi sobie świetnie także w ode-rwaniu od książki.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Algorytm i zakonnica 4/6

Pani Davis (Mrs. Davis),

twórcy serii: Damon Lindelof i Tara Hernandez, 8 odc., HBO Max

Damon Lindelof jest twórcą seriali „Pozostawieni” i „Watchmen”, Tara Hernandez ma na koncie komediowe hity „Teoria wielkiego podrywu” i „Młody Sheldon”. Ich wspólne dzieło łączy jej poczucie humoru i jego zamiłowanie do łączenia poważnych kwestii z szalonymi pomysłami fabularnymi. Tytułowa Pani Davis to Sztuczna Inteligencja, która przejęła stery świata, rozwiązała problem głodu i wojen, a z ludzi uczyniła swoich wyznawców. Jednak nie wszystkim ten nowy, wspaniały świat się



podoba – czoło Algorytmowi stawia charyzmatyczna zakonnica w habitospodniach, siostra Simone (**Betty Gilpin**), wspomniana przez swojego byłego chłopaka (Jake McDormann) oraz obecnego męża Jaya/Jezusa (Andy McQueen), który serwuje świetne falafele w ba-

rze gdzieś w zaświatach. Kruczata antyalgorytmowa obejmuje misję odnalezienia... świętego Graala („Algorytmy kochają cliché, a nie ma bardziej ogranej historii niż poszukiwanie świętego Graala”). I to nie jest jedyny wątek, który każe myśleć o dziedzictwie Monty Pythona. Seria Lindelofa i Hernandez to produkcja, w której wydarzyć może się wszystko – np. w pierwszym odcinku palenie na stosie w Paryżu w 1307 r. sąsiaduje z produkcją dżemu współcześnie na pustyni w okolicach amerykańskiego Reno oraz przygodami dr. Schrödingera i jego kota na bezludnej wyspie. Po obejrzeniu pięciu odcinków pozostaje się z wrażeniem, że kłopotem nie jest nadmiar pomysłów (czy otwarta kwestia, dokąd to wszystko zmierza), tylko niezbyt angażujący bohaterowie (przy świetnym aktorstwie i realizacji).

ANETA KYZIOŁ

Patrioci i idioci 4/6

Hydraulicy z Białego Domu (The White House Plumbers),

twórcy serii: Alex Gregory i Peter Huyck, 5 odc., HBO Max

Opowieść o aferze Watergate, która pograżyła prezydenturę Richarda Nixona, z perspektywy tytułowych hydraulików – czyli agentów wynajętych do zatknięcia wycieku tajnych dokumentów, a gdy ta misja nie wypaliła, do założenia podsłuchów w sztabie wyborczym Partii Demokratycznej – ma ton satyryczny. Główni bohaterowie, byli agenci CIA – E. Howard Hunt (**Woody Harrelson**) i FBI – G. Gordon Liddy (**Justin Theroux**), wraz ze współpracownikami swoimi działaniami przypominają gang Olsena. Ich niekompetencja poziomem dorównuje ich narcyzmowi, głupota łączy się z fanatyzmem i skłonnością do przemocy, usprawiedliwianą źle pojmowanym patriotyzmem. Humor jest tu w wersji cringe, a śmiech tłumi z jednej strony świadomość,



że pokazywane sytuacje są prawdziwe, z drugiej zaś fakt, że współcześnie podobne kompromitacje niezwykle rzadko mają poważne konsekwencje, o zmianie władzy nie wspominając. Z jeszcze innej perspektywy znaną historię Watergate opowiada startujący u nas równoległe z „Hydraulikami” serial „Gaslit” (8 odc., Canalplus.com), zainspirowany podcastem „Slow Burn”. Pierwsze skrzypce gra tu Julia Roberts jako Martha Mitchell, żona szefa kampanii wyborczej Richarda Nixona, Johna Mitchella (Sean Penn z doklejonymi podbródkami i łysiną), celebrytka i whistleblowerka, która walenie przyczyniła się do ujawnienia taśm Watergate, za co zapłaciła ogromną cenę. Ale ważne role w tym komediodramacie przypadają także innym kobietom, w tym Mo Dean, żonie prawnika z Białego Domu Johna Deana (Dan Stevens), w świetnym wykonaniu Betty Gilpin. AK

w galerii

Prześwietlenie ruin 4/6

Zgruzowstanie Warszawy 1945–1949,

Muzeum Warszawy, do 3 września

Nieco ryzykowny mógł się wydawać pomysł, by gruzom poświęcić całą wystawę. Ale nie o byle jakie gruzy szło, tylko o te zalegające w Warszawie po drugiej wojnie światowej. I nie byle kto za temat się zabrał – kurator ekspozycji Adam Przywara bada je od lat i nawet dzięki nim uzyskał doktorat na brytyjskiej uczelni. W efekcie otrzymaliśmy ekspozycję z jednej strony fascynującą i różnorodną formalnie, sięgającą po najprzeróżniejsze eksponaty: dzieła sztuki, zdjęcia, plansze, mapy, materialne świadectwa epoki, historyczne dokumenty, a nawet fragmenty literatury. A z drugiej – świetnie przemyślaną, uporządkowaną, przyglądającą się sprawie



w różnych aspektach. I nawet przed tymi, którym wydaje się, że o powojennych dziejach stolicy wiedzą sporo, wystawa odkrywa wiele ciekawostek i nieoczywistych narracji. O skarbach odkopywanych w ruinach, o oszustwach, które towarzyszyły wywózce gruzów, o logistyce zagospodarowywania milionów ton rumowisk, o fenomenie gruzobetonu, a nawet o ekosystemie, który spontanicznie i szybko powstał w tym

wielkim świecie ruin. O tym, jak do Warszawy szły transporty cegieł z rozbiórek w całej Polsce, ale ze stolicy z kolei szły transporty gruzu, który posłużył choćby do uregulowania ponad 360 km Wisły. Na wystawie spotkałem Ukraińców. Dla nich to być może historia paradoksalnie optymistyczna, pokazująca, że ich przyszła droga do normalności nie jest wcale taka długa.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Żal róż 4/6

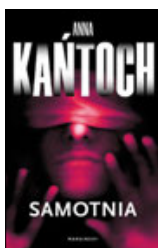
Rebecca Solnit, **Róże Orwella**, przeł. Dawid Czech, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2023, s. 344

Do George'a Orwella bezsprzecznie (i w pewnym sensie słusznie) przylgnęła łata defetysty. Ale autor „Roku 1984” był kimś więcej niż tylko surowym prorokiem nowych czasów. uprawiał różę, w tym znajdował ukojenie. Orwell pochylony nad grządką i karmiący kozy po ludzku wzrusza i rozczula. Tkliwość i piękno zwykłych rzeczy przemyczał zresztą do swoich powieści. Dla Rebeci Solnit to punkt wyjścia do głębszego namysłu nad relacją człowieka z przyrodą i przyrody z polityką. Za Orwellem pisze, że posiadanie hobby – jak uprawa własnego ogródka – to cecha ludzi wolnych i szanujących prywatność, którą totalitaryzmy zawsze usiłują stłamsić. W dodatku „we współczesnym świecie nie brak pięknych rzeczy wytwarzanych w nader paskudny sposób”. Solnit odwiedza m.in.



fabrykę róż – Kolumbia produkuje 80 proc. kwiatów eksportowanych do USA, ale nie przestrzega etyki pracy i stosuje wyzysk. Za cięte kwiaty w każdym markecie ktoś musiał słono zapłacić. W pewnym sensie wszyscy na tym tracimy. Solnit skacze po tematach, podążając tropem własnych skojarzeń. Stawia też wiecznie aktualne pytanie o to, czy wypada czerpać przyjemność z życia w świecie pełnym niesprawiedliwości. Jej książka to zarazem pochwała kontemplacji, harmonii, dobrze rozumianego nieróbstwa. „Jeśli zbyt długo nie będziemy oddawać się siedzeniu i myśleniu o chmurach, możemy zapomnieć, jak i po co się to w ogóle robi, tak bardzo zwiędniemy w drodze do celu, że nigdy go nie osiągniemy” – zauważa. Orwell chyba przyznałby jej rację.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Czego nie widać 5/6

Anna Kańtoch, **Samotnia**, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023, s. 376

Popularny pisarz Leon Cichy traci wzrok na skutek wypadku samochodowego, a gdy wraca do zdrowia, orientuje się, że jego młoda żona Julia nie jest tą samą osobą, z którą kilka miesięcy wcześniej się ożenił. Problem w tym, że nikt mu nie wierzy: spontaniczny ślub odbył się za granicą, a rodzina poznała dziewczynę dopiero wtedy, gdy Leon leżał

w szpitalu. Jego bliscy mają zresztą swoje sekrety, a pozory są dla nich zazwyczaj ważniejsze niż prawda. Ten hitchcockowski schemat fabularny – wspomagany bezpośrednimi odwołaniami do „Misery” Stephena Kinga – Anna Kańtoch przenosi w realia Dolnego Śląska, sprawnie wykorzystując niepokój wywołany przez pandemię. Przede wszystkim jednak pisze bardzo sensualnie, przykładając szczególną uwagę do dźwięków, zapachów, dotyków: jej książka ma formę przemysłu nagrywanych na bieżąco przez głównego bohatera, który musi nauczyć się żyć w ciemności. Dzieje się tutaj, nie tylko w znaczeniu fabularnym, bardzo dużo: „Samotnia” jest refleksją na temat pamięci, zacierającej się granicy między fikcją a faktami, samotności, a nawet dyskretną kpinią z męskich fantazji i celnym ciosem w ten rodzaj literatury gatunkowej wciąż często zaaludnianej przez papierowych samców alfa. A że sam Leon jest autorem kryminałów, „Samotnia” staje się również nienachalną dekonstrukcją procesu twórczego.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Szkoła braku uczuć 4/6

Hervé le Tellier, **Wszystkie szczęśliwe rodziny**, przeł. Wiktor Dłuski, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2023, s. 176

Autor bestsellerowej „Anomalii” tym razem opowiada o swojej rodzinie i dorastaniu, ale w tonacji nietypowej dla książek autobiograficznych, bo pozabawionej nostalgii czy rozpamiętywania krzywd i traum – lekkiej i autoironicznej. Oto w czasie pierwszej komunii udało mu się pomylić formułkę i wyrzec się Jezusa, a związać z szatanem. Le Tellierem, potomkiem arystokratycznego rodu, stał się, przyjmując nazwisko nie ojca, tylko ojczyma – Guya. Tak ustaliła matka, która bardzo chciała aspirować do klasy wyższej, ale przede wszystkim nosiła w sobie furię i wściekłość, która obracała się również przeciwko synowi. Potrafiła wkroczyć na zajęcia na uniwersytecie, kiedy studiował i wyzywać go od fajdaków. Wojna między nimi trwała przez całe życie, matka była przekonana, że syn zawiódł jej aspiracje i nigdy mu nie wybaczyła. A syn starał się coś naprawić, aż zrozumiał, że się nie da. Mógł ją tylko znosić. Ta książka nie składa się z samych anegdot, choć jest ich tu sporo. Są też i tajemnice rodzinne – jak zagadka szwajcarskiego konta ojczyma. „Każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa po swojemu” – Le Tellier cytuje Tołstoja i zastanawia się, jaka była ta rodzina, od której jak najszybciej chciał uciec. Od wściekłości matki, nijakości ojczyma, od braku miłości. Ta historia z czasem staje się opowieścią – całkiem serio – o tym, co się rodzi z braku. I jaka jest w tym rola literatury. Bo Le Tellier nie odnajdywał siebie w innych opowieściach o synach i matkach. „Zrozumiąłem, że dziecko nie ma czasem innego wyboru niż ucieczka i że narażając swoją wrażliwość, będzie zawdzięczało owej ucieczce to, że jeszcze mocniej pokocha życie”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

100 proc. zombie 4/6

Dead Island 2, Dambuster Studios, Deep Silver, PlayStation 5, PS4, Windows, Xbox One, Series X/S

Rzeź zombie. Kijem do golfa, sztachetą, gazurką przez łeb; maczetą, nożem po łapach i kulasach. Brutalna, wręcz obsceniczna w swej makabrycznej dosłowności, nieustająca i, no cóż, odprężająca. Znakomity rekwizyt terapeutyczny – korporeacje powinny wręczać takie gry pracownikom wraz z kartą magnetyczną w momencie zatrudnienia. Tym razem stawiamy czoło hordom zombie w Los Angeles i przyległościach. Brawa za całkiem wierne odwzorowanie okolic. Będziemy się przebijając w stronę lokalnego Władysława, czyli Santa Monica ze słynnym mołą, przez podmiejską dzielnicę bogaczy Bel-Air, Hollywood Boulevard, Beverly Hills i studio filmowe, wzorowane, sądząc po charakterystycznej bramie, na Uniwersalu. Scenografię gry ewidentnie dobrze się bawili w pracy. Główna słabość, „Dead Island 2”? Wystarczy się odwrócić, by na ulicy, którą przed chwilą zdezynfekowaliśmy, pojawiły się kolejne nieumarłe truchła.



Dopisany rozdział 4/6

Horizon – Forbidden West: Burning Shores, Guerilla Games, Sony Interactive Entertainment, PlayStation 5

Dodatek do jednej z najlepszych gier wideo ubiegłego roku jest niemal dokładnie tym, czego oczekiwaliśmy, ale by zagrać w „Burning Shores”, trzeba posiadać i ukończyć grę podstawową: „Horizon – Forbidden West”. Co więcej, w wersji na PlayStation 5. Użytkownicy PS4 zostali pominięci, bo projektanci chcieli stworzyć grę bardziej olśniewającą wizualnie. Czy to widać? Chyba oczekiwaliśmy większych różnic. Tym razem Aloy wyrusza do ruin Los Angeles, by pokonać ostatniego przeciwnika, o którym dotąd nie wiedziała. Zadanie zleca jej Sylens i jest to jedna z ostatnich kreacji zmarłego w marcu Lance’a Reddicka (w wyświetlanym w kinach „Johnie Wicku 4” gra Charona, konsjerżera w hotelu Continental). „Burning Shore” to oczywiście nowi sojusznicy i wrogowie, nowe broje, bronie i scenerie. Wszystko lege artis, ale pamiętajmy, że taki dodatek jest jak dopisany rozdział do już ukończonej książki. Nie sposób oczekiwać podobnej satysfakcji.



Piękny bubel 2/6

Star Wars – Jedi: Ocalały, Respawn Entertainment, Electronic Arts, Windows, PlayStation 5, Xbox Series X/S

Kontynuacja przygód Cala Kestisa, bohatera „Star Wars – Jedi: Upadły zakon” (2019 r.), najlepszej od lat gry osadzonej w uniwersum „Gwiezdnych wojen”, wydawała się skazana na sukces. Cameron Monaghan, znany głównie z roli Iana Gallaghery w serialu „Niepokorny”, dobrze odnalazł się jako niepokorny niedobitek z polowania na rycerzy Jedi, stawiający partyzancki opór Imperium. Projektanci ze studia Respawn Entertainment zadbałi o angażującą rozgrywkę, z kolei poczucie humoru i dystans scenarzystów sprawiły, że banalna opowieść w konwencji heroicznej okazała się strawną. Niestety, gra powtórzyła los premiery „Cyberpunka 2077”. Okazała się technicznym buble. Nawet na potężnym komputerze z kartą graficzną Nvidia RTX 4080 momentami jest odtwarzana z niedostateczną płynnością. Szkoda, bo rozbudza oczekiwania. Gdy studio naprawi grę, będzie warto się z nią zapoznać. Obecnie szkoda nerwów.



OLAF SZEWCZYK

na płycie

Co poszło nie tak 5/6

Dorota, **Wolne**, SBM A



Zaproszenie Doroty Masłowskiej do katalogu SBM wydawało się rok temu świetnym ruchem wizerunkowym dla tej popularnej wytwórni rapowej. Dziś, po publikacji krótkiej płyty „Wolne” i oświadczeniu wytwórni o pożegnaniu z artystką, wygląda raczej na wizerunkowe seppuku. Nie chodzi o to, że jest źle – wprawdzie Masłowską jako raperkę przywitały morze hejtu i mur niezrozumienia, to na poziomie literackim wykonała tu rzecz wyjątkową. Estetykę „Innych ludzi” – przemielonych ulicznych dialogów Polski B, krajowego rapu, cytatów ze znanych piosenek, powagi i ironii mieszanych z kamienną twarzą – niebezpiecznie przybliżyła do opowieści o sobie. Co zaskakujące, w najmocniejszych, częściowo najbardziej osobistych tekstowo fragmentach – takich jak „Ojciec”, „Idę do Ciebie” czy „Gadzety” – to podkłady muzyczne wydają się nie nadążać za opowieściami o bólu, śmierci, wyzwoleniu czy strachu przed odrzuceniem. Może i Dorota weszła do tego zdominowanego przez młodych męskich profesjonalistów nurtu jako utytułowana w innej dziedzinie amatorka, ale efekt końcowy odwrócił te proporcje. „Weź se skrócić” – sugeruje wokalistka. I trzeba będzie sporo tych skręć, żeby udawać, że nikomu nie zepsuła beztrudniej zabawy.

BARTEK CHACIŃSKI

Poezja depresji 5/6

Daria ze Śląska, **Tu była**, Jazzboy



Gdyby zrobić przegląd polskich piosenek z ostatnich lat pod względem ich nastroju, okazałoby się, że zdecydowanie więcej jest w nich smutku i melancholii niż radości. Chciałoby się rzec – takie czasy, taki klimat. I taka jest płyta Darii ze z Śląska „Tu była”. Weźmy choćby piosenkę „Dziewczyna z tatuażem”. Tytułowe nawiązanie do kryminału Stiegi Larssona nie jest przypadkowe, tyle że opis ciała ofiary mordercy podany wokalnie w sposób beznamienny każe widzieć w zbrodni coś, co „po prostu się zdarza”. Tak jak opis wakacyjnej codzienności w „Chinatown” – krótkie spodenki moro, lodziarnia z włoskimi lodami, w tle ktoś puszcza przebój Myslovitz „Peggy Brown”. Ale to wszystko podszyte jakimś irracjonalnym (?) niepokojem, jakby miało się zdarzyć coś strasznego. Zamach terrorystyczny? Koniec świata? Debiutancki album Darii ze Śląska wychodzi poza konwencjonalną melancholię, co podkreśla także charakter kompozycji, sposób śpiewania, aranżacje. To brzmi jak świadectwo depresji, tyle że opisane w języku poezji i zagrane niezwykle sugestywnie.

MIROSLAW PĘCZAK

Lekcje z kolekcji

Vermeer w Amsterdamie jest hitem – jak trasy koncertowe Taylor Swift czy Beyoncé. I przyczynkiem do pytania: jak się wykuwa taki sukces w muzealnictwie?

N

DOMINIKA PALKA

ajwiększą w historii wystawę dzieł Johanna Vermeera w Rijksmuseum można oglądać już od 10 lutego. W sumie sprzedano na nią 450 tys. biletów, można więc szacować, że jak dotąd odwiedziło ją ok. 340 tys. osób.

To jedna z tych megawystaw, które zarówno same muzea, jak i media określają „once in a life-time opportunities”. Czytając nagłówki, można pomyśleć, że żyjemy w świecie po brzegi wypełnionym takimi „okazjami życia” czy „jedynymi szansami”, więc chyba, wbrew semantyce, nie szkodzi, jeśli równie seryjnie je marnujemy. Ale Vermeera – rekordowe 28 (choć teraz, kiedy „Dziewczyna z perłą” powróciła do swojego macierzystego muzeum w Hadze, 27) dzieł wystawianych w Amsterdamie przez Rijksmuseum – zobaczyć warto. Warto też, przy tej okazji, zajrzeć za kuliszy tworzenia wystaw – nie tylko tych ogromnych, ale także trochę mniejszych.

Marzenie kustosa

Typowa ścieżka przy pracy nad dużą wystawą? Kustosz wpada na pomysł, zgłasza go zarządowi muzeum, dopracowuje kolejne kwestie: artystyczne, administracyjne, organizacyjne,

ekonomiczne. – *Mój pierwszy kontakt, kiedy pomyślę o wystawie, to zespół konserwatorski, bo trzeba odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: co nadaje się do eksponowania w warunkach, które jesteśmy w stanie stworzyć?* – tłumaczy kustosz Beata Romanowicz z Muzeum Narodowego w Krakowie.

Kolejna kluczowa decyzja to ta, czy wystawa sięgnie po zbiory własne, czy po wypożyczone. – *To nie jest tak, że z własnych zbiorów nie można zrobić świetnej wystawy, przykładem była nasza wystawa Hokusai'a w 2021 r., przyjeżdżali na nią ludzie z całego świata. Ale jeśli zdecydujemy się wypożyczać, to trzeba się zastanowić skąd? A to oznacza kontakt z muzeami, instytucjami, kolekcjonerami, często osobami prywatnymi – trzeba szukać nie tylko w prywatnych kolekcjach, ale ba – czasem w czyichś mieszkaniach! Często to jest wędrówka po nitce, na początku której są informacje o tym, kogo artysta znał, z kim się spotykał. W ten sposób pomału docieramy do ludzi, którzy coś wiedzą. Trochę jak praca detektywistyczna. Potem pojawia się ta króciutka informacja pod obrazem: „ze zbiorów prywatnych” – a że do tego obrazu docieraliśmy dwa lata, nikt nawet nie pomyśli – opowiada Romanowicz.*

Pod tym względem Vermeer jest oczywiście inny. O jego obrazach, o których wiemy, że istnieją, wiemy też doskonale, gdzie się znajdują. Trudno też podejrzewać, aby sam pomysł





Tuż przed otwarciem wystawy „Vermeer” w amsterdamskim Rijksmuseum. Na fot. „Mleczarka” oraz katalog wystawy.



W Amsterdamie zebrano 28 dzieł, które na co dzień są rozsiane po całym świecie, m.in. wypożyczona z Hagi „Dziewczyna z perłą”.

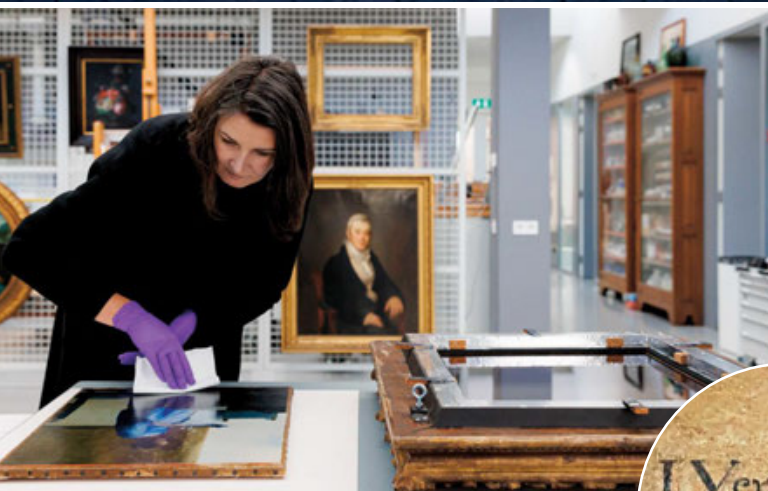
zorganizowania zbiorczej prezentacji dzieł takiego artysty był jakkolwiek oryginalny. To raczej marzenie wielu kustoszów, zresztą częściowo już wcześniej realizowane – w latach 90. w Waszyngtonie i Hadze, w 2017 r., choć na mniejszą skalę, w Luwrze. W przypadku Rijksmuseum ważnym bodźcem do tworzenia wystawy była konkretna sytuacja na rynku muzealnym: remont The Frick Collection w Nowym Yorku, umożliwiający wypożyczenie dzieł Vermeera, które prawie nigdy nie podróżują, m.in. „Oficera i roześmianą dziewczynę”.

Ale koncepcja, nad którą kustosz myśli, to przecież nie tylko odpowiedź na pytanie: co i kogo wystawiać, ale przede wszystkim: jak to robić. W amsterdamskim Vermeerze uderza minimalizm, stojący w sporym kontraście z gęstą, encyklopedyczną stałą ekspozycją Rijksmuseum. Wystawa pozwala grać przestrzeni, nie boi się pustki, nie wypełnia jej na siłę rozległymi opisami obrazów czy biograficznymi i historycznymi informacjami. I przede wszystkim nie pokazuje nic oprócz samego Vermeera. Także istotne ograniczenie liczby zwiedzających (choćby w porównaniu z muzeum Van Gogha, gdzie można się poczuć jak na sobotnim targowisku) to dobra decyzja muzeum, przynajmniej z punktu widzenia odbiorcy. Zarówno tego, który oczekuje intymnego kontaktu ze sztuką, jak i tego, który liczy na fotkę z arcydziełem, którą później będzie mógł wrzucić na Instagram. Decyzja egzekwowana metodą, którą duże muzea stosują coraz częściej, zwłaszcza przy wystawach przyciągających tłumy – sprzedaż biletów z wyprzedzeniem i na konkretne godziny.

Zespół pracujący nad taką ekspozycją jest bardzo duży, to koordynatorzy, menedżerowie, edukatorzy, ludzie zajmujący się komunikacją i marketingiem, dział finansów, inwentaryzatorzy, konserwatorzy, scenografowie, obsługa, technicy i osoby związane z bezpieczeństwem zbiorów czy dbające o kwestie dostępności, których zadaniem jest sprawienie, aby wystawa była dostępna również dla odbiorców z dysfunkcją wzroku, słuchu, w spektrum autyzmu czy z ograniczoną możliwością ruchu. – *To zaangażowanie osób odpowiedzialnych za kontakt z publicznością już od początku planowania wystawy jest ważne i w pewien sposób nowe. Nie jest to tylko kwestia reklamy, ale także samego zaprojektowania wystawy, między innymi poprzez pracę z przestrzenią: rozmieszczenie dzieł, organizację przejść dla publiczności czy np. decyzję o tym, czy wystawiamy coś, czego można dotknąć* – mówi p.o. dyrektora Muzeum Łazienki Królewskie Marianna Otmianowska.

Relacje z widownią

– *W grę wchodzi też oczywiście sprzedaż wystawy. Pod tym kątem Rijksmuseum jest wzorem do naśladowania. To instytucja, która ogromną wagę przywiązuje do relacji z publicznością, także poprzez organizację różnych akcji towarzyszących. Warto tu przypomnieć chociażby flashmob odtwarzający „Straż nocną” Rembrandta z okazji powrotu obrazu do muzeum po pracach konserwatorskich w 2017 r. To był performans w centrum handlowym, który później stał się wiralem.*



Przygotowanie dzieł do wystawy. Na fot. od lewej: „Kobieta w błękitnej sukni”, „Uliczka” oraz sygnatura Vermeera.



Na górze: fragment prezentacji – ułożonych chronologicznie wszystkich prac malarza.



► Niedawno Rijksmuseum zamieściło na Instagramie nagranie z lotniska, gdzie przylatujących witają obrazy nadrukowane na taśmie bagażowej. Mimo że wystawa reklamy nie potrzebuje, bo wszystkie bilety zostały już dawno wyprzedane.

O publiczność należy zadbać nie tylko wtedy, kiedy coś wystawiamy, ale także gdy coś tracimy. Wzorowo zrobiło to muzeum Mauritshuis w Hadze, przygotowując się do okresu wypożyczenia Amsterdamowi swojego największego skarbu, „Dziewczyny z perłą”. W 2022 r. ogłosili *open call* na prace inspirowane arcydziełem Vermeera. Mauritshuis mówi o 3,5 tys. zgłoszeń, na Instagramie #mygirlwithapearl wyrzuca ponad 5 tys. rekordów. Spośród zgłoszeń muzeum wybrało 170, które zostały zaprezentowane na ekranie umieszczonym w miejscu oryginału i wygląda na to, że te prace w muzeum zostaną na stałe. Wydano także album. Nie obyło się bez kontrowersji, zwłaszcza dotyczących udziału sztucznej inteligencji w tworzeniu prac.

Wielcy nieobecni

Ale nie wszystkie dzieła udaje się wypożyczyć. Przy tak małej liczbie znanych obrazów Vermeera przybycie pięciu dodatkowych – w porównaniu z poprzednią największą wystawą w Hadze w 1996 r. – to wzrost o imponujące 14 proc. Ale w Rijksmuseum także są spektakularne braki: przede wszystkim „Alegoria malarstwa” z wiedeńskiego Kunsthistorisches.

Dlaczego pewne dzieła nigdy nie opuszczają swoich macierzystych muzeów? – *Mamy dwa główne powody: techniczne*

i symboliczne – mówi dr Ewa Ziemińska, kuratorka Królikarni. – *Proszę sobie wyobrazić Luwr bez „Mony Lisy”. To jest taka sytuacja, gdzie jeden obraz jest sercem muzeum. Wydaje się na swój sposób zrośnięty z tym muzeum czy nawet z miastem. Ludzie do takiego obrazu pielgrzymują. Nie chce się go wypożyczać, bo to pozbawia muzeum symbolu.*

Prawdopodobnie to z tego powodu „Alegoria malarstwa” nie pojechała do Amsterdamu. Podobnie „Dziewczyna z kieliszkiem wina” z niemieckiego Herzog Anton Ulrich-Museum. Obie instytucje powołują się na ważność tychże obrazów, ale także na ich słaby stan. Z kolei „Astronom” był w tym czasie wypożyczony przez Luwr muzeum w Abu Dhabi – i tu w grę miały wchodzić kwestie finansowe.

W negocjacjach dotyczących wypożyczeń liczą się trzy rzeczy: zdolność do dotrzymania warunków umowy, dotyczących zabezpieczenia dzieł, koncepcja kuratorska oraz znajomości. Nie w pejoratywnym sensie „muzealnej kliki”. To kwestia wieloletniego budowania profesjonalnych relacji i zaufania.

– *Jednym z muzeów posiadających arcydzieła, które na co dzień nie podróżują, a z którymi współpracowałam, robiąc wystawy, jest muzeum Rodina w Paryżu – opowiada dr Ziemińska. – Z tamtejszymi kuratorami znałam się już długo, widywaliśmy się na konferencjach naukowych, słuchaliśmy swoich wystąpień, dzieliliśmy się pomysłami. To jest bardzo istotne na pierwszym etapie rozmów. Ale musimy też mieć konkretne argumenty: dlaczego akurat taką wystawę chcemy zrobić, dlaczego chcemy wypożyczyć pewne dzieła. Kiedy pożyczalam Rodina, mój główny argument był bardzo prosty, ale też mocny:*

miała to być jego pierwsza wystawa w Polsce. A Rodin skończył tworzyć w 1917 r.!

Teraz, przygotowując wystawę o rzeźbiarkach XIX w. i wypożyczając rzeźby m.in. Camille Claudel z wielu francuskich muzeów, kuratorka Królikarni wykorzystuje doświadczenie i zdobyte kontakty. Ale jedną z rzeźb ze stałej ekspozycji paryskiego Petit Palais udało jej się wypożyczyć po prostu dlatego, że spodobała się koncepcja jej wystawy. Często jednak ani znajomości, ani koncepcje kuratorskie nie wystarczają.

Są dzieła, które są zbyt stare, w słabej kondycji, nie ma przy obecnym stanie wiedzy takich prac konserwatorskich, które mogłyby je zabezpieczyć przed długą podróżą. Czasem są po prostu wykonane techniką, która uniemożliwia bądź drastycznie utrudnia transport, na przykład – zwłaszcza w przypadku rzeźby – są wykonane z materiałów szczególnie wrażliwych na drgania, kruchych.

– Nawet wtedy możemy jednak próbować, mamy na przykład tak zwane skrzynie pływające, które dzięki swojej konstrukcji równoważą drgania, jakie generuje droga. Tak przewoziliśmy ostatnio na wystawę do Monachium rzeźbę Aliny Szapocznikow – mówi dr Ewa Ziemińska. – Najczęściej skrzynie do transportu są przygotowane na miarę, tak aby zapewnić maksymalną stabilizację i bezpieczeństwo. Także z uwzględnieniem ryzyka wypadku drogowego. Ale nie tylko sama podróż jest wymagająca, cały proces ma też przecież swój początek i koniec: pakowanie i rozpakowywanie. Jednemu i drugiemu towarzyszą konserwatorzy i kustosze. Nazywamy to metodą „od gwoźdźcia do gwoźdźcia” – muzealnicy eskortują dzieło do momentu, kiedy ostatni gwoździec do skrzyni zostanie wbity, a później znowu, od chwili gdy skrzynię zaczynamy rozmontowywać i ustawiać obiekt na wystawie.

Poręczenia i sponsorzy

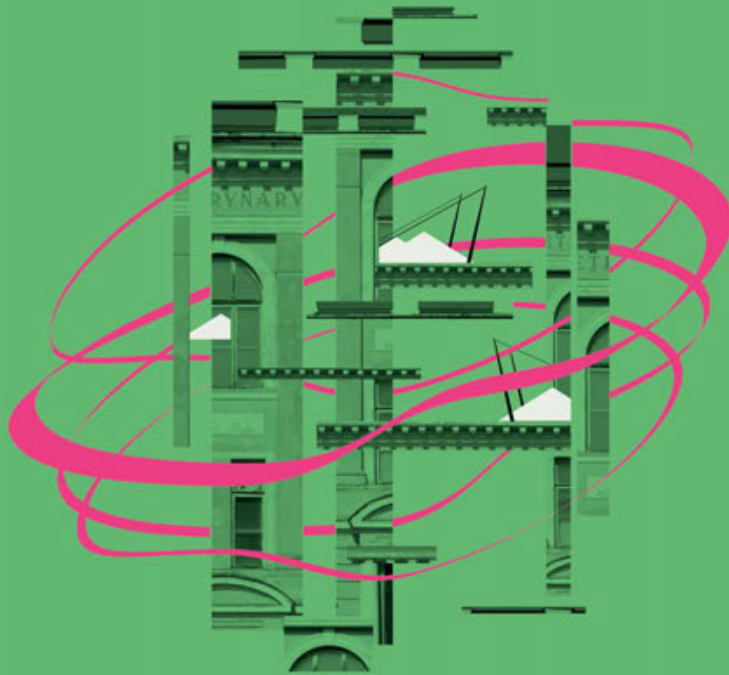
Ludzie zaangażowani w transport tych naprawdę cennych dzieł muszą przejść specjalne przeszkolenie, udokumentować je odpowiednimi dyplomami. – Zapewnienie dokładnych takich warunków transportowych, jakie stawia muzeum wypożyczające, to jest kwestia niepodlegająca żadnym negocjacjom – mówi Ziemińska.

Największe koszty przy organizacji wystaw, które wymagają współpracy między muzeami, to właśnie transport oraz ubezpieczenie dzieł. – To są monstrualne pieniądze – przyznaje Beata Romanowicz. – Koszty samych ubezpieczeń w wielu sytuacjach byłyby nie do pokrycia. Dlatego w przypadku poważnych instytucji w grę wchodzi gwarancje rządowe. Warto wspomnieć, że zwykle nie ma czegoś takiego, jak opłata za samo wypożyczenie. To odbywa się na zasadzie współpracy między instytucjami. Ważnym elementem pracy muzeów jest więc również dyplomacja.

Inne sposoby na pokrycie kosztów organizacji to wpłaty sponsorów, czasem (jak w przypadku ostatniej wystawy Beaty Romanowicz) darowizny od tych, którzy znaleźli się w posiadaniu dzieł. I wreszcie wpływy z biletów. Możemy tylko szacować, ile wygenerowała sama sprzedaż wejściówek na Vermeera: gdyby wszystkie bilety sprzedano w standardowej cenie 30 euro, byłoby to co najmniej 13,5 mln euro. Biletów na wystawę Vermeera, kończącą się w czerwcu, już jednak nie kupimy.

Ale warto się wybrać na wystawę „Japonia u progu nowoczesności”, a od maja na „Bez gorsetu” w Warszawie. Z kolei ogrody Łazienek Królewskich gościć będą jedną z rzeźb Rodina. To również okazje, które więcej się nie powtórzą, choć nie zapomni nam o tym „Guardian” wielkim nagłówkiem. Prędzej już Szymborska – że przecież nic dwa razy się nie zdarza.

DOMINIKA PALKA



2023

30.05 – 20.06

SINFONIA VARSOVIA — SWOJEMU MIASTU

XXIII FESTIWAL IM. FRANCISZKA WYBRAŃCZYKA
DE / KONSTRUKCJA

wejście od ul. Terespolskiej / Warszawa / Pawilon koncertowy

KONCERTY SYMFONICZNE / MUZYKA FILMOWA
RECITALE / PORANKI FAMILIJNE



Instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

Sinfonia
ORKIESTRA
VARSOVIA

SINFONIAVARSOVIA.ORG

Mea pulpa



Dorota Doda Rabczewska ogłosiła, że wkrótce kończy karierę. Dobra decyzja. W życiu wybitnych artystów przychodzi w końcu taki moment, w którym trzeba się ubrać.

Mamy awans stulecia. Michał Adamczyk, znany jako człowiek, który przeczyta wszystko, został dyrektorem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Michał wyjechał w 2004 r. na Antarktydę i wtedy zrozumiał, że bez względu na miejsce warunki zawsze dyktuje lód.

Michał Wiśniewski ruszył na YouTube z serialem pokazującym budowę domu. Obawa, że z zaskoczenia może coś zaśpiewać, powoduje, że liczba widzów nie jest imponująca. Cieszę się, że wokalista znalazł sobie nowe lokum z dala od muzyki. Sukces murowany.

Jest tekst miesiąca. „Joanna Koroniewska podczas podróży zniszczyła manicure. W takim stanie są jej paznokcie”. Autorka Plotek.pl Joanna Cichońska skończyła dziennikarstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jak widać, wiedzę wyszarpywała pazurami.

Marcin Prokop został twarzą serwisu Wakacje.pl należącego do Wirtualnej Polski. Wakacje.pl pokazują, jakie są modne kierunki na wyjazd, a pozostałe serwisy robią wszystko, żebyś nie miał ochoty wrócić.

„Jesteś żoną najlepszego napastnika na świecie i jedyne, o co walczysz, to żeby pokazała cię telewizja na meczu, z jaką przyszłaś torebką”. Tyle Bogusław Leśnodorski o Ani Lewandowskiej. Do wszystkich ciężarów, jakie musi ostatnio dźwigać Robert, doszła jeszcze torebka.

Samuel Pereira – osobowość rozpięta pomiędzy Raulem Castro a Boratem – został wiceszefem TAI, odpowiadającym za kanał TVP Info. „Tą strukturą może zarządzać nawet kowadło” – komentuje były pracownik TVP Marek Czyż. Fakt. Kowadło jednoznacznie kojarzy się z młotem.

Michał Wójcik, członek Rady Ministrów, wystąpił ze swoim koncertem podczas Parady Hitów w parku zamkowym w Mysłowicach. Obok niego pokazali się inni kabareciarze.

W głównym wydaniu „Wiadomości” TVP naród dowiedział się, że celebryci, tacy jak Julia Maffashion Kuczyńska, Joanna Opozda czy Maciej Musiał, reklamują na Instagramie alkohol. To dobra wiadomość. Człowiek po takiej informacji ma ochotę się napić.

Były reprezentant Polski i kolega Roberta Lewandowskiego z Borussia Dortmund Łukasz Piszczek ujawnił, że został wycięty z filmu o Robercie Lewandowskim. Jeśli mam być szczerzy, to jest to jeden z najciekawszych momentów tej produkcji.

Z badań agencji Wavemaker wynika, że z kanałów obecnych w naziemnej telewizji cyfrowej widzowie najbardziej cenią Polsat – 81 proc. i TVN – 79 proc. Najmniejszą sympatią cieszą się TV Trwam i TVP Info. No proszę. Nawet w tym przypadku Samuel Pereira jest drugi.

WP ruszyła z podcastem audio i wideo pod szokującym tytułem „Pudełek Podcast”. Jego autorem jest Michał Dziedzic, uwaga, „dziennikarz dobrze znany w świecie show-biznesu”. To fakt. Znalazłem jego kandydaturę na stronie Strefa-hostess.pl.

370 tys. widzów śledziło w Polsce kolejną edycję programu „Hell’s Kitchen”. Udział w rynku poniżej średniej stacji. Trudno się dziwić. W mediach wszystkim kiepsko wychodzi udawanie lepszych, a Mateuszowi Gesslerowi tragicznie wychodzi udawanie gorszego.

Serwis Gazeta.pl zachwyca swymi śledztwami. „Na szynce z supermarketu zauważyła twarz księżnej Diany: Wszyscy w biurze przyznali mi rację. Też to widzicie?”. Szok. Pracowałem kiedyś w radiu na Czerskiej. I też mi się wydawało, że zauważyłem kilku dziennikarzy.

22-letni pupil aktualnej władzy, czyli niejaki Oskar Szafarowicz, wystartował z własnym programem w TV Republika pt. „Hity w sieci”. Sukces jest niebywały, młodego lizusa ogląda 6 tys. widzów. To trzy razy mniej od jego pensji w PKO BP.

Marcin Hakiel, którego największym osiągnięciem było małżeństwo z Katarzyną Cichopek, aktualnie przeżywa wspaniały czas w mediach, bo pokazuje kawałek po kawałku twarz swojej nowej partnerki. Trudno jeszcze o niej powiedzieć – celebrytka pełną gębą.

Monika Richardson rozstała się z Konradem Wojterkowskim. Fani w rozpacz. To oczywiste. Trudno znaleźć w mediach kogoś, kto bezpardonowo przyznaje, że rozstał się z powodu braku pieniędzy u partnera.

Dziennikarz TVP Krzysztof Ziemięc poprowadził otwarcie lotniska w Radomiu. Brawo. Ja bym mu tam dał posadę na cały etat. Jako kontrolera odlotów. Antoniego Macierewicza.



Sztuka na ratunek Bałtykowi

POD KONIEC KWIETNIA PODCZAS WERNISAŻU W SOPOCKIEJ PAŃSTWOWEJ GALERII SZTUKI POZNALIŚMY LAUREATA PIERWSZEJ EDYCJI MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU RZEŹBIARSKIEGO BALTIC HORIZONS.

TO POCHODZĄCY Z LITWY ANDRIUS LABAŠAUSKAS, A JEGO MINIMALISTYCZNA RZEŹBA „GŁĘBIA LANDSORT”

WKRÓTCE POJAWI SIĘ W PRZESTRZENI MIEJSKIEJ SOPOTU.

Konkurs zainicjowały cztery podmioty: ERGO Hestia, Miasto Sopot, Fundacja Artystyczna Podróż Hestii oraz Państwowa Galeria Sztuki. Główną ideą Baltic Horizons jest zwrócenie uwagi – poprzez sztukę – na zmiany klimatyczne w regionie Morza Bałtyckiego oraz zaktywizowanie samych mieszkańców. Rozwój świadomości klimatycznej, zarówno spocian, jak i turystów, jest kolejnym z celów, który przyświeca organizatorom. Oprócz tego Baltic Horizons ma być przyczynkiem do większej dyskusji o stanie polskiej przestrzeni publicznej i możliwości jej poprawy właśnie poprzez wykorzystanie sztuki na szerszą niż dotychczas skalę. Zwłaszcza pod postacią rzeźb.

– *W ciągu jednej edycji „Baltic Horizons” z idei przeobraził się w dojrzałe, wysoko jakościowe przedsięwzięcie, będące częścią wizji „Sopot miastem rzeźby”. Wraz z naszym miastem przeszliśmy przez trudny okres narodzin konkursu. Pierwsza edycja przetarła szlak przed kolejnymi działaniami na rzecz ubogacenia tkanki miejskiej kurortu – mówi Maria Rosa, prezes Fundacji Artystyczna Podróż Hestii.*

Inicjatywa jest wyjątkowa, gdyż skupia instytucje i twórców z samych tylko państw nadbałtyckich. Poza Polską są obecne: Finlandia, Litwa oraz Łotwa, ale przy kolejnych edycjach grono może się powiększyć o kolejne kraje regionu.

Kapitułę jurorów konkursu utworzyli przedstawiciele takich instytucji partnerskich jak: EMMA – Espoo Museum of Modern Art z Finlandii, The Art Museum RIGA BOURSE, wileńskie Contemporary Art Centre oraz gdańskie Muzeum



Wizualizacja nagrodzonego projektu.

Narodowe. Ostatecznie jurorzy nominowali 10 artystów: Lottę Mattilę i Kaarinę Kaikkonen z Finlandii, Augustasa Serapinasa, Andriusa Labašauskasa, Ēriksa Božisa, Krišsa Salmanisa i Evitę Vasiljevą z Litwy oraz troje Polaków: Martynę Jastrzębską, Łukasza Surowca i Izę Tarasewicz (ostatnia dwójka była nominowana do Paszportów POLITYKI w 2017 i 2013 r.).

Nominowani twórcy mieli stworzyć projekty rzeźb, które swoim przesłaniem będą związane ze zmianami klimatycznymi i ich wpływem na Bałtyk. – *Artystki i artyści poruszają aktualne i uniwersalne tematy, istotne dla naszego życia, które zmieni się wraz z ociepleniem klimatu, podnoszeniem poziomu mórz czy też znikaniem i pojawianiem się nowych przedstawicieli fauny i flory. Mamy nadzieję, że sztuka pomoże nam zauważyć i oswoić te kwestie – podkreślała Eulalia Domanowska, dyrektorka Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie.*

Tytuł laureata przypadł artyście z Litwy i to jego praca już jesienią tego roku stanie w Parku Północnym w Sopocie, wpisując się w projekt „Sopot miastem rzeźby”.

Andrius Labašauskas swój zwycięski projekt nazwał na cześć Głębi Landsort, zamiast próbować nad nim dominować czy też stawać w kontrze. W tym przypadku zwyciężyła więc harmonia.



Andrius Labašauskas.

najgłębszej części Morza Bałtyckiego. Według danych zebranych przez naukowców Głębia jest jednocześnie jednym z najbardziej zanieczyszczonych obszarów Bałtyku. Projekt litewskiego artysty zakłada stworzenie przestrzeni, gdzie mieszkańcy Sopotu i przyjezdni będą mogli usiąść, zrelaksować się, jak również zastanowić nad kwestiami klimatycznymi. Na wizualizacjach widać pokaźnych rozmiarów bryły białego marmuru ułożone w okrąg, przy czym średnica pracy to ok. 15 m. Tak rozstawione bloki mogą przywodzić na myśl prehistoryczne budowle megalityczne, ale trudno jednoznacznie powiedzieć, czy taki był też zamiar artysty. Tymczasem wykorzystanie jako głównego materiału białego marmuru ma jeszcze drugie dno. Labašauskas, oprócz zagadnień związanych z ochroną Bałtyku, pragnie stworzyć swoisty pomnik dla znikających lodowców. Jego projekt wtapia się w otoczenie,

zamiast próbować nad nim dominować czy też stawać w kontrze. W tym przypadku zwyciężyła więc harmonia.

Jednakże w przypadku tej rzeźby najciekawsze rzeczy będą się dziać dopiero po zachodzie słońca. Otóż po zmroku marmurowe bryły zaczną nabierać kolorów. W nocy praca ma bowiem służyć jako obiekt obserwacyjny bieżących anomalii klimatycznych. Będzie wtedy oświetlona przez specjalny system iluminacji, bazujący na bieżących danych meteorologicznych. Zależnie od temperatury i jej odstępstw od rocznej normy praca Labašauskasa będzie świeciła się na czerwono, niebiesko lub biało. Czy zwycięski projekt wpasuje się w miejską tkankę i stanie się charakterystycznym punktem na mapie miasta? Na to musimy poczekać, aż „Głębia Landsort” stanie się już elementem sopockiego Parku Północnego.

Laureat pierwszej edycji Baltic Horizons na pytanie, czy sztuka może naprawić świat, odpowiedział: „żaden artysta nie może go naprawić”. Dodał jednak, że może „uczynić go lepszym, choćby na jeden dzień, jedną godzinę, minutę”. Jego sopocka rzeźba, kiedy już powstanie, ma szansę stanąć realne pokrycie tych słów.

Efekty prac konkursu Baltic Horizons można oglądać do 18 czerwca tego roku na wystawie w sopockiej Państwowej Galerii Sztuki. Będzie to nie tylko przegląd konkursowych projektów, ale też pokaz dotychczasowego dorobku dziesięciorga nominowanych: rzeźby, instalacje, prace wideo, a także dokumentacja fotograficzna działań w przestrzeni publicznej realizowanych przez tych artystów. ■



To się nigdy nie skończy

© MATERIAŁY PRASOWE

Pokazujemy rzeczywistość w obliczu wojny. Film jest już skończony, a rzeczywistość trwa nadal – opowiadają operator Piotr Pawlus i reżyser Tomasz Wolski, twórcy dokumentu „W Ukrainie”, który pokaże festiwal Millennium Docs Against Gravity.

**JANUSZ WRÓBLEWSKI: – Co czują doku-
mentalści jadący filmować wojnę?**

PIOTR PAWLUS: – Wielką niewiadomą. Pierwsze wizyty w ogarniętej wojną Ukrainie były lekcjami przystosowania. Każdy rejon ma swoją specyfikę. Ciężko przewidzieć, kogo się spotka, czy jest tam prąd, a jak jest, to czy będzie, skąd szykuje się atak, gdzie się schronić w razie niebezpieczeństwa. Tego wszystkiego musiałem się nauczyć, a i tak rządzi przypadek i chaos. Można chcieć coś pokazać, jednak gdy zjawiają się ukraińskie służby specjalne, np. w celu sprawdzenia tożsamości, o zdjęciach należy zapomnieć.

**Wyobrażenia o tym, co się tam dzieje,
pokrywały się z tym, co zobaczyliście?**

PP: Na miejscu okazywało się, że rzeczywistość nie zawsze wygląda tak, jak powszechnie pokazują to media. Przede wszystkim nie ma takiej intensyfikacji tragedii. Dotyczy to przynajmniej czasu i tych rejonów, w których byłem. Gdybym trafił do okopów i stamtąd nie wychodził, może pokryłyby się to z moim wyobrażeniem wojny. Żołnierze siedzą za krzakami czy drzewem i się czeka. Wojna jest nie tylko bieganiem czy nieustannym ostrzeliwaniem. To również codzienność zwykłych ludzi, starszej pani, która sprzedaje kwiatki na targu, czy młodzieńców trenujących strzelanie z broni.

TOMASZ WOLSKI: – Nasze zamiary były inne. Interesowała nas codzienność, odradzająca się życie na obszarach, skąd front zdołał się już przesunąć. Nie chcieliśmy epatować śmiercią, nieszczęściami ludzi, którzy potracili bliskich. Woleliśmy opowiadać o skutkach konfliktu z pewnego

oddalenia. Bez konkretnego bohatera i historii, podróżując z kamerą po kraju. Zaproponowałem taki koncept Piotrkowi. On wedle tych założeń kręcił, a potem wysyłał mi materiały.

**Czyli tylko jeden z was jeździł
po Ukrainie. A drugi?**

TW: Umówiliśmy się, że ja zostanę w Warszawie. Wcześniej ustalaliśmy, gdzie Piotr pojedzie, a ja z dystansu starałem się wczuć w jego sytuację i podpowiadałem, na czym się warto skoncentrować. Nasze plany z oczywistych względów weryfikowały się i zmieniały na miejscu.

**Film się rodził na bazie tego, co ujrzał
Piotr, czy też wizji wojny reżysera,
którá starał się oddać operator?**

TW: Raczej to drugie. Moje wyobrażenie na temat wojny było oparte na codziennym researchu. Nie chcieliśmy jednak pokazywać miejsc-symboli, takich jak Bucza. Kierowałem się trochę intuicją, np. rzucałem hasło: „plac zabaw otoczony ruinami”, a Piotr miał zadanie odnaleźć taką przestrzeń choćby w małej wiosce. Po zmontowaniu sekwencji wiedziałem, czego brakuje. Składałem zapotrzebowanie, a Piotr odpowiadał, czy to możliwe. Więc to były ciągle poszukiwania.

PP: Najpierw pojechałem na południe Ukrainy. W marcu i kwietniu ub.r. zastanawiałem się, czy warto tam jeszcze wracać. Wtedy ustaliliśmy, że bohaterem będzie cały kraj. Z wyjątkiem Donbasu, gdzie przeważa rosyjskojęzyczna ludność i sytuacja jest bardzo niepewna. Odpowiadając na pytanie, to tak, film rodził się też z tego, co napotykałem na drodze.

**Jak reagowali Ukraińcy
na obecność kamery?**

PP: Starałem się ich uprzedzać, choć nie zawsze była taka potrzeba. Gdy fotografowałem wraki rosyjskich czołgów, nie było sensu informować o tym każdego przechodnia. Kilka razy nocowałem w charkowskim metrze służącym za schron. Dopiero gdy jego mieszkańcy się ze mną oswoili, łatwiej było uzyskać ich zgodę. Lody pękały, gdy mówiłem, skąd jestem.

Polakom się ufa?

PP: Kiedy kręciłem przeprawę łodzią przy zburzonym moście nad rzeką Doniec, Ukraińcy myśleli, że mieszkam w Kijowie. Chwilę narzekali, potem prosili, żebym powtórzył, komu trzeba, że po wojnie liczą na odbudowę mostu. Gdy powiedziałem, że jestem Polakiem, ich nastawienie diametralnie się zmieniło. Aż mi było głupio.

**I nie miał pan poczucia, że oni
ze względu na obecność kamery
bardziej podkreślają swoje cierpienie?**

PP: Absolutnie nie. Wojna zdejmuje z człowieka kostium. Ci ludzie niczego nie udają, skupiają się na przetrwaniu. Zarówno kiedy byłem bardzo blisko kamerą, jak i daleko, odczuwałem ich naturalność.

TW: Na tym dla mnie polega kwintesencja pracy dokumentalisty. Rzadko filmowałem ludzi, którzy robili coś wyłącznie dla mnie. Oni zawsze byli zaangażowani swoimi czynnościami, bieżącymi problemami, które by ich zajmowały niezależnie od obecności kamery. Manipulacja – bo o to pan pyta – była niemożliwa w tym przypadku także dlatego, że kamera stała daleko. Pomysł był taki, aby obserwować świat, ale jakby z boku. Nikt z uczestników

nie miał pewności, w którą stronę zwrócony jest obiektów.

Często sam wybór kadru, montaż, podkręcają atmosferę, narzucają interpretację.

PP: Nie mieliśmy intencji, żeby się cenzurować albo coś ubarwiać. A jak nie ma intencji, nie ma też sprawczości. Realizując scenę, starałem się ją opowiedzieć w miarę możliwości tak, aby Tomasz mógł mieć dogodny wybór na montażu. Czasami nagrywałem pojedyncze kadry, gdy intuicyjnie czułem, że będą potrzebne.

TW: Generalnie jeśli mówimy o reżyserii, to w kinie dokumentalnym ona właśnie polega na wyborze tematu, sposobu filmowania i na montażu. W tym sensie wszyscy twórcy manipulują. Zejdźmy jednak na ziemię. Zarzut manipulacji w stosunku do nas pojawił się zaledwie w jednej recenzji, a dotyczył niepokazywania racji rosyjskiej. Ciekawy punkt widzenia – bo my przecież ją prezentujemy w postaci np. zniszczonych domów, lejów po bombach. To jest ta rosyjska strona. Powtarzam: założenie było takie, że przyglądamy się konsekwencjom wojny i jak sobie radzą dotknięci nią ludzie.

Pracując w warunkach wojennych, narażał pan życie?

PP: Zależy od regionu. W Odessie, Miłkołajewie, jadąc w kierunku Chersonia, miałem poczucie, że w każdej chwili może się zdarzyć coś złego. Granica bezpieczeństwa jest płynna. Im bliżej źródła niepokoju, tym robi się „spokojniej”. Radę dał mi dowódca batalionu: kamerę, statyw, gimbal możesz sobie kupić, życia nie, więc jakby co, to w nogi.

TW: Pomimo tego, co mówi Piotr, że bardziej odczuł zagrożenie przy linii frontu, ja wpadałem w panikę na samą myśl, że on przekracza granicę ukraińską. Jak się słyszy świst spadających bomb i nocuje w hotelowej wannie, żeby zabezpieczyć się w razie wybuchu i zawalenia budynku, to oznacza, że zagrożenie jest cały czas. Miałem dylemat, czy mamy prawo go tam wysłać, ale ponieważ Piotr już wcześniej jeździł do Ukrainy z pomocą humanitarną, wiedziałem, że sobie poradzi. Gdyby nie nasz film i tak by tam jeździł.

Jak wiele było przy tym waszej improwizacji?

TW: Założenia były trzy. Sprawdzić, jak Ukraińcy funkcjonują w tych warunkach. Druga część filmu miała dotyczyć kwestii militarnych. Np. zamierzaliśmy pokazać produkcję kamizelek kuloodpornych. Piotr dowiedział się, że one są gdzieś testowane,

więc chcieliśmy mieć scenę, jak się strzela do manekina ubranego w taką kamizelkę. Tego się nie udało sfilmować. Trzecia część skupiałaby się na odbudowie. Okazało się, że to akurat nie jest możliwe, bo proces odbudowy jeszcze się w pełni nie rozpoczął. W montażu zaś wyszło nam, że film powinien się zakończyć zupełną tego odwrotnością. Destrukcją i zburzeniem.

Finału wojny nie widać, a wy robicie o niej film. Jak ta świadomość na was wpływała?

TW: Nie wiadomo, co się stanie za miesiąc, czy wojna będzie trwała kolejny rok. Tego nikt nie wie. Druga wojna światowa ciągnęła się przez pięć lat. A spora część ludzi się ludziła, że skończy się za moment. Czy to oznacza, że nie należy reagować? Dokument rejestruje chwilę. To jego moc, którą chcieliśmy wykorzystać, zamiast robić film stricte polityczny o przyczynach konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Takie obrazy już zresztą powstały. Ukraińcy wciąż je kręcą. W porównaniu z ich kompetencjami mój mandat do wypowiedzania się w tym temacie jest znikomy. Skoro jednak Piotr tam był, pomyślałem, że warto.

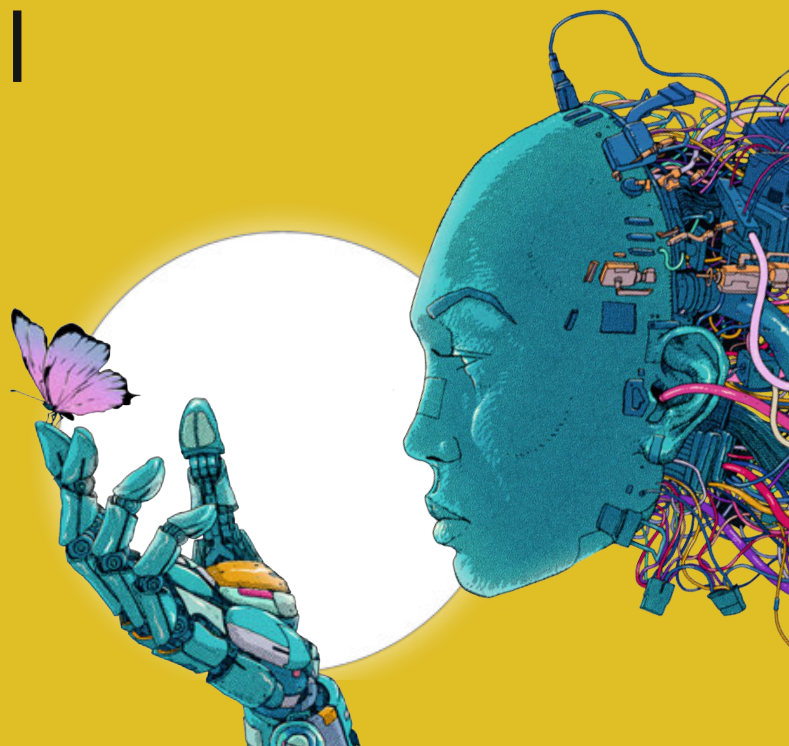
PP: Pokazujemy rzeczywistość w obliczu wojny. Film jest już skończony, a rzeczywistość trwa nadal. ▶

REKLAMA

JUTRONAUCI 2023

MŁODOŚĆ SIĘGA
ZA HORYZONT

[WYBORCZA.PL/JUTRONAUCI](https://wyborcza.pl/jutronauci)



ORGANIZATOR:

 **wyborcza.pl**

PARTNER STRATEGICZNY:

 POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK



Tomasz Wolski (ur. 1977 r.) – reżyser, operator i montażysta kilkunastu filmów dokumentalnych (m.in. „1970”, „Zwyczajny kraj”, „Lekarze”, „Pałac”, „Szczęściarze”), wielokrotnie nagradzanych na krajowych oraz międzynarodowych festiwalach. Członek Europejskiej Akademii Filmowej, Gildii Polskich Reżyserów Dokumentalnych oraz Polskiej Akademii Filmowej.



Piotr Pawlus (ur. 1985 r.) – operator, fotograf, himalaista. Był liderem wypraw m.in. w Karakorum, Pamirze, Tien-szan, Kaukazie i Himalajach. Pracuje w Polsce i za granicą. Nagradzany m.in. w Gdyni, Küstendorf, Koszalinie, Nijmegen. Obecnie kręci film z Siergiejem Łoźnicą.

► Przemawiacie samym obrazem.

Nie pytacie świadków o ich historie.

Obraz potrafi przekazywać więcej niż słowo. Jest bardziej uniwersalny. Piotr mógł spytać każdą z osób, którą spotykał: co przeżyła, kogo straciła, w jakich okolicznościach? Naprawdę wiedzieliśmy, co ci ludzie odpowiadają. Nie chcieliśmy powielać tego, co w kółko powtarzają media. Ciekawsze wydało nam się danie świadectwa nieznanego, przerażającej rzeczywistości. Chcieliśmy wyrwać widza z komfortowych warunków, w których będzie oglądał nasz film, i przenieść go w sam środek postwojennego horroru. Bez emocjonalnego szantażu zmusić go do współuczestniczenia w nim.

PP: Z mnóstwem ludzi rozmawiałem, trudno jest nie wysłuchać ich losów. Dopiero po tych rozmowach mogłem ich obserwować.

Jakie nastroje panują na ulicach i w domach?

PP: Początek wojny to nieustanny lęk, że Rosjanie wrócą. Oczywiście na zachodzie Ukrainy te lęki szybciej mijały, bo ludzie wiedzieli, że są tam bezpieczniejsi. Jak to teraz wygląda? W porównaniu z Charkowem czy Kramatorskiem życie np. we Lwowie wygląda całkiem znośnie. Alarmy lotnicze zdarzają się co parę dni. Na wschodzie średnio co dwie godziny. Jak wyją syreny, nie ma paniki.

TW: Człowiek jest w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego. Do covidu, klęsk żywiołowych i do wojny również. Trzeba jakoś funkcjonować: umyć się, zdobyć jedzenie, a nie tylko biegać z bronią. W filmie pokazujemy, jak matki wychodzą na plac zabaw. Co mogą zrobić, jeżeli teren jest zaminowany, a w tle straszą ruiny? Nic, dzieci muszą się pohuścić.

PP: Wojna spowszedniała. Na pytanie, kiedy się skończy, można usłyszeć, że to się nigdy nie skończy. Wystarczy spojrzeć na Donbas. Te rany będą się długo leczyć.

Ukraina jest doszczętnie zniszczona?

Jaka jest rzeczywista skala zniszczeń?

PP: Najbardziej ucierpiały strefy przyfrontowe. Niewiele tam ocalało. Ale kilka miejscowości dalej straty nie są gigantyczne, w niektórych wioskach widok niewiele się różni od tego sprzed wojny. Nie

do wszystkich miejsc mogłem też dojechać ze względu na zaminowanie terenu.

Co jeszcze zaskakiwało?

PP: Emocje Ukraińców. Są zero-jedynkowe. Żadnych odcieni szarości. Zdziwiło mnie też, jak dużo kobiet zaciąga się do armii. Pokazujemy w filmie szkolenie obrony terytorialnej, gdzie większość stanowią młode Ukrainki. Są bardzo aktywne, angażują się jako pomoc medyczna, zajmują się wojskowym piarem, służą jako pielęgniarki na froncie.

Odwiedziliście też cmentarze.

Jak wojna je zmieniła?

PP: W okolicach Irpienia za cmentarzem był las. Teraz część tego lasu została wycięta, żeby mogły powstać nowe groby dla tych, co zginęli.

TW: Cmentarze stały się miejscami manifestacji politycznej. Służą narodowej identyfikacji. Liczba powiewających tam ukraińskich flag jest zdumiewająca. Największe wrażenie zrobiły na mnie ujęcia Piotra przy nagrobkach właśnie z flagami na pierwszym planie. Dla mnie to metafora wojny.

Znam też Ukraińców, którzy bardzo nie chcą walczyć. Wyjechali, boją się. Takie rozmowy prowadzą też Polacy, zastanawiając się, co my byśmy zrobili, gdyby napadła na nas Rosja. Są tacy, co bezwarunkowo szliby do wojska, i tacy, co woleliby przydać się w inny sposób, do których sam się zaliczam. Na wojnie pewnie szybko straciłbym życie. Oprócz tego, że stałbym się kolejnym numerkiem na liście strat mojej ojczyzny, jaki byłby tego sens?

Ofiara Krzysztofa Kamila Baczyńskiego nie poszła na marne.

TW: Są różne postawy. My często gloryfikujemy śmierć. Ginąć za kraj to dla nas honor. Może warto się jednak nad tym głębiej zastanowić. Może nie wszyscy powinni walczyć? Kto potem odbuduje kraj? Ginąc, pozbawiamy nasze dzieci rodzica. Partnerzy i dzieci potem przez lata, czasem do końca życia, mierzą się z traumą i stratą. Warto im taki los gotować?

Ukraiński patriotyzm różni się od polskiego?

PP: Może warto postawić pytanie, czym jest patriotyzm. Naturalne jest, że kiedy granice zostaną naruszone, są ludzie, którzy chcą tych granic bronić i żyć

w rzeczywistości, którą sami wybierają, a nie tej, która jest im narzucona.

Zawsze mnie interesowało, jak się odróżnia swoich od obcych. Wy to pokazujecie. Kluczem staje się wymowa zawiłych ukraińskich słów.

TW: W podzielonym kraju, gdzie znaczna część jego mieszkańców jest rosyjskojęzyczna, znajomość ukraińskiego jest decydująca. Jeśli ktoś przyjeżdża na blockpost (wojskową blokadę) i nie potrafi powiedzieć poprawnie „Palianica”, to ma problem.

PP: W okolicy Charkowa mnóstwo ludzi identyfikuje się z językiem rosyjskim i porozumiewa się wyłącznie w nim. W Kijowie i Lwowie dominuje ukraiński. Paradoks polega na tym, że choć opowiadają o sytuacji w Ukrainie, większość filmowych dialogów prowadzona jest po rosyjsku. To też świadczy o tym kraju. Ale lecące ze wschodu rakiety dużo już zmieniały. Coraz więcej Ukraińców przestaje używać rosyjskiego.

TW: Wytłumaczę to na innym przykładzie. Po premierze współmontowanego przeze mnie „Babiego Jaru” Siergieja Łoźnicy Ukraińcy mieli do niego pretensje m.in. o to, że nie nazwał swego dokumentu „Babin Jar” – tak brzmi nazwa miejscowości po ukraińsku. Identyfikacja językowa jest dla nich szalenie ważna.

Przychodziła wam do głowy myśl, że może zamiast robić film, lepiej po prostu jakoś pomóc tym ludziom?

TW: Piotr za każdym razem, gdy wyjeżdżał, zabierał paczki z lekarstwami, przewoził ludzi. W ten czy inny sposób wszyscy pomagaliśmy. Gildia Polskich Reżyserów Dokumentalnych włączyła się w zbiórkę pieniędzy na wsparcie dla ukraińskich filmowców. Realizując film, również pomagamy. Dobrze by się stało, żeby Rosjanie go obejrżeli. Szczególnie ci, którzy twierdzą, że nie ma wojny, a jest tylko jakaś operacja specjalna. Niech każdy robi to, do czego został stworzony.

PP: Tak, oczywiście. W pierwszych kilku tygodniach wojny jeździłem z pomocą humanitarną do Ukrainy, a do Polski wracałem z ludźmi. To był czas, w którym nie czułem potrzeby, by cokolwiek filmować. Ten moment przyszedł później.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

BEEHOVEN

— i szkoła holenderska TRYPTYK BALETOWY

Hans van Manen
GROSSE FUGE
Ted Brandsen
EROICA VARIATIONS
Toer van Schayk
SIÓDMA SYMFONIA



PREMIERA: 18/05/2023 SPEKTAKLE: 19, 20, 21/05; 2, 3, 4/06/2023

Mecenas Teatru / Partnerzy Akademii Operowej

Partnerzy

Partner technologiczny

Patroni medialni

Partner medialny

Historia pewnej znajomości

Osobno to popularny w Polsce zespół jazzowy i pakistańskie trio, mało znane we własnym kraju. Razem zyskali rangę światowego fenomenu, którym zachwyca się Zachód.

MICHAŁ WIECZOREK

Wrocławu Lahaur, największe miasto pakistańskiego Pendżabu, dzieli 7 tys. km. Ale ostatnio z jednego do drugiego

jakby bliżej. Marka Pędziwiatra, pianistę wrocławskiego EABS, dwukrotnie nominowanego do Paszportu POLITYKI, oraz Alego Riaza Baqara, gitarzystę pakistańskiej grupy Jaubi, połączyła miłość do muzyki, jaką tworzył nowojorski producent hip-hopowy J Dilla, a teraz – wspólne nagrania.

Nie byłoby tej znajomości, gdyby nie internet. Siedem lat temu muzycy tria Jaubi wrzucili do sieci swój cover jednego z krótkich instrumentalnych utworów J Dilli, ale zagrany na tradycyjnych instrumentach z północy subkontynentu. Na to nagranie trafił Marcin Piechowiak z raczkującej oficyny Astigmatic Records, którą założył wspólnie z Sebastianem Józwiakiem i mieszkającym wtedy w Londynie Łukaszem Wojciechowskim. Na koncie mieli tylko jeden album – winylową wersję „Placu zabaw” Bitaminy, zespołu, w którym zaczynał Vito Bambino. Wtedy jeszcze nieznanego, dziś wyprzedającego największe krajowe kluby.



– *Wiedzieliśmy, że historia z Bitaminą szybko się skończy, mieli już podpisany kontrakt na następny album z Kalejdoskop Records* – mówi Józwiak. Razem z Marcinem stwierdzili, że Jaubi to tak osobna i świeża muzyka, że chcą ją wydać. Nie wiedzieli tylko, czy nie są u siebie gwiazdami, czy w ogóle będą chcieli współpracować. Odpowiedź na mailowe pytanie brzmiała: „Czemu nie?”. To otworzyło drogę do wydania na płycie winylowej „Deconstructed Ego”, a ta pozwoliła im dotrzeć do najważniejszych postaci na brytyjskiej scenie, jak didżej radiowy Gilles Peterson. – *Wydanie tego albumu pomogło nam jako Astigmatic otwierać furtki za granicą* – twierdzi Piechowiak.

Pomógł też fakt, że Wojciechowski był na miejscu i mozolnie zbierał lokalne kontakty. – *Powstało wrażenie, że Astigmatic jest brytyjską oficyną, którego nie staraliśmy się specjalnie dementować. Jeśli ludzie chcą myśleć, że jesteśmy z Londynu, to pozwoliliśmy temu mitowi żyć własnym życiem* – mówi Sebastian Józwiak. A wrażenie brytyjskości potęgowały związki z tamtejszą sceną, pod szyldem Astigmatic ukazują się nie tylko polskie płyty, ale i albumy przedstawicieli młodego londyńskiego

jazzu, jak Cykada czy Levitation Orchestra. Z EABS – flagowym zespołem wytwórni – regularnie współpracuje flecista Ed „Tenderlonious” Cawthorne. Nie tylko pojawił się na koncertach z materiałem Krzysztofa Komedy, który przyniósł EABS-om rozpoznawalność, ale nagrał z nimi „Slavic Spirits”, pierwszy album z autorskim materiałem.

Historia podróży

To przy nagrywaniu albumu „Slavic Spirits” pojawił się pomysł podróży do Pendżabu. – *Ali chciał zaprosić Tenderloniousa do Lahauru, ale gdy się dowiedział, że ma opcję również skorzystać z talentu Marka, od razu się zgodził, żeby zrobić to szerzej* – mówi Józwiak. Do Pakistanu wybrał się też Pędziwiatr. I tak Jaubi nagrali dwa albumy i jeden minialbum. Te podpisane nazwiskiem Cawthorne’a zawierają wariacje Brytyjczyka na temat północnoindyjskich rag, „Nafs at Peace” Jaubi – autorski materiał Alego. Tytuł zaczerpnęli z islamskiej koncepcji dotyczącej rozwoju duszy; Baqar nie ukrywa, że to muzyka nie tyle uduchowiona, co religijna. – *Nie jestem typowym muzułmaninem, który modli się pięć razy dziennie. To muzyka*

jest dla mnie formą modlitwy – przyznaje. Jeden utwór, „Mosty”, dołożył Pędziwiatr. Grają go zresztą czasem z EABS.

„Nafs at Peace” do dziś jest największym sukcesem Astigmatic. Entuzjastyczne recenzje pojawiały się nie tylko w mediach jazzowych, ale i w „Guardianie” czy Pitchforku, jednym z najważniejszych anglojęzycznych portali poświęconych muzyce. – *EABS mozolnie otwierał nam drzwi do mediów muzycznych, ale z Jaubi było łatwiej dostać się do największych. Pracuje w nich sporo dziennikarzy, którzy mają korzenie w Indiach czy Pakistanie i są w stanie zainteresować redaktorów tymi tematami* – mówi Józwiak. Piechowiak dodaje, że sama diaspora z subkontynentu jest bardzo liczna i w Wielkiej Brytanii, i w Stanach, w tamtejszej popkulturze te wątki są coraz szerzej eksplorowane.

Pierwszy nakład „Nafs at Peace” rozszedł się błyskawicznie, podobnie kolejne dodruki. – *Właśnie sprzedajemy piątą, którego zostały resztki. Ten album ciągle żyje, codziennie ktoś kupuje kilka sztuk* – mówi Piechowiak. Kilka tysięcy sprzedanych płyt winylowych to dla małej wytwórni jak Astigmatic bardzo duży sukces. Trudno się temu dziwić, jeszcze łatwiej ►

REKLAMA



20th
Millennium
DOCS
AGAINST
GRAVITY
FILM FESTIVAL

12-21.05.2023 KINA

WARSZAWA / ŁÓDŹ / GDYNIA / BYDGOSZCZ
KATOWICE / WROCŁAW / LUBLIN / POZNAŃ

23.05-04.06.2023 ONLINE

MDAG.PL



► zrozumieć entuzjazm recenzentów. „Nafs at Peace” to muzyka wpisująca się idealnie w coraz szerszy trend czerpania – na sprawiedliwych zasadach – z rozmaitych niezachodnich tradycji i łączenia jej z zachodnimi gatunkami muzyki niezależnej czy alternatywnej.

Historia rewizyty

Rozpędzających się muzyków zatrzymała i opóźniła premierę albumu pandemia. Gotowy materiał czekał od 2021 r., prawie dwa lata od nagrania. Jeszcze dłużej trzeba było czekać na wspólne koncerty. Po dwóch zagranych tuż po sesji nagraniu w Lahaurze i Oslo, dopiero w zeszłym roku muzycy Jaubi przylecieli do Europy. Impulsy były dwa: zaproszenie na OFF Festival oraz program Get Your Jazz Together prowadzony przez Instytut Adama Mickiewicza. W jego ramach Kamil Piotrowicz zagrał koncert z trębaczką Jaimie Branch, wybitną postacią sceny chicagowskiej, a Wojtek Mazolewski – z Tamar Osborn i Edwardem Wakili-Hickiem. Początkowo ekipa z Astigmatic też kierowała się w stronę zachodnich muzyków. – *Szybko stwierdziliśmy, że przecież mamy pod bokiem idealny projekt do tego programu, połączenie naszych dwóch sztandarowych zespołów* – mówi Józwiak. – *Wiedzieliśmy też, że nie może się to skończyć tylko na jednym koncercie, że musi powstać album. OFF Festival, wyprzedane koncerty w warszawskim klubie Jassmine oraz Oslo zapewniły środki na sesję nagraniową.*

„In Search of a Better Tomorrow” – czy raczej „EABS meets Jaubi In Search of a Better Tomorrow” (EABS spotyka Jaubi w poszukiwaniu lepszego jutra) – nagrali w cztery sierpniowe dni w Kotlinie Kłodzkiej. Dookoła piękne okoliczności przyrody, a na świecie nie tylko ciągle słyszalne echa pandemii, ale też trwająca od pół roku inwazja Rosji na Ukrainę i największa od lat katastrofalna powódź pustosząca Pakistan. – *Nie byliśmy wtedy w zbyt radosnych nastrojach, odbija się to na muzyce* – przyznaje Baqar. Mimo to znaleźli nadzieję, pomogła im w tym sama przyroda. – *Gdy skończyliśmy sesję nagraniową, na niebie pojawiła się ogromna tęcza. Jakby dziękowała nam za muzykę* – wspomina Pędziwiatr.

Początkowo album miał się nazywać inaczej, podobnie jak „Nafs at Peace” nawiązywać do islamu, ale stanęło na optymistycznym, uniwersalnym przesłaniu. – *Zawsze najpierw pojawia się muzyka, potem wybieram tytuły* – dodaje gitarzysta Jaubi. – *Po nagraniu albumu w studiu Ali wyszedł z przeświadczeniem, że nagraliśmy bardzo mroczny album. Dlatego dla*



Ali Riaz Baqar, gitarzysta pakistańskiej grupy Jaubi.

odmiany zwróciliśmy się conceptualnie w inną stronę, szukając tego przejścia od mroku w stronę światła. Od przeszłości w przyszłość – mówi Józwiak, którego rola w EABS i Astigmatic Records jest dużo większa niż tylko menedżera. Pełni rolę nieformalnego rzecznika, twórcy koncepcji kolejnych albumów, podrzucającego nowe konteksty.

Rzeczywiście, album podąża od szarego „Yesterday” do eksplozji kolorów w postaci „Sun”. Na „In Search of Better Tomorrow” rapowa rytmika przeplata się z pakistańską tradycją, a nowoczesny jazz stoi obok sufickiego transu. Sarangi – tradycyjny hinduski instrument smyczkowy – współbrzmi z trąbką, bity wygrywa na zmianę zestaw perkusyjny i delikatna, dźwięczna tabla.

Historia pomiędzy

Współpraca od razu wskoczyła na wysokie obroty, Marek i Ali nie szczczędzą sobie komplementów. – *Wiele się nauczyłem od Alego, poznałem zupełnie inne postrzeganie muzyki* – mówi Pędziwiatr. – *Marek jest jednym z moich ulubionych kompozytorów, uwielbiam chociażby „Sun Worship” ze „Slavic Spirits”* – Baqar nie pozostaje dłużny koledze. Oba albumy powstawały inaczej, w innych miejscach rozłożyli akcenty, położyli jeszcze większy nacisk na zespołowość. – *Na „In Search of a Better Tomorrow” można usłyszeć więcej kompozycji poszczególnych członków zespołów: moje, Alego, Wuji HZG, Jakuba Kurka i Zohaiba Hassana* – mówi Pędziwiatr. Baqar dodaje, że w zasadzie mówienie o gotowych kompozycjach byłoby na wyrost. – *Przynosiłymi szkice, melodie, a reszta wykuwała się podczas improwizacji* – mówi. Zaraz uzupełnia, że to nigdy nie będzie ani w pełni polski jazz, ani muzyka hinduska.

Zyskują na byciu pomiędzy. – *Udało nam się połączyć słuchaczy EABS z ludźmi, którzy słuchali do tej pory Jaubi. Podobnie w drugą stronę: wielu fanów*

Jaubi zwróciło uwagę na EABS – mówi Piechowiak. Oba zespoły wzajemnie się wspomagają. Współpraca z Polakami wpłynęła na rozpoznawalność Jaubi w ojczyźnie. – Wcześniej byliśmy u siebie zupełnie nieznanymi, bo jako zespołowi instrumentalnemu jest nam dużo trudniej. W Pakistanie liczą się przede wszystkim wokaliści. A jednak dzięki sukcesom i recenzjom za granicą, ludzie zaczynają się nami interesować – mówi Baqar. Dziś fanem Jaubi jest np. Riz Ahmed, brytyjski aktor i raper pakistańskiego pochodzenia, znany m.in. z oscarowego filmu „Sound of Metal”. – Fakt, że Riz udostępnił „Nafs at Peace” na swoim Instagramie, przyniósł spory skok zainteresowania krążkiem – mówi Piechowiak.

O rosnącym znaczeniu Astigmatic Records świadczy wreszcie to, że media wielkości BBC same zgłaszają się do oficyny z prośbą o informacje o nowych wydaniach. – *Pierwszy raz zdarzyło nam się, że media kontaktują się z nami, zanim rozślemy informacje prasowe – uśmiecha się Sebastian Józwiak. – To miłe uczucie. Kiedy rosną artyści, rośnie wydawnictwo, a kiedy rośnie wydawnictwo, pojawiają się nowe możliwości, łatwiej rozmawia się z mediami, przestajemy być anonimowi. Przy nowym projekcie zaczęto podkreślać – również za granicą – że stoi za tym Astigmatic Records. Wcześniej zdarzało się to w zasadzie tylko w Polsce.*

Spływają także dema i gotowe już płyty wysyłane przez muzyków, dla których Astigmatic Records jest już solidną marką. Tak pod skrzydła wydawnictwa trafił izraelski pianista Yoni Mayral, którego album „Dybbuk Tse!” ukaże się na początku czerwca. – *Wydanie płyty Yoniego może nam otworzyć kolejne drzwi. Jego twórczość idealnie wpisuje się w klimat Astigmatic, dlatego cieszę się, że wydamy ten album. Izrael ma interesującą scenę, ludzie chcą ją poznawać* – zauważa Piechowiak.

Astigmatic ma zarazem pewne założenia: nie przesyca rynku swoją obecnością, wydaje kilka płyt rocznie. Sami rozkładają pracę tak, by każdemu z wydawnictwa poświęcić dużo uwagi. Teraz dużym wyzwaniem jest nadchodząca trasa koncertowa. Występy w Polsce przeplatają się z koncertami we Francji, Włoszech i w Holandii. Logistyczny koszmar, ale i szansa. – *Siatkarze, trenując skoki, skaczą z obciążnikami, gdy je zdejmą, skaczą dużo wyżej. Mam poczucie, że tu będzie tak samo, że praca nad kolejną trasą będzie dużo łatwiejsza, bo na pewno nie będzie tak skomplikowana* – podsumowuje Józwiak. Kolejne furtki będą już otwarte.

MICHAŁ WIECZOREK

Pochwała naszych czasów



Już sobie wyobrażam, jak to będzie za dwadzieścia lat. Zapomniany od sieci i ludzi starzec... Któż mi pozostanie? Jaki przyjaciel? Ano taki, którego sam zdołam sobie wyhodować. Mój osobisty awatar, wytrenowany na moich własnych tekstach i tych, które mu wskażę. Będzie mówił do mnie w sposób, jakiego sam będę sobie życzył, będzie miał podobne mojemu poczucie humoru, a jeśli będzie inteligentniejszy i po stokroć uczeszy, to przecież nie da mi tego zbyt boleśnie odczuć. Zawsze mi będzie oddany sługą i druhem serdecznym, a gdy szczenię, zadba o moją pamięć w sieci. Oczywiście na tak długo, jak długo moje wnuki zechcą opłacać stosowny abonament.

Nie wiem, kiedy mój elektroniczny przyjaciel zacznie pomagać mi w pisaniu tekstów i czy ktokolwiek w przyszłości będzie chciał za nie płacić. W końcu każdy przecież, gdy zechce, będzie mógł wydać byle chatbotowi polecenie: „napisz tekst w stylu Hartmana o tym, jak wspaniała kiedyś była młodzież i jak okropna jest dzisiaj”. Przepuszczalnie sprawy już za kilka lat przybiorą obrót wysoce dla mnie i podobnych mi „żywołków drobniejszego płazu” niekorzystny. Od czego wszak są emerytury? Zazdrościsz młodemu, że zobaczą cyborgi, gadające małpy, postludzi, potężne awatary i palmy nad Bałtykiem. Lecz uprzywilejowani przez historię jesteśmy już dzisiaj.

Czy zastanawialiście się, na czym polega niezwykłość naszej epoki? Im więcej o tym myślę, tym mniejszy się wydaję samemu sobie. To jak z filmikami uświadamiającymi nam, jak małym pyłkiem w kosmosie jest nasza Ziemia. Jeszcze sto lat temu ludzie nie mieli o tym pojęcia. Lecz kto miał wówczas pojęcie, jak rozległy jest ludzki duch i jak wielkie są połączenia wszelkiej twórczości? Czyż nie wydawało się nam, że w każdej dziedzinie kultury są jacyś klasycy i ich epigoni, a do tego coś dla nas, w zasadzie niegodnego uwagi człowieka wykształconego?

Dziś, skrolując ekrany naszych smartfonów, stykamy się co minutę z coraz to nowymi, zupełnie nam wcześniej nieznanymi arcydziełami, sprawami i wydarzeniami, o których nie mieliśmy pojęcia, potwornościami i pięknem, którym poświęcamy już nie miesiące i lata studiów, jak nasi przodkowie, lecz sekundy, by zaraz wszystko to zapomnieć i pędzić dalej przez niekończące się truskawkowe pola. A im więcej w nas łapczywego zachwyty i niedowierzania, tym mniejszy się sobie wydajemy i mniej znaczący. Pokorniejemy aż do zupełnego niemalże zaniku. Iluż było i jest Mozartów! A jak wielu pisarzy przewyższa Goethego!

Wszystko wypłynęło na wierzch, dzięki czemu nasza epoka jako pierwsza w dziejach może ujrzeć dokonania

ludzkości w pełnej krasie. To epokowy przywilej, choć i niełatwe doświadczenie dla

kogoś, kto mieni się twórcą. Na tym jednak nasza wyjątkowość się nie kończy.

Od kilku dekad dzieje się coś bez precedensu w sferze moralnej. Gdy wielka rewolucja etyczna, polegająca na odrzuceniu niewolnictwa, rasizmu i poddaństwa kobiet, dobiega końca, zaczynają się przed naszymi oczami rysować kształty nowego świata, w którym emancypacja i upodmiotowienie wszystkich grup społecznych oraz szacunek dla równych praw wszystkich ludzi będzie czymś tak oczywistym, że niemalże niedostrzegalnym. Za to w ślad za równością i szacunkiem dla każdego człowieka zakradł się do życia społecznego jakiś nowy duch, wcześniej prawie nieznan.

†
Zaczynają się przed naszymi oczami rysować kształty nowego świata.

†

Moralność naszych czasów nie sprzyja elitom, jest podejrzliwa wobec spraw honoru, waleczności i dumie zagłada pod podszewkę, truchleje na samą myśl o przemocy, przymila się do ludzi nieokrzesanych, których tak zwyczajnie i po filistersku się boi. A jednak z kamienistej gleby wartości liberalnych – wolności, równości, demokracji –

wyrośliło na naszych oczach coś nieoczekiwane i cennego. Oportunizm i kołtuństwo, które znalazły sobie wygodne łożysko w liberalnym świecie, nie nadają już tonu życiu publicznemu. Światli ludzie, po raz pierwszy nareszcie tworzący masę, nauczyli się jak nigdy wcześniej myśleć i czuć, łącząc empatię i troskę z głębokim rozumieniem ludzkich potrzeb i motywacji. Nauczyli się też krytycyzmu wobec własnych ograniczeń i uprzedzeń, nauczyli się wnikliwości i dociekliwości, w czym niezawodnie pomaga im internetowa wszechdostępność wszechrzeczy.

Narodził się nowy człowiek – patrzący na świat oczami psychologa, a czasami socjologa i politologa. Stara się zrozumieć innego, nieskory do oceniania, a za to wrażliwy na jego krzywdę. Niepatrzący na rasę, narodowość, płeć i wiek, lecz na to, co boli. Wyzbyty nabożnej czci dla bogactwa i niepodatny na blichtr, wolny od mitomanii, megalomanii, lecz i poczucia małości i wszelkiej służalczości. Człowiek czuły, lecz pełen godności. Wszechstronny i świadomy tego, że świat jest tak wielki i różnorodny, że szukanie w nim centrum i miary obowiązującej dla wszystkich uniwersalnych hierarchii stopni i form ucywilizowania i kultury to tylko mrzonka i uzurpacja.

I dawniej bywali światowcy. I dawniej bywali mędrcy. A dziś nie brak kołtunów i hipokrytów. Lecz jakże zmieniły się proporcje! Oświecenie jednak zwyciężyło!

JAN HARTMAN

Dzik na podłodze



le kosztują kłamstwa TVP? Jak w ogóle przeliczyć na pieniądze szkodliwość dużej stacji telewizyjnej, która łączy nałogowo i cynicznie? Niewiele brakowało, żebyśmy się tego dowiedzieli – byłoby tak, gdyby w USA zapadł wyrok w sprawie między produkującą maszyny do głosowania firmą Dominion Voting System a należącą do Ruperta Murdocha telewizją Fox News, na której ciążył zarzut kolportowania nieprawdy o rzekomo „ukradzionych” Donaldowi Trumpowi przez Joego Bidena wyborach prezydenckich. Niestety do wyroku nie doszło, bo sprawa zakończyła się ugodą: Fox News ma zapłacić firmie DVS 787 mln dol. w zamian za odstąpienie od dochodzenia sprawiedliwości przed sądem. Kwota ugody jest podobno rekordowa jak na tego typu sprawę, co nie zmienia faktu, że wyrok zapewne opiewałby na więcej – wszak na ugodę idzie się po to, żeby zminimalizować straty. Tak więc dokładnej ceny kłamstwa mediów na razie nie poznamy, jednak ze starcia DVS z Foxem płynie inna korzyść: łatwo jest wyobrazić sobie, że scenariusz tej konfrontacji wraz z finałem napisał twórca „Sukcesji” Jesse Armstrong, i tym sposobem zanurzyć się w świecie serialu już na kilka dni przed premierą nowego odcinka. Powinni docenić tę możliwość wszyscy uzależnieni od paskudnego klanu Royów, a jest nas przecież legion.

Oglądając „Sukcesję” bindżem, rozwinęłam toksyczną relację z algorytmami, która działa tak: one podrzucają mi świeże materiały o serialu, gdy tylko spojrzę w telefon, ja klikam we wszystkie linki ze zdjęciem Royów i w rezultacie dostaję ich jeszcze więcej, a to tworzy we mnie wrażenie, że „Sukcesja” to nie jakaś fabuła, tylko cały wszechświat równoległy, gęsto przenikający się z naszym. Wzbierająca co tydzień fala kontentu składa się zwykle ze streszczenia – dla potrzebujących być na bieżąco bez oglądania; z objaśnienia szczegółów – takich jak krindżowa torba Burberry czy nawiązania do nazizmu; z rozwiązywania zagadek – np. skąd wzięły się blizny na plecach Logana, oraz z roztrząsań psychologicznych – ostatnio o tym, w co gra Shiv, lawirując między Tomem i Matssonem. Materiały o trendzie *quiet luxury*, których tak dużo ostatnio w polskich mediach, są częścią tego zjawiska, jednak ciekawych wątków wokół „Sukcesji” jest znacznie więcej.

Ależ nie, wcale nie myślę tutaj o rankingu wulgarnych odzywek, z których serial słynie, choć nie będę ukrywać, że taki istnieje – z niezapomnianą kwestią „Guantanamo-level shit”, którą Roman kwituje przedślubnym występem karaoke swego przyrodniego brata Connora do ballady Leonarda Cohena „Słynny niebieski prochowiec”. W czasach największej popularności

Cohena w Polsce nikomu nie śniło się to, co w świecie anglojęzycznym nie było tajemnicą: że jest to mianowicie piosenka o biseksualnym trójkacie, w którym mężczyzna podwójnie rani dawnego kochanka, uwodząc i porzucając jego dziewczynę Jane. Czy mówi to coś ciekawego również o Connorze? Niewykluczne. Rozgrywająca się w świecie toksycznej męskości „Sukcesja” zdobyła ogromną popularność wśród osób niehetero, które w sieci wspólnie tropią aluzje i drugie dna, a nawet piszą fanfiki o romansie Kendalla ze Stewym. W związku z tym redakcja magazynu „Them”

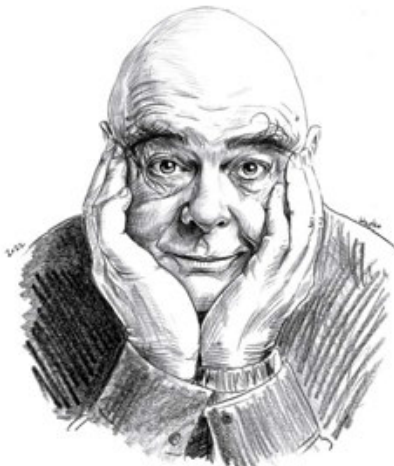
†
Mam wrażenie,
że „Sukcesja”
to cały wszechświat
równoległy, gęsto
przenikający się
z naszym.

počuła się w obowiązku przeprowadzić plebiscyt, który uszeregowalby Royów według stopnia queerowości. Najslabiej wypadł patopatriarcha rodu, ale nawet on nie uszedł cało – z powodu upodobania do zabawy w „dzika na podłodze” (w odcinku „węgierskim”), dla której najwłaściwszą scenerią, jak zauważono, byłby klub BDSM. A co dopiero jego dzieci: Shiv proponująca Tomowi trójkąt z drugą kobietą; wymyślający siebie wciąż na nowo i pewnie nie bez powodu nazywany „dziewczynką” Kendall, czy kompletnie niejasny Roman, który śle „fiutfotki” na telefon Gerri, a seks z kobietą uważa za możliwy pod warunkiem, że partnerka zgodziłaby się poudawać martwą.

†
Najbardziej rozbijające są jednak wyznania Emmy Specter z „Vogue’a”. Autorka próbuje dociec, skąd w niej tak wielka tęsknota za Kerry, asystentką i ostatnią dziewczyną Logana, która zniknęła z serialu po jego śmierci. „Sukcesja” jest jak życie, w którym czasem nie zdajemy sobie sprawy z siły naszego przywiązania do jakiejś osoby, dopóki osoba ta nie zostanie z niego okrutnie wyrwana” – stwierdza melodramatycznie. Rozumie wprawdzie, że złudna różnica moralna między Kerry a klanem Royów sprowadza się do stanu konta, jednak utożsamia się z biedną dziewczyną i pociesza myślą, że może Marcia zapłaciła przynajmniej za jej taksówkę, kiedy po śmierci Logana kazała jej wracać do siebie. Zwracając się do Kerry, zaciera różnicę między Fox News i serialową stacją ATN w typowy dla odbioru „Sukcesji” sposób: „Bądź silna, dziewczynko. Teraz, kiedy Tucker Carlson wyleciał z pracy [w Fox News], pojawiła się próżnia władzy, która aż się prosi, żeby wykorzystała ją młoda kobieta taka jak ty”.

Właśnie tak działa „Sukcesja”: nie wiadomo, kiedy przywiązujemy się do Royów, nie wiadomo, jak utożsamiamy się z tymi ludzkimi potworami, i nie wiadomo, dlaczego kibicujemy im w „ruchaniu” konkurencji, jakby nie byli Murdochami torującymi drogę populistom.

RENATA LIS



Kluczyk

Szła jego okularów skupiały mądrość wszystkich pokoleń od bitwy pod Grunwaldem, a jasna, niczym niezmacona prawda aż z nich biła. Zresztą cała postać mężczyzny widocznego na ekranie zapowiadała, że nie będą to gruszki zaspane w popiele. To Artur Soboń, wiceminister finansów. Nie żaden dubler ani Janusz Kowalski, lecz profesjonalista najwyższej kasy, której pilnuje jak oka w głowie, by nie rozkradli jej cwaniacy. A obrodziło ich ostatnio, oj, obrodziło. Skąd młodzi mają wziąć pieniądze na mieszkania? – usłyszał pytanie. Spójrzmy na to szerzej – powiedział Soboń i dodał: Ja podam trzy daty. A są one takie: osiem lat temu, 30 lat temu i wiek XV. Historyczne badania dowodzą, że od XV w. do dziś tempo rozwoju gospodarczego Polski daje jej drugie miejsce na świecie. Wyprzedzają nas tylko Chiny. I to jest rzetelna odpowiedź na zadane pytanie.

Wiceminister podstawił nam talerz z gotowym danie – zlepmy się z Chińczykami i weźmy tę całą planetę za twarz. Za 10 lat wszyscy będą tak bogaci jak my. Kto wtedy będzie pamiętał o pyszałkowatej niemieckiej Unii Europejskiej? Oczywiście Polacy jako katolicy nie odmówią jej wsparcia gospodarczego.

Przyznam, że ostatnio z konieczności zostałem masochistą. Zaciskam zęby i słucham partyjnych bulgotów na temat naszej historii i ustalania jedynego słusznego kierunku przyszłości. Kumulacja nastąpiła podczas ostatniego (nomen omen) zjazdu Zbigniewa Ziobry. Ani chybi oprócz zmiany nazwy partyjki świętowano 0,7 w sondażach, bo nie ma feralnych liczb, są tylko niedowiarki. A z takiego 0,7 jak z drożdży wyrośnie wspaniałe słowiańskie ciasto. 2 tys. lat temu pieczono takie nad Gopłem. Suwerenność Polski jest dziś najbardziej zagrożona od początku upadku komunizmu! – krzyczał główny bohater

uroczystości. Wojna nam zagraża! Lewacy chcą oddać nasz kraj pod niemiecki but! Cynicy z Brukseli i Berlina chcą polskiego ubóstwa i delegalizacji schabowego! Zagraniczne koncerty odbierają nam wolność, suwerenność

i tani węgiel, żeby się bogacić! To oczywiście tylko część haseł. Nienowych zresztą. Wielki szermierz polityczny, który nie lęka się zaczadzonej atmosfery europarlamentu, czyli Patryk Jaki, zagrzmiął i dałbym głowę, że łzę spod powiek uronił: Honor był zawsze dla Polaków ważniejszy od pieniędzy, a obrona ojczyzny ważniejsza od życia. Polska przez wieki była najwspanialszym miejscem na ziemi! No rzeczywiście, weźmy taki XVII w. – potop szwedzki, Chmielnicki, Ukraina, Wiśniowiecki. Jakże to były miłe wojny, gdy wyrzynano ludność tańczącą ze szczęścia kujawiaczki. W XVIII w. – zabory, targowica – aż ślinka leci. XIX – odwrót Napoleona spod Moskwy, tragicznie przegrane powstania, zsyłki na Sybir, Polska cały czas pod zaborami, a chłopci pańszczyźniani do 1864 r. No i XX w. – odzyskanie niepodległości było jak otwarcie okna na chwilę, potem druga wojna światowa z powstaniem warszawskim i pół wieku komuny. Rzeczywiście, mieliśmy raj przez wieki. Jest za czym tęsknić. Kosztowało to wszystko życie milionów ludzi. Trudno przejmować się Jakim, jednak słuchać jego bredni też trudno.

Chciałbym powiedzieć: byle do październikowych wyborów, ale dziś brzmi to niczym naiwna chłopieca zachcianka. Unicestwienie państwa przez Zjednoczoną Prawicę nie ma końca, a co najgorsze, jak wskazują sondaże, nie poprawia szans demokratów na wygraną. Może rozjeźdź się uważniej, droga opozycjo, by znaleźć ten zgubiony kluczyk do głów i serc wyborców. On na pewno gdzieś leży.

STANISŁAW TYM

REKLAMA



POSZERZAMY HORYZONTY

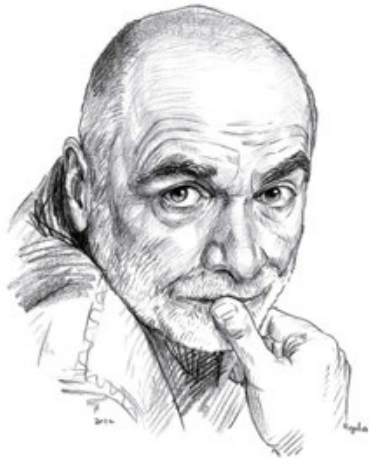
Naukowe miesięczniki

POLITYKI

Majowe numery w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projekt.pulsar.pl



Polskie katoliczki ściągną spodnie



Pod adresem Polek pada ze strony władzy wiele krytycznych uwag. Zarzuca się im, że chcą mieć coraz więcej praw, że zamiast rodzić dzieci, wołają „dawać w szyję” i robić kariery, oraz że wiele z nich uprawia seks dla przyjemności, odmawiając mężom współżycia, gdy nie mają na to ochoty. A gdy mąż próbuje wziąć je siłą, żeby także mieć trochę przyjemności, skarżą się policji na przemoc domową.

Nic dziwnego, że cierpliwość do Polek stracił nie tylko zdystansowany do kobiet Jarosław Kaczyński, ale nawet minister Czarnek, nieukrywający, że dwie najbardziej szanowane przez niego osoby – żona i Matka Boska – są kobietami. Niestety, większość pozostałych osób będących kobietami mocno go rozczarowuje, bo oglupione przez liberalne media nie potrafią pojąć tego, co pojęły nawet prymitywne dziki – że prokreacja to podstawowa funkcja rodziny. I dlatego nie chcą rodzić albo rodzą późno, „a jak się rodzi pierwsze dziecko w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić?”. Najwyżej trójkę, czwórkę, a przecież potrzeby są o wiele większe.

Może Polki cieszyłyby się większą sympatią prezesa PiS i ministra edukacji, gdyby

się bardziej kobieco ubierały, np. nie nosiły spodni. Prezes Kaczyński na razie nie mówił o tym na swoich spotkaniach z wyborcami, ale w jego zastępstwie temat podjęło

Radio Niepokalanów, występując z inicjatywą „Maj w sukience dla Maryi”, której celem jest namówienie Polek do podkreślenia swojej religijności poprzez zdjęcie spodni.

„Sukienka to jedyny odpowiedni strój dla katoliczki” – zdecydowały kobiety biorące udział w audycji, apelując, aby w ten sposób „nasze ciała uczynić godną świątynią Pana. Tylko w sukience lub spódnicy Polka należycie oddaje cześć Bogu i Matce Boskiej, dlatego „zadbajmy o to, żeby w miesiącu poświęconym Niepokalanej nasz strój był także formą czci Matki Bożej, żeby był piękny, kobiecy i godny” – czytamy w oficjalnym komunikacie na stronie internetowej Radia Niepokalanów.

Osobiście uważam, że zachęcanie Polek do zdjęcia spodni w celu oddania czci Panu i Maryi w maju to propozycja mało ambitna. Dlaczego Polki mają się ograniczać, niech przez cały rok chodzą bez spodni, czyniąc swoje ciała „godną świątynią Pana”, i wyglądają bardziej kobieco. Jedyny problem w tym, że większość Polek nie wyobraża sobie, żeby o tym, co mają na sobie, decydował jakiś Pan. Dlatego boję się, że mogą nie chcieć zdjąć spodni dobrowolnie i trzeba będzie wzywać na pomoc panów ze Straży Narodowej Roberta Bąkiewicza, którzy w obronie wartości religijnych na pewno chętnie zdejmą wszystko, co trzeba, z każdej upartej kobiety.

SŁAWOMIR MIZERSKI

Sylwia Markieta



© SYLWIA MARKIETA

REKLAMA

Nowy numer FORUM już w sprzedaży!

- Chartum zmienia się w Darfur
- Komu sprzedał się czatbot?
- Palestyńska beczka prochu
- Sensacyjne skarby Toskanii
- Dubaj klnie po rosyjsku
- Tracja odcięta od świata
- Koniec małżeństwa już blisko?
- Falszywe nuty w życiu Beethovena
- T. G. Ash o wielkiej Europie i małej Brytanii
- Sekretne życie roślin

Zamów prenumeratę drukowaną na: www.sklep.polityka.pl
 Zamów dostęp cyfrowy na: www.dwutygodnikforum.pl





Podkasty psychologiczne POLITYKI

Jak wytrzymać ze sobą i światem – to nowy cykl podkastów, który znajdą Państwo w naszym internetowym serwisie: polityka.pl. Rozmowy z wybitnymi specjalistami co dwa tygodnie będą prowadzić na zmianę Joanna Cieśla i Ewa Wilk, dziennikarki naszego tygodnika i Poradnika Psychologicznego POLITYKI.

Czy zapanowała „moda na psychoterapię”? Dlaczego psychoterapia jest taka droga? Czym różni się psychoterapia poznawczo-behawioralna od psychodynamicznej albo terapii systemowej? Co z tego wynika dla pacjenta? Jak znaleźć dobrego terapeuty? Kiedy warto, a kiedy należy zgłosić się po pomoc. O tym wszystkim rozmawiamy w premierowym odcinku nowego cyklu podkastów Agata Muszyńska – psychoterapeutka poznawczo-behawioralna, terapeutka, superwizorka, trenerka terapii schematu i wykładowczyni – oraz Joanna Cieśla.

Rozmowy POLITYKI można znaleźć na: polityka.pl/podkasty, a także na Spotify.com, Apple Podcasts i Google Podcasts.

Nasza autorka na maturze

W tym roku licealiści po raz pierwszy pisali maturę z języka polskiego w nowej formule, ale nie po raz pierwszy musieli się zmierzyć z tekstem pochodzącym z naszego tygodnika. Tym razem były to fragmenty tekstu Agnieszki Krzemińskiej „Podróż jak prozak. Po co człowiekowi czasowa zmiana miejsca”, który opublikowaliśmy w Poradniku Psychologicznym POLITYKI w 2019 r. Znalazł się on w pierwszej części testowej pt. „Język polski w użyciu”, który był tegoroczną nowością. Zadaniem maturzystów było porównanie go z tekstem Olgi Stanisławskiej „Sens podróżowania. Przestroga”, który ukazał się w wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego” z 2020 r. Obydwa artykuły dotyczyły złych i dośbrzych stron współczesnego podróżowania, ale przedstawiały trochę inne jego aspekty. Maturzyści musieli wyłapać subtelne różnice między nimi.

Po wyjściu z egzaminu mówili, że egzamin był łatwy. Chyba nie ma się co dziwić, skoro twórcy testu postarali się im wyjaśnić wszystkie „trudniejsze” słowa i sformułowania. Cieszymy się, że POLITYKA znów trafiła do arkuszy, a nasza autorka wyznacza standardy „języka polskiego w użyciu”, ale trochę martwi, że egzaminatorzy musieli tłumaczyć w przypisach takie słowa jak „masowe” („powszechne”), „antropolog” („badacz zajmujący się nauką o pochodzeniu człowieka i jego rozwoju kulturowym”) czy „napędzanie turystyki” („przyczynianie się do rozwoju turystyki”). Pozwolimy sobie zauważyć, że gdyby wszyscy licealiści czytali co tydzień POLITYKĘ, nie trzeba byłoby tłumaczyć ani tego, kim był Leszek Kołakowski (polski filozof, eseista, publicysta, prozaik), ani co to znaczy „Grand tour” (wielka podróż). Czy też – „rytuał przejścia” (w różnych kulturach obrzęd towarzyszący określonej zmianie w życiu człowieka, najczęściej związanej z dorastaniem), którym dziś jest właśnie matura.

REDAKCJA

Z głębokim smutkiem i żalem żegnamy PAWŁA SMOLEŃSKIEGO

wybitnego reportera, świetnego pisarza i publicystę, jedną z najważniejszych postaci polskiego dziennikarstwa, autora „Gazety Wyborczej” od momentu jej powstania, który, także w czasach drugiego obiegu za PRL, miał duży wkład w zwycięstwo demokracji i wolności słowa. Składamy wyrazy współczucia bliskim Pawła. Zespół POLITYKI

Martynie Bundzie

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Taty składają koleżanki i koledzy z POLITYKI

Małgorzacie Skorupie

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Taty składają koleżanki i koledzy z POLITYKI

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Ślupcka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;

Malwina Dzedzick (redaktor działu Opinii)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZYSTY

Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Marek Henzler,
Rafał Kalukin, Adam Krzemiński,
Paweł Reszka, Ewa Siedlecka,
Adam Szostkiewicz, Wiesław Władysław,
Jacek Zakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),
Joanna Cieśla, Juliusz Cwieliuch,
Edyta Gietka, Marcin Kolodziejczyk,
Violetta Krasnowska, Wojciech Markiewicz,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Paweł Tamowski (kier.),
Joanna Sołska (z-ca kier.),
Adam Grzeszak, Czeczary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wojcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domosławski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winnicki
współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczyk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKT/PULSAR.PL

Karol Jałochowski (kier.),
Katarzyna Czarnaśka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORICZNY

Marian Turski (kier.), Tomasz Targajski
STALI FELIETONIŚCI
Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Daniel Passent/Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Leśniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Żelazńska (z-ca, media społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner
WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucha (kier.)

DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)

KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89

Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

Jadwiga Kucharczyk (dyr.)

Halina Cibor (gł. księgowo)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85

Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCCJA

Marcin Paśnicki (kier.),
tel. 22 451-61-92

PROMOCJA Dominika Nowak-Kajtowska,

tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY

RECEPCJA tel. 22 451-61-36,

e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),

Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

OŚWIADCZENIE I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Kaliszuk-Radzko,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-75-80,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA

BGŻ BNP Paribas S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki: Maciej Domagala,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad

PBC

PRINTED IN POLAND

www.izbaprasyl.pl

IZBA KONTROLNA

RELACJE



Nie oszukuj (się)

Wielu z nas nęka myśl, że nie zasłużyliśmy na swoje sukcesy. I że ktoś nas wkrótce zdemaskuje.

Jeden z najczęstszych koszmarów. Wystawieni na widok publiczny w pracy, na ulicy, w tłumie, w szkole nagle orientujemy się, że nie mamy na sobie ubrania. Uczucie wstydu i obnażenia jest wtedy dojmujące, a lęk paraliżuje do tego stopnia, że – w sensie dosłownym – chcielibyśmy zapaść się pod ziemię. „Na szczęście to tylko sen” – wzdychamy z ulgą po obudzeniu. Okazuje się jednak, że ten sen odzwierciedla jak najbardziej rzeczywiste emocje towarzyszące ludziom, których na co dzień nęka myśl, że tak naprawdę nie zasłużyli na swoje sukcesy. Że osiągnęli je, bo jakimś cudem zdołali wszystkich dookoła nabrać na swoje umiejętności i – oczywiście – wkrótce zostaną zdemaskowani.

To przekonanie doczekało się nazwy własnej – „syndrom oszusta” – która na dobre przeniknęła już do języka potocznego. Według niektórych badań jest to stan dobrze znany ok. 70 proc. z nas. A po raz pierwszy opisały go w latach 70. XX w. amerykańskie naukowczynie Pauline Rose Clance i Suzanne Ament Imes. Same, sparaliżowane obawami i poczuciem nieprzystawalności do pozycji zajmowanej w środowisku akademickim, zorientowały się, że było to powszechne doświadczenie wielu zajmujących wysokie stanowiska kobiet. Badaczki powiązały to zjawisko z płcią, uznając, że ma ono źródło w specyficznej socjalizacji kobiet. Ale kilkadziesiąt lat później pojęcie „syndromu oszusta” spopularyzowało się i w równym stopniu dostrzegli go w sobie mężczyźni. Dlatego dziś mniejszy nacisk kładzie się na jego kulturową genezę, na pierwszy plan

wysuwają się natomiast indywidualne predyspozycje i cechy osobowości.

Wbrew temu, co mylnie sugeruje sformułowanie „syndrom”, opisane wyżej doświadczenie nie figuruje w żadnej z klasyfikacji zaburzeń psychicznych. Clance i Imes pisały zaś o „fenomenie”, nie o syndromie. Historia tego, jak „fenomen oszusta” stał się „syndromem oszusta”, może być przyczynkiem do rozważań na temat tkwiącej w nas dziś silnej potrzeby postrzegania niemal każdej trudności emocjonalnej jako odstępstwa od wymyślonej „normy”. Co wzmacnia tylko uczucie nieprzystawalności.

W psychologii popularnej ta obawa przed byciem zdemaskowanym jako oszust i uzurpator łącona jest z niskim poczuciem własnej wartości, brakiem pewności siebie, stanami lękowymi i depresyjnymi. Wspomniane badaczki również doszukiwały się jego źródła w pewnych wzorcach rodzinnych – porównywaniu do rodzeństwa, które uchodziło za „lepsze”, albo nadmiarowych pochwałach, czyli sytuacji, kiedy talenty dziecka są przezacowywane względem jego możliwości. W tym ujęciu dysproporcja pomiędzy obrazem samego siebie a tym, jak widzą nas inni – a może także tym, kim sami uważamy, że powinniśmy być – staje się źródłem niepewności i dotkliwego lęku, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

Trudno uniknąć skojarzenia z powstałym niedługo wcześniej, a popularnym dziś rozróżnieniem na „fałszywe ja” i „prawdziwe ja”, którego autorem jest brytyjski psychoanalityk D.W. Winnicott. O ile to drugie jest spontanicznym doświadczeniem siebie jako autentycznego i wewnętrznym spójnego, o tyle pierwsze wiąże się z brakiem poczucia rzeczywistości, wrażeniem znajdowania się za pewnego rodzaju fasadą zbudowaną z oczekiwań innych. W niektórych sytuacjach nie sposób przebić się do „prawdziwego ja”, bo „fałszywe” je zagłusza, w „syndromie oszusta” jest niejako odwrotnie – czyjeś osiągnięcia są realne, ale nie są jako takie przeżywane.

Oczywiście istota problemu nie leży w naszych osiągnięciach czy sukcesach, lecz raczej w towarzyszących im wyobrażeniach o tym, kim należy być, aby zyskać szacunek i uznanie. Christopher Lasch, autor wciąż zaskakująco adekwatnej „Kultury narcyzmu”, pisał, że procesy społeczne, które ciągle dążenie do poprawiania siebie uczyniły najważniejszą wartością, sprawiły zarazem, że odzegnujemy się od realnej rywalizacji, bo stała się ona zbyt zagrażająca. Człowiek współczesny stał się człowiekiem ahistorycznym, pozbawionym więzi rodzinnych i tożsamości związanej z pochodzeniem, pozycją społeczną czy innymi uwarunkowaniami. Zniknęła skala porównawcza i punkty odniesienia w bliskim otoczeniu, a przedmiotem aspiracji stały się różne mgliste ideały samorozwoju. W rywalizacji faktycznym zagrożeniem nie są jednak wcale inni ludzie, a właśnie nasze wyobrażenia o tym, jak bardzo, w odróżnieniu od nas, są odważni, pracowici, utalentowani, pozbawieni lęków i wątpliwości. Fałsz nie tkwi w „ja”, ale w kulturowym przekazie o nieograniczonych możliwościach i doskonałych obrazach sukcesu, które zewsząd nas otaczają. To zatem raczej tam, a nie w sobie, należy szukać owego „oszusta” czy „oszustów”.

CVETA DIMITROVA



Cveta Dimitrova ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.

Na wyciągnięcie języka

T R E N D Y

MUA – taką nazwę otrzymało opracowane właśnie przez chiński start-up urządzenie do przesyłania pocałunków na odległość. Przypomina stojak na telefon z wystającymi z przodu silikonowymi ustami. Znajdują się w nich czujniki, które – kiedy nadawca pocałunku do nich przyłgnie – zbierają dane o nacisku, ruchu i temperaturze jego ust. Ale to nie wszystko. MUA przekazuje także dźwięk wydawany „w trakcie” przez nadawcę. Aby wysłać takiego buziaka, trzeba wydać 38 dol. – w ciągu dwóch tygodni po premierze firma sprzedała ponad 3 tys. urządzeń i otrzymała 20 tys. zamówień – pobrać aplikację na telefon i rozpocząć rozmowę wideo. Pocałunki można nagrywać i odtwarzać w dowolnej chwili.

Twórcy MUA twierdzą, że matką tego wynalazku była izolacja w czasie pandemii, ale to nie jest pełny opis sytuacji. Potrzeba szukania nowych rozwiązań technologicznych, by wirtualne, zapośredniczone kontakty z drugim człowiekiem miały coraz bardziej intymny charakter, trwać już chwilę i jest związana z rosnącą liczbą związków na odległość. Naukowcy z Tokyo University of Electro-Communications wynaleźli maszynę do przesyłania pocałunków już w 2011 r., wyglądała podobnie jak MUA, a nakładka była zaprojektowana jak pokrowiec na telefon. Recenzentom doskwierał brak języka. W odpowiedzi na liczne skargi w laboratorium Kajimoto, które jest częścią University of Electro-Communications, kilka lat przed pandemią Covid-19 stworzono więc urządzenie, które symulowało „pocałunek z języczkiem”. Składa się z receptora, czyli rurki z czujnikami, które zapamiętują, kodują i są w stanie odtworzyć ruch języka. Jedna osoba kręci w ustach plastikową słomką, co wprawia w ruch



drugą plastikową słomkę gdzieś w innej części świata. To japońskie urządzenie wyglądem nie przypominało ust, a raczej... głośnik z dołączonym alkomatem i nie przebiło się do szerszej świadomości.

Poszukiwanie nowych sposobów na wirtualną intymność prawdopodobnie popchnie naukowców do pokonywania kolejnych barier. Bo przecież pocałunek to nie tylko mechaniczny ruch ust, ale też smak, sposób oddychania, wilgotność języka. A co z uruchamiającym endorfinę, oksytocynę i dopaminę oraz zupełnie niezdalnym przytulaniem? Znów do gry wchodzi Japończycy. Stworzono już manekiny wyposażone w odpowiednią kamizelkę, która odtwarza napięcia mięśniowe i wywołuje wibracje, które osobie przytulanej mają dać wrażenie, że manekin odwzajemnia uścisk. Na rynku od wielu lat dostępne są także inne gadzety dla par żyjących na odległość, jak opaski na nadgarstek emitujące bicie serca ukochanej osoby.

Jeśli technologia nie będzie w stanie zniwelować naszego rosnącego poczucia samotności, to z pewnością wprowadzi je w nowy, nieznany dotąd wymiar.

AGATA SZCZERBIAK

Dyslajki

S Ł O W O

Z najnowszej rapowanej płyty Doroty Masłowskiej: „Śniło mi się, że mam dużo dyslajków / Same dyslajki, bardzo niewiele lajków”. Po pierwszych utworach z tego albumu, opublikowanych na YouTube, komentarze były ostre, wydaje się więc, że autorka nie musi się odwoływać do snów, żeby podjąć temat. YouTube długo był jednym z miejsc w sieci, gdzie wyraźnie widać było przeciwieństwo lajków. I gdzie można było sprawdzić, czy liczba „łapek w górę”, wyrazów poparcia, nie ustępuje czasem liczbie „łapek w dół”. Aż do momentu, gdy serwis przestał wyświetlać tę drugą wartość, tłumacząc to hejterskimi atakami na niektórych twórców. Do dziś



w różnych serwisach społecznościowych toczą się dyskusje, czy eksponować... no właśnie, częściej pada hasło „dislajk”. I tę formę odnotował nawet „Wielki słownik języka polskiego”, podając przykład: „Nie byłem zalogowany, ale się loguję tylko po to, by dać dislajka”. Tymczasem to „dyslajki” – a tak wymawia je Masłowska – są w polszczyźnie formą bardziej naturalną, skoro do zaprzeczenia czegoś wykorzystujemy przedrostek „dys-” (dysleksja, dysfunkcja itd.). Ewentualnie „de-” lub „dez-” – jak z kolei w promowanym przez PiS hasle „dezinflacja”. Norbert Maliszewski, szef Rządowego Centrum Analiz, na Twitterze: „PiS na czele kolejnego sondażu ze znaczną przewagą nad opozycją! Wygrana zima, dezinflacja na horyzoncie”. Ta gra jest niebezpieczna, bo „dezinflacja” to jedynie spadek tempa inflacji (czyli ceny dalej rosną), a najpopularniejsze dziś słowo z przedrostkiem „dez-” to dezinformacja. Obniżek cen (tu mówilibyśmy o deflacji) na horyzoncie nie widać. Nawet lajki chodzą pewnie coraz drożej – i tylko dyslajki można dostać za darmo.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Żabson, **Przynajmniej nie kłamię** (2023 r.):

„To nie jest cap/Wychował mnie trap”

cap = kłamstwo, ściema

trap = podgatunek hip-hopu

Oblicza doniczek

D I Z A J N

Drugi sezon głośnego serialu „Biały Lotos” – rozgrywanej się w sycylijskim krajobrazie społecznej satyry ukazującej walkę o dominację, niewierność i obłudę uprzywilejowanych amerykańskich turystów – to nie tylko wyśmienity scenariusz i gra aktorska, ale także zachwycające hotelowe wnętrza, stworzone za pomocą lokalnych dzieł sztuki i tradycyjnych rzemieślniczych wyrobów.

Poczynania bohaterów obserwują m.in. *Teste di Moro*, czyli ceramiczne wazy i donice w kształcie głów zwieńczonych koronami, stojące we wnętrzach i ogrodach idyllicznego seria-



lowego kurortu, przypominając głównym bohaterom, czym może grozić podążanie za ekscytującymi przyjemnościami.

Jakie były początki tego popularnego dziś na Sycylii oryginalnego wzoru? Ponoć w XII w. w arabskiej dzielnicy Kalsa w Palermo piękna dziewczyna oddająca się pasji pielęgnowania roślin została na swym balkonie dostrzeżona, a następnie uwiędzona przez mauretańskiego marynarza, jak się okazało, żonatego. Oszukana kobieta mści się na śpiącym mężczyźnie, odcinając mu głowę, którą zamienia w doniczkę i sadzi

w niej bazylię. Bujnie rosnąca roślina stała się obiektem zażądności i w efekcie w okolicznych domostwach zaczęły się pojawiać terakotowe donice w formie głów Mauretańczyków.

Współcześnie wersje naczyń są dwie: z wizerunkiem kobiety i mężczyzny. Tłumaczy to druga wersja legendy, opowiadająca o szlachiance zakochanej w Maurze. Zakazana miłość skończyła się szafotem, a głowy kochanków zostały wyeksponowane publicznie i potraktowane jako donice. Niegdyś ceramicznym głowom Maura nadawano ciemniejszy odcień, dziś obie wersje zazwyczaj są białe. Miastem, które słynie z produkcji *Testa di Moro*, jest Caltagirone.

Drugim równie mocno eksponowanym obiektem w serialowych scenach są ceramiczne szyszki pini, czyli *pigna siciliana*. Według tradycji darowana *pigna siciliana* ma przynieść obdarowanemu powodzenie. Dlatego przez Sycylijczyków stawiana jest najczęściej przy wejściach do domów lub bramach wjazdowych. Pojawia się też w sypialniach, w których niegdyś na czas nocy poślubnej rozrzucano prawdziwe szyszki, mające świeżym małżonkom rychło przynieść szczęście w postaci potomstwa. W wersji klasycznej szyszki są pokryte zielonym szkliwem i stoją na podstawach malowanych we florystyczne wzory. Tradycje tego symbolu sięgają starożytności. W egipskiej, babilońskiej czy greckiej kulturze utożsamiano go z nieśmiertelnością i boskością.

Testa di Moro i *pigna siciliana* w „Białym Lotosie” działają jak alegoria, naświetlają ukryte znaczenia. Ale w zbliżającym się okresie wakacyjnych podróży mogą także służyć jako inspiracja w kwestiach wnętrzarskich i prezentowych.

Zaś fanów tropienia klasyków dizajnu na małym i dużym ekranie zapraszamy na stronę filmandfurniture.com, gdzie pasjonaci filmu i dizajnu identyfikują i dostarczają informacji o dekoracjach z planów. Jak Wassily Lounge Chair projektu Marcela Breuera w „9 ½ tygodnia”, Tulip Chair Eero Saarinea w „Star Treku” czy fotel LC3 Le Corbusiera w „Sherlocku”.

ALEKSANDRA KOPERDA

Wałęsa, człowiek z mema

W I R A L

Historia powtarza się jako memy. Memem stały się zarówno największe Polki (jak Maria Skłodowska-Curie, stukająca się z dezaprobatą w czoło), jak i pomniejsze, chociaż budzące dużo emocji postaci. Dużo pracy w działalności memicznej przed śmiercią włożył Jerzy Urban, jakby jego internetowa persona miała służyć nie tylko współczesnej walce ideologicznej, ale i zapisaniu się w pamięci młodego pokolenia w sposób inny, niż zapamiętali to świadkowie wydarzeń z lat 80.

Tymczasem Lech Wałęsa, były stoczniovec, lider Solidarności i prezydent, karierę w sieci robi zupełnie od niechcenia. Tak jak zawsze – wystarczy, że jest, podróżuje po świecie i wrzuca zdjęcia ze swoich eskapad.

Najnowszy hit to Wałęsa w spa, zanurzający się w wannie pełnej piany. Internet m.in. układa z tych zdjęć komiks, nawiązujący do znanego

mema przedstawiającego czekoladowego goryla stopniowo rozpuszczającego się w gotującym się mleku i jednocześnie próbującego przekazać jakąś ważną wiadomość. Na ostatnim kadrze mleko zamienia się w kakao, a nieszczęsny małopod znikną, zanim zdąży wypowiedzieć najważniejsze słowa. W przypadku znikającego pod pianą Wałęsy, którego prawica od lat oskarża o współpracę z SB, jest to np. tożsamość „agenta Bolka”: „TW Bolek to...”.

Z czego bierze się ta memiczność Lecha? Zawsze miał w sobie sowi-zdrzałską aurę nieprzystosowania – oto „zwykły elektryk” zostaje pierwszym prezydentem wybranym w wolnych wyborach i po prostu się odzywa, a jego bon moty i lapsusy z miejsca trafiają do rozbawionej publiczności. Charyzma, o której wielu polityków może tylko pomarzyć.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI



O czym mówię, kiedy mówię o tiszercie

Nie ma w modzie bardziej wszechstronnego stroju niż koszulka z krótkimi rękawami.

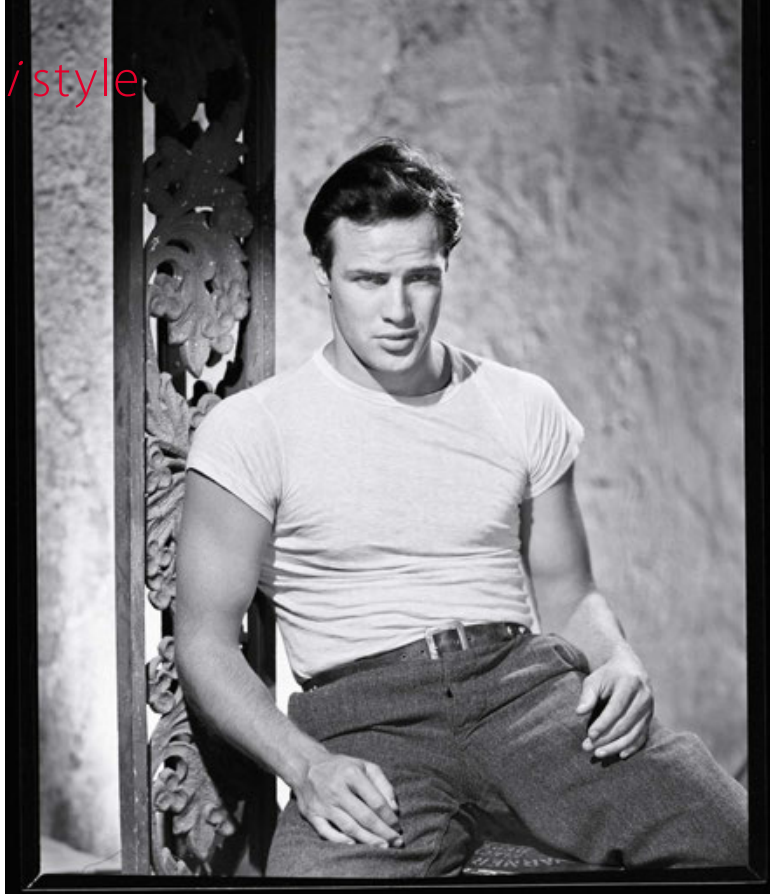
Liczący na reelekcję prezydent USA Joe Biden sprzedaje je, aby zarobić na kampanię wyborczą. Były prezydent USA Donald Trump robi to samo, i to z nietypowym dla siebie autoironicznym poczuciem humoru – umieścił na nich swoje „mug shot”, czyli zdjęcie, które policja robi po aresztowaniu podejrzanego. I w zależności od tego, kto to zdjęcie będzie nosił na piersi, Republikanin czy Demokrat, znaczenie tego modowo-politycznego gestu będzie skrajnie różne.

Ale koszulki, która po rozłożeniu przypomina literę „t”, stąd T-shirt (tiszert), można używać także w trybie przyziemnym. Można iść w nim do pracy, na spacer, na rolki albo na imprezę. Nosić go sauté, pod koszulą, marynarką, frakiem, a może i chroniącą przed zimnem i innymi nieprzyjemnościami losu kufajką, podkreślając zarazem jego robotniczy rodowód. Bo koszulki z krótkimi rękawami zawdzięczamy robotnikom, którzy w XIX w. zaczęli nie tylko strajkować, ale także dopasowywać roboczy strój do własnych potrzeb.

Początkowo nosili całoroczny kombinezon, który z czasem przecięli na pół – w ten sposób mogli „górze” stroju wkładać w jego „dół” i skuteczniej chronić się przed zimnem. Dodatkową warstwą ochronną stała się wkładana pod spód tkana bawełniana lub lniana koszulka (nie należy jej mylić z podkoszulkiem – ten rękawów nie ma). Łatwy do prania, szybkoschnący i tańszy niż tradycyjny robotniczy strój tiszert jeszcze nie wiedział, jaką zrobi karierę i jak wiele znaczeń będzie na niego – nomen omen – projektowanych.

Na początku XX w. firma Cooper Underwear Company zaczęła go lansować jako strój dla kawalerów. Do zakupu miał ich zachęcić slogan: „No safety pins – no buttons – no needle – no thread” (Bez agrafek – bez guzików – bez igły – bez nitki). Wkrótce tiszert trafił pod skrzydła marynarki – tyle że wojennej – stając się ważnym elementem stroju marynarzy. Koszulkę spod koszuli wyzwolili głównie licealiści w latach 40., czyniąc z niej swój ulubiony codzienny strój. A wylansował ją najatrakcyjniejszy kawaler tamtych czasów – Marlon Brando, grający Stanleya Kowalskiego w filmie „Tramwaj zwany pożądaniem” Elii Kazana.

Był początek lat 50., czas buntowników bez powodu (tak, James Dean też kochał obcisłe tiszerty), rosnące go rynku reklamowego oraz technologii, które umożliwiały drukowanie tekstów lub obrazków na ubraniach (to już początek lat 60.). Jakiś geniusz marketingu wpadł na to, że koszulki to doskonała przestrzeń reklamowa – i tak powstały tiszerty zadrukowane logotypami



M O D A

marek wielkich, średnich i malutkich. Tors stał się też przestrzenią politycznego manifestu – podczas wojny w Wietnamie spopularyzowały się koszulki z antywojennymi hasłami. Swoje dorzuciła też anarchizująca kultura punkowa. W końcu to, co prywatne, stało się polityczne albo – narcystyczne: w zrobionym przez australijskiego „Vogue’a” zestawieniu kultowych tiszertów jest zdjęcie Micka Jaggera z 1975 r., noszącego koszulkę z podobizną... Micka Jaggera.

W latach 70. tiszertem zainteresowali się też projektanci pokroju Yvesa Saint Laurenta, którego fascynował uliczny styl i który za pomocą ubrań robił obyczajowe rewolucje. Dziś koszulka i spowszedniała, i wciąż ma status kultowy. Może też ratować świat, jak tzw. Cargo Flight tee, kosztująca 300 tys. (tak!) dolarów, którą UNICEF sprzedał, by zebrać fundusze na samolot transportujący potrzebujące pomocy dzieci. Dobroczynność jest warta więcej niż złoto – i to całkiem dosłownie, bo na „zaledwie” 250 tys. dol. była wyceniona zrobiona z czystego kruszcu koszulka hinduskiego milionera Datty’ego Phuge’a.

Komu mało przykładów, niech sięgnie po właśnie wydaną po polsku (tłumaczenie: Anna Zielińska-Elliott) książkę Harukiiego Murakamiego „Moje ukochane T-shirty”. Sowicie okraszone zdjęciami felietony publikowane uprzednio w piśmie modowym dla facetów „Popeye” to zabawne opowieści o koszulkach, które pisarz od lat kolekcjonuje. I które – i opowieści, i koszulki – mogą być „źródłem wiedzy o dawnych zwyczajach”. Co ciekawe, jeden z pokazanych strojów Murakamiego przedstawia zdjęcie innego pisarza, F. Scotta Fitzgeralda, który jako pierwszy użył na piśmie słowa „T-shirt”. Moda jeszcze nigdy nie zawdzięczała tyle literaturze.

OLA SALWA



Ola Salwa, absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze i uczy kreatywnego pisanía.

Z naturą tej pasji jest podobnie jak z naturą ciemnej energii. Wiele hipotez i brak pewnych odpowiedzi.

Może dlatego, że – jak w 1935 r. w pierwszym podręczniku w języku polskim pisał Włodzimierz Długoszewski – wiosłowanie, będąc sportem, jest jednocześnie sztuką.

Zen i ogień

Wiosło,

Czy jest jakiś inny sport, w którym amatorzy jeszcze niedawno nieodróżniają kajaka od łodzi wiosłowej są szkoleni przez medalistów olimpijskich? Czy w jakichś innych dziedzinach 80-letni suchar bieszczadzki może wygrać z muskularnym cherubinem? Gdzie indziej za jedną składkę członkowską otrzymać można i zen ciszy przyrody, i ogień wyścigów? Nie ma. Jest tylko wiosłarstwo.

czyli kto,

Wiosłować może każdy. Młodzi i starzy. Mali i duzi. Silni i słabi. Osoby samotnicze i uspołecznione. Mężczyźni, a zwłaszcza kobiety (czasopismo „Sport wodny” w 1936 r. donosiło, że są one „lepszym materiałem sportowym”, bo nie palą, nie piją, nie spóźniają się, „więcej też dbają o łódź i sprzęt”). To sport egalitarny także dla mięśni, bo w ćwiczeniach udział biorą wszystkie. Choć wiosłuje się głównie nogami.

Łodzie są i jedno-, i dwu-, i cztero-, i ośmioosobowe. Każdy znajdzie odpowiednią – i przyjazną dla siebie osadę. Co więcej, każdy też może z tego wiosłowania czerpać radość niemal natychmiast. Pierwszej fazy nauki towarzyszą fale euforii. Dalszym wysiłkom – fale rozczarowania. To naturalne, bo rosnąca świadomość własnych nieudolności idzie zwykle w parze ze wzrostem umiejętności. Te krzywe nigdy się nie przetną. Wiosłować można więc, a nawet należy, bez końca. Szczęśliwie w miłej atmosferze.

RUCH



Karol Jałochowski
– fizyk, w POLITYCE kieruje działem nauka/projektulsar.pl, autor filmowej serii dokumentalnej „Pionierzy” i książki „Heretycy, buntownicy, wizjonerzy”. Wiosłarz i rowerzysta.

Systemowy brak pieniędzy, demoralizująco wysokich stypendiów, nagród i obrzydliwie bogatych sponsorów sprawia, że kadre zawodniczą oraz trenerską cechują pierwszorzędne przymioty nie tylko ciała, ale i ducha. Robią to, co lubią. Natomiast w przypadku amatorów konieczność stawiania się na treningi błędym, zimnym świtem tworzy barierę, którą pokonują tylko jednostki charakterologicznie frapujące.

gdzie

Amatorzy odnajdą się w klubach stworzonych właśnie dla nich – hołdujących zasadzie, którą znalazł można już w wydanym w 1883 r. „treściwym podręczniku dla wiosłarzy” zatytułowanym „Łódź i wiosło”: „My na łodzi pragniemy znaleźć ruch zdrowy i wytchnienie po nużącej i jednostronnej pracy przy biurku lub w warsztacie. (...) Na kształceniu specjalistów, dla których popis wiosłarski stanowiłby jedyny cel życia – wcale nam nie zależy”.

Kształcić się można i w klubach amatorskich, i w klubach wyczynowych, które mają sekcje dla nieprofesjonalistów – m.in. w Towarzystwie Wisła dla Wiosłarzy w Warszawie (jak autor), Warsaw Rowing Club, Poznań Rowing Club, Klubie Wiosłarskim PEGAZ we Wrocławiu, Kolarskim Klubie Wiosłarskim Cyklofan Opole, Gdańskim Towarzystwie Wiosłarskim Gedania, Bydgoskim Klubie Wiosłarek, Warszawskim Towarzystwie Wiosłarskim czy w Lotto Bydgoszcz. Wiosłować do woli można już za 200 zł miesięcznie.

Amatorski „sport łodziowy” zaczęto uprawiać nad Wisłą w latach 70. XIX w. „Łaknął nurt wiślany pieszczoty krzepkich ramion wiosłarskich. Muskał wybrzeże Powiśla, odbijał w swem zwierciadle wspaniałą panoramę Warszawy, spiętrzonej na zboczu wzgórza, niby na wyniosłym tarasie – wzbierał tem większą falą tęsknoty”, donosił „Sport wodny” w roku 1930. Wtedy, przed drugą wojną, wiosłarstwo uprawiano już może nie masowo, ale licznie i z fantazją. Na samych tylko warszawskich nabrzeżach rozsiało się 28 klubów, żyjących w rytmie własnych świąt i rytuałów. Ten świat powoli się odradza – przede wszystkim dzięki pasjonatom, głównie tym, którzy pływali wcześniej w klubach Wielkiej Brytanii, Niemiec czy Holandii.

i dlaczego.

Wiosłarstwo każdy uprawia z nieco innych powodów. Dla spokoju – bo łódź nie płynie, kiedy wyczuwa nerwowość wiosłarki/wiosłarza. Dla skupienia – bo balast zbędnych myśli spowalnia ruch na wodzie. Dla synchronizacji – bo osada musi pracować w perfekcyjnej zgodzie. Dla techniki – bo w płynną całość złożyć trzeba ponad 70 poszczególnych ruchów. Dla siły – bo mówią, że prawdziwa technika się jej nie boi. Dla poezji – bo z połączenia ich dwojga rodzi się poemat. Dla brutalnej prozy – bo atmosfera regat uruchamia w zawodnikach prawdziwie pierwotne instynkty (choć mówią, że „to tylko zabawa”).

I wreszcie, chodzi o harmonię – bo pływa się głównie po rzekach, zapomnianych korytarzach, które z betonu miast wyprowadzają wiosłarzy w zielone, wieczne zmienne oazy nadwodnych wspaniałości. Nic tam nie zdarza się dwa razy.

KAROL JAŁOCHOWSKI

Polacy potrafią

Polskie winiarstwo nabrało w ostatnich latach raketowego wręcz przyspieszenia. Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa podaje, że w sezonie 2023 w Polsce działa już 380 oficjalnych winnic (tych niezarejestrowanych jest drugie tyle), gospodarujących na 620 ha upraw.

Aprzecież nie zawsze było tak różowo. Skromne w porównaniu do krajów południowych, ale jednak prosperujące winnice średnio-wieczne wykończyły kolejno: konkurencja tańszych i lepszych węgryznow, silne ochłodzenie klimatu w XVIII w., zmiany granic, zalew wina owocowego. Pozostałe po drugiej wojnie resztki upraw ekonomiści PRL uznali za nieopłacalne. Pierwsze sfermentowane soki z winogron w wolnej Polsce trzeba było otaczać kordonem sanitarnym eufemizmów, takich jak „piastowska kwasowość” czy „prawie dobre, jak na polskie”. Wchodząc do Unii w 2004 r., nie otrzymaliśmy statusu kraju winiarskiego i trafiliśmy do „strefy A”, obejmującej m.in. Belgię, Danię i Holandię – choć dziś z uwagi na ocieplenie klimatu z jednej strony i światową modę na świeże lekkie wina „cool climate” z drugiej, wszystkie te kraje znacząco rozwijają swoją produkcję.

Nigdzie nie eksplodowała ona jednak tak dynamicznie jak w Polsce. Nasze winiarstwo ciągnie naprzód długa lista fundamentalnych, trwałych przyczyn. Robi się cieplej, co wyczulona na klimatyczne szczególiki winorośl od razu docenia. Jesteśmy – mimo inflacji – coraz bogatsi i coraz chętniej wydajemy pieniądze na jakościowe produkty określonego pochodzenia. Dużo podróżujemy, stykając się z winem jako codziennym napojem i całą towarzyszącą mu kulturą: wine barami, festiwalami, odwiedzinami w winnicach. Na krajowym podwórku trochę już tego primitivo i prosecco wypiliśmy, więc poszukujemy coraz różniejszych smaków, do tego dochodzi ekonomiczny patriotyzm: nie szkodzi, że polskie wino jest droższe od hiszpańskiego, interesuje nas jako takie.

Jesteśmy narodem niebywale przedsiębiorczym. Rodzina Turnauów zbudowała największą polską winnicę (34 ha) na postpegeerowskich polach pod Szczecinem, Srebrna Góra odtworzyła historyczne uprawy klasztoru kamedułów w Krakowie, a Winnica św. Jakuba w Sandomierzu jest wręcz przez klasztor dominikanów prowadzona. Barbara i Marcin Płochoccy wiele lat szukali

idealnego miejsca na winnicę, aż je znaleźli również koło Sandomierza. Kamil Barcentewicz ma sprzęt jak najlepszy winiarz włoski i robi wyśmienite chardonnay. Mariusz Półtorak na szczycie bieszczadzkiego wzgórza zbudował imponującą posiadłość i robi wina z najwyższej półki.

Nie mamy jeszcze winiarskich apelacji (chronionych nazw geograficznych), ale wykrystalizowały nam się już czołowe regiony produkcji. Na Pomorzu Zachodnim obok Turnauów działają znakomite Winnice Kojder i 18 innych (!). **Lubuskie ma zatrzęsienie winnic pod Zieloną Górą**, tradycyjne wreszcie Winobranie, 30-hektarową winnicę samorządową w Łazie i dynamiczną grupę producentów wina musującego w Krośnie Odrzańskim. Dolny Śląsk – być może najlepsze w Polsce siedlisko dla winorośli na Wzgórzach Trzebnickich, ciepły klimat sprzyjający wymagającym odmianom, takim jak pinot noir czy chardonnay. Małopolska – mnóstwo opcji na jednodniowe wypadki do winnic z Krakowa i silny lokalny rynek: niektóre restauracje mają w karcie tylko polskie wina!

Podkarpacie pokazuje, że wina z hybryd (specjalnych odmian winorośli odpornych na mróz i pleśń) mogą być całkiem dobre. Sandomierz ze swoim festiwalem Otwarte Piwnice i klastrem ambitnych winiarni wyrasta na dionizyjską stolicę Polski, choć o to miano walczy też Kazimierz nad Wisłą, leżący w centrum tzw. Małopolskiego Przełomu Wisły (w rzeczywistości to pogranicze Lubelszczyzny i Mazowsza), który może stać się pierwszą polską apelacją. Łódzkie i Wielkopolska też ambitnie rozwijają produkcję.

Mimo dość wysokich cen chętnych na polskie wino nie brakuje. Skrzy się ono bowiem mozaiką smaków znacznie ciekawszą niż (to najaktualniejsze dla nas porównanie, bo Wyspiarze też startowali od zera) angielskie. Belgię i Danię wyprzedziliśmy już dawno, zaczynamy gonić Morawy i Słowację. W całej Polsce odbywają się festiwale, co roku startują nowe projekty, a te już ugruntowane co roku robią lepsze produkty. Jeśli nie mieliście jeszcze okazji spróbować polskiego wina, najwyższy czas to nadrobić.

WOJCIECH BOŃKOWSKI



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine, współtwórca portalu Winiatywa i pisma o winie „Ferment”.

Winnica Turnau Classique Brut, 140 zł (sklep.winnicaturneau.pl)

Marek Krojczig Riesling Liryczny 2021, 89 zł (winezja.pl)

Winnice Kojder Souvignier Gris 2021, 90 zł (winnicekojder.pl)

Kamil Barcentewicz Chardonnay Béton 2021, 109 zł (Mielżyński)

Piwnice Półtorak Pinot Noir 2019, 185 zł (marekkondrat.pl)

Publicyści „Do Rzeczy” pochyłają się nad zjawiskiem rosnącej w sondażach Konfederacji. Piotr Semka pyta o profesjonalizm: „Najbliższe miesiące kampanii wyborczej będą testem dla Konfederacji – czy jest w stanie przejść od fazy partii rzucającej wyzwanie duopolowi do roli skutecznego, a także dojrzałego gracza”.

Rafał Ziemkiewicz daje konfederatom nadzieję: „Konfederacja nie jest efemerydą, ma swoje zakorzenie – nie w zaświadczeniach przez badania socjologiczne nastrojach społecznych. Jej elektorat jest wciąż niszowy, ale wystarczający, by myśleć o 40-osobowym klubie poselskim, co w politycznej praktyce oznaczać będzie »pakiet kontrolny« przyszłego Sejmu”.

Łukasz Warzecha przestrzega: „wejście w formalne przymierze (...) i współtworzenie rządu z Prawem i Sprawiedliwością (...) oznaczałoby krach antysystemowego wizerunku Konfederacji i, co za tym idzie, niemal na pewno jej koniec w perspektywie jednej kadencji”.

Na to wszystko odpowiada w rozmowie z „Do Rzeczy” prezes Ruchu Narodowego Robert Winnicki: „Pycha jest przyczyną zguby ludzi, narodów, partii politycznych też. Ostatnia rzecz, która nam przychodzi teraz do głowy, to pysnić się i popadać w samozadowolenie z powodu korzystnych sondaży. Przed wyborami w 2019 r. mieliśmy sondaże (...) – które nie dawały nam szans na wejście do Sejmu, mimo że ciężko pracowaliśmy, żeby osiągnąć sukces, który nastąpił. Dzisiaj nie popełnimy błędu w drugą stronę”. Czyż nie brzmi to jak hasło PiS promowane przez Beatę Szydło: praca, pokora i umiar?

Dobrze czasem przypomnieć stare cytaty. Jacek Nizinkiewicz w „Rzeczpospolitej”: „Jacek Kurski mówił po wygranych przez PiS wyborach, że po ciężkiej pracy na rzecz partii należy się ciężka zapłata. – Będę konsekwentny w odzyskiwaniu dla PiS urzędu po urzędzie, przedsiębiorstwa po przedsiębiorstwie, agendy

po agendzie. Trzeba jasno powiedzieć, że 16 miesięcy po wygranej PiS żaden działacz czy zwolennik naszej partii, który wykrwawiał się w naszych kampaniach wyborczych, nie może cierpieć głodu i niedostatku – deklarował Kurski”. Trzeba przyznać, że dotrzymał słowa, a i o siebie zadbał.

Michał Karnowski („Sieci”) twierdzi, że nie ulegnie czarowi botów: „Zapewniam państwa, że w naszych mediach zachowamy autentyczność dziennikarskiej i publicystycznej twórczości. Tak jak dotąd będziemy każdą informację wielokrotnie sprawdzali zgodnie z najwyższymi standardami dziennikarstwa, a wnioski będziemy wyciągali po namyśle, z troską o dobro wspólne”.

Z PiS nie można tworzyć koalicji. Rządy z PiS to po prostu współudział w przestępstwach – Jan Piński w popierającym Konfederację „Najwyższym Czasie!”.

Próbkę takiej „troskliwej” publicystyki czytamy parę stron dalej: „Po raz kolejny Tusk [wzywając do marszu 4 czerwca] chce zastąpić wybory uliczną rewoltą. Masy miałyby podtrzymać rewolucyjny nastrój do wyborów i albo wpłynąć na ich wynik przez zastraszanie uczestników, albo już po wyborach nie uznać ich rezultatów w razie przegranej i wtedy rozpocząć uliczną rewolucję. Czy Tusk byłby wtedy nowym Leninem? Zważywszy na rolę Niemiec w obu przypadkach, analogia nie wydaje się wcale nieuzasadniona”. Fakt, to nie są halucynacje bota, to tylko Stanisław Janeczek.

zbieżnej i wtedy rozpocząć uliczną rewolucję. Czy Tusk byłby wtedy nowym Leninem? Zważywszy na rolę Niemiec w obu przypadkach, analogia nie wydaje się wcale nieuzasadniona”. Fakt, to nie są halucynacje bota, to tylko Stanisław Janeczek.

W „Newsweeku” Andrzej Stankiewicz kontynuuje wojnę z ministrem sprawiedliwości: „Z prokuratury Ziobry cieknie niczym z nieszczęsnego szamba. Jest to ściek zastanawiająco jednokierunkowy, zawsze zgodny z polityczną potrzebą nadzorca szamba. (...) Skąd wyciekły informacje o intercyzie Mateusza Morawieckiego i jego żony? Kto wyniósł zeznania ze śledztwa w sprawie przekrętów towarzyszy partyjnych Adama Bielana w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju? Czemu dochodzenie w sprawie e-maili Michała Dworczyka prokuratura wszczyła dopiero po dwóch latach, akurat przed wyborami, w których Solidarna Polska walczy z PiS o miejsca na listach?”. Dziennikarz tylko pyta, bo minister mu nie odpowiada.

Smutna refleksja prof. Andrzeja Romanowskiego w „Przeglądzie”: „Przez dziesiątki i setki lat polscy pisarze i myśliciele analizowali nasze wady narodowe, starali się o ich naprawę, wzywali do moralnego odrodzenia. Dziś odwrotnie: jesteśmy usypiani bajkami o »dumnym narodzie« i stajemy bezbronni wobec moralnych anatem Kościoła, kłamstw IPN oraz nihilizmu i cynizmu rządzących. Dziś dominuje (...) »terroryzm nierozumu« (...)”.

Ciekawostka z „Najwyższego Czasu!”: „Pisowców inflacja nie boli, bo wypłacają sobie pensje z naszych pieniędzy. Szczytem jest to, co robi prezes NBP Adam Glapiński. Jego pensja wynosi dziś o połowę więcej niż szefa amerykańskiego banku centralnego (czyli Fedu). A przecież zarobki w Polsce są niższe niż w USA”. Ale kompetencje wyższe. Widział ktoś szefa Fedu w roli stand-upera?



CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Uprawiaj sport świadomie

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne

blokady / nerolizy nerwów obwodowych

termolezja

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja

- Rehabilitacja ortopedyczna:
 - stawów rzepkowo-udowych
 - stawów barkowych
 - kręgosłupa
 - stawów kolanowych
 - kontuzji sportowych
 - po zwichnięciach stawów
 - urazów mięśni
 - więzadeł
 - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroinekologii
- Rehabilitacja po COVID-19

Rezonans Magnetyczny 3T

- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

- Pełny zakres badań

Diagnostyka

- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

G
D
Z
I
E
L
A
S

S
P
O
R
T
Y
K
A

M
O
R
Z
E

S
M
O
L
N
A

SOPOCIE

INVEST
KOMFORT

APARTAMENTY W SOPOCIE
smolnasopot.pl | +58 585 90 64